
Bronisław Zielecki

Moje życie
czyli
Historia Polaka z Ulucza

Warszawa 2014 r.

Spis treści

Od autora	3
Rozdział I. Zarys historii Ulucza do pierwszej wojny światowej	4
Tradycje i obyczaje mieszkańców Ulucza	9
<i>Domostwo</i>	9
<i>Obrządki religijne</i>	11
<i>Obrządki rodzinne</i>	13
<i>Zabobony</i>	17
<i>Daniny</i>	18
Ród Zieleckich w Uluczu	19
Rozdział II. Zarys historii Ulucza od pierwszej wojny światowej do 1947 r.	27
Narodziny nacjonalizmu ukraińskiego w Uluczu	27
Życie społeczności polskiej Ulucza w okresie międzywojennym.....	30
Współżycie trzech społeczności Ulucza w okresie międzywojennym.....	32
Szkolnictwo w Uluczu w okresie międzywojennym	33
Życie ludzi w Uluczu - „druga strona medalu”	35
Moje dzieciństwo w Uluczu do 1939 r.....	37
Wojna i okupacja	41
Okupacja sowiecka	43
Wysiedlenie części Ulucza	47
Okupacja niemiecka.....	52
<i>Powrót do Ulucza</i>	53
Władza odrodzonej Polski	60
<i>Drugie opuszczenie Ulucza</i>	64
Rozdział III. Zbrodnicze czyny Ukraińców z Ulucza w latach 1939-1947.....	72
Rozdział IV. Samodzielne życie	88
Praca w Wałbrzychu	88
Mój pobyt w Zabrze.....	95
Oficerska Szkoła Artylerii w Olsztynie	100
Służba w 23 Kołobrzeskim Pułku Artylerii Lekkiej w Bielsku-Białej.....	107
Rozdział V. Życie z własną rodziną.....	116
Założenie własnej rodziny.....	116
Studia i praca w Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego.....	118
Stan wojenny	123
<i>Kopalnia „Piast”</i>	124
<i>Kopalnia „Jastrzębie”</i>	133
Życie na emeryturze	140
Bibliografia.....	142

Od autora

Pierwszym moim zamiarem było napisanie własnego życiorysu, z którym chciałem zapoznać moich synów i wnuki. W toku głębszego przemyślenia doszedłem do wniosku, że bez opisanie dziejów mojej rodzinnej wioski Ulucza i genezy mojego rodu oraz wyjaśnień zdarzeń jakie zachodziły w Uluczu, mój życiorys nie byłby w pełni zrozumiany. Stąd też, w pierwszym rozdziale opisałem zarys historii Ulucza do pierwszej wojny światowej oraz genezę rodu Zieleckich, mieszkańców tej wioski. W drugim rozdziale przedstawiłem dzieje Ulucza i jego mieszkańców od pierwszej wojny światowej do roku 1947. W tym rozdziale opisałem też moje losy w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i w okresie działania band UPA. O ile moje lata dziecięce (do 1939 r.) przebiegały we względnym dobrobycie, to lata wojny i okupacji oraz pierwszy okres powojenny (do 1947 r.) były dla mnie i mojej rodziny bardzo ciężkie. Były to lata głodu, poniewierki i upokorzenia.

W rozdziale trzecim przedstawiłem niektóre znane mi zbrodnie, jakich dokonali Ukraińcy, w tym mieszkańcy Ulucza, na ludności polskiej. Odniosłem się w tym rozdziale do publikacji niektórych autorów z Ulucza przedstawianych na stronach internetu. Na temat rzekomych krzywd doznanych przez uluczańskich Ukraińców od ludności polskiej, piewcy band UPA piszą różne „naukowe” prace. Na niektóre kłamstwa podane przez tych autorów starałem się odpowiedzieć przedstawiając fakty, których byłem naocznym świadkiem lub uzyskałem wiadomości na powyższy temat od osób wiarygodnych. Ich nazwiska podałem w treści opisów tych zdarzeń. Żadnych zmyśleń, przypuszczeń, czy też niedomówień w mojej pracy czytelnik nie znajdzie.

Pozostałe rozdziały, tj. czwarty i piąty, dotyczą mojej egzystencji już po opuszczeniu domu rodzinnego. Od szesnastego roku życia w walce o przetrwanie byłem zdany na własne siły. W roku 1947 władze odrodzonego Państwa Polskiego zatroszczyły się o losy takich młodych ludzi jak ja i skierowały ich do szkół. Mnie, popychającego wózki z węglem w kopalni „Mieszko” w Wałbrzychu, skierowano do gimnazjum górniczego w Zabrzu. Dano mi dach nad głową, wyżywienie, a nawet pieniężne stypendium. Miałem duże szczęście trafić w tym gimnazjum pod opiekę prawdziwych wychowawców i bardzo dobrych nauczycieli. Wychowawca mojej klasy i wszyscy nauczyciele przybyli do Zabrza z kresów wschodnich. Stopniowo mój los poprawiał się, a dzięki usilnej pracy w nauce uzyskałem nawet stopień doktora nauk technicznych i możliwość nauczania w wyższej uczelni.

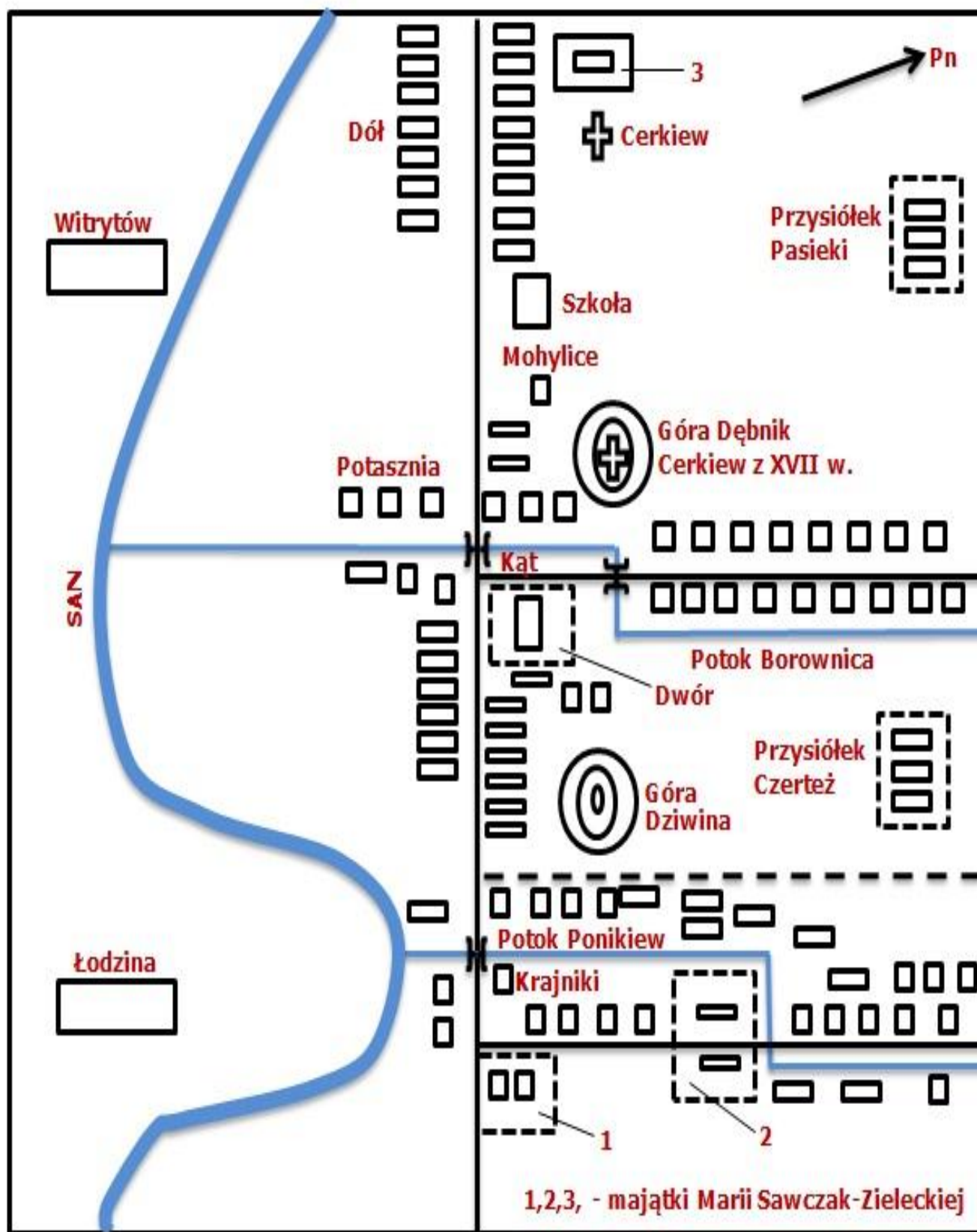
Podziękowania:

Pragnę podziękować mojemu synowi Dariuszowi za mozolne przepisanie na komputerze mojego rękopisu i wniesienie niektórych poprawek stylistycznych. Dziękuję również mojemu synowi Mieczysławowi za wyszukanie w internecie wielu artykułów dotyczących Ulucza napisanych przez różnych autorów. Bez tych internetowych przedruków o wielu sprawach nie mógłbym napisać w swej pracy. Serdeczne podziękowania dla mojej wnuczki Natalii i wnuka Tomasza za komputerowe opracowanie graficzne rysunków.

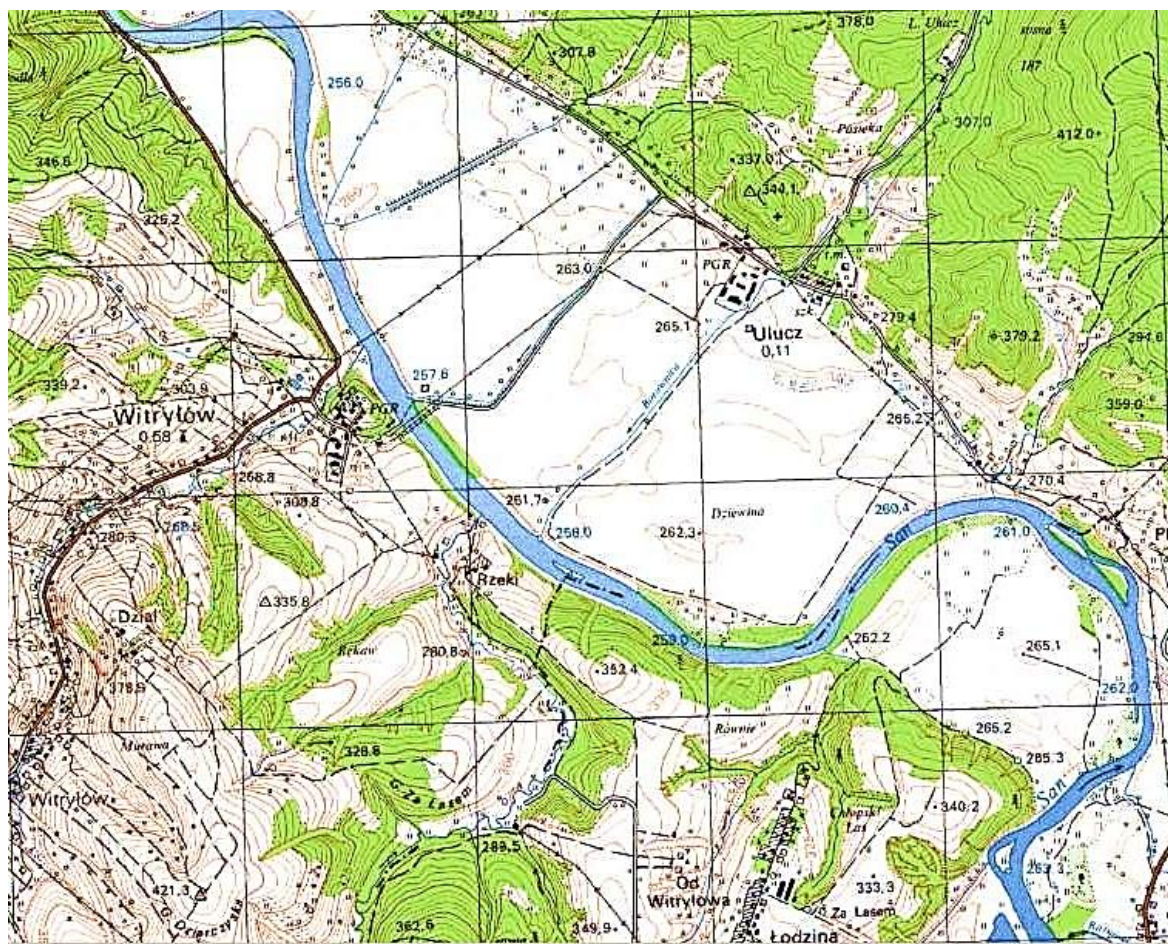
Rozdział I. Zarys historii Ulucza do pierwszej wojny światowej

Miejscowość Ulucz była starą ruską wsią Ziemi Sanockiej. Wieś ta położona jest na prawym brzegu rzeki San, w połowie drogi między Sanokiem i Dynowem. Do roku 1344 Ziemia Sanocka była w granicach Rusi Halickiej, której panem i dziedzicem był książę (kniaź) Jerzy II Trojdenowicz, wywodzący się z rodziny Piastów Mazowieckich. Po śmierci księcia Trojdenowicza w roku 1340 odbyła się pierwsza zbrojna wyprawa polska na Ruś Halicką. W dążeniu do opanowania Rusi współzawodniczyła z Polską Litwa. W drugiej wyprawie zbrojnej w 1344 r. Kazimierz Wielki opanowuje Ziemię Sanocką i Przemyską i przyłącza je do swojego królestwa. Po wstąpieniu na tron polski króla Ludwika Węgierskiego, Ziemię Sanocką obsadzają starostowie węgierscy. W praktyce oznaczało to oderwanie Rusi Halickiej od Polski. W 1372 roku Ludwik powierza zarząd Rusi Halickiej Władysławowi Opolskiemu (Opolczykowi), swemu krewniakowi i zaufanemu, żeby w ten sposób kraj ten związać z Węgrami. W 1387 roku, w czasie dłuższego pobytu króla polskiego Władysława Jagiełły na Litwie, rycerstwo polskie pod wodzą dzielnej królowej Jadwigi podejmuje wyprawę na Ruś Halicką i usuwa starostów węgierskich, przejmując ten kraj pod władzę polską. W ten sposób Ulucz znalazł się w Królestwie Polskim.

Wieś Ulucz wspomniana jest już w dokumencie z 1373 r., w którym Władysław Opolczyk przekazuje wieś Jabłonicę jakiemuś Przemysławowi. W dokumencie tym Ulucz zwie się Ulicz. Nazwa ta pojawia się jeszcze w dokumencie z 1686 r. W połowie XVIII wieku Ulucz występuje pod nazwą Ułucz, a pod koniec XIX wieku nazywa się już Ulucz. Do roku 1882 Ulucz należał do powiatu dobromilskiego, po czym przyłączono go do powiatu brzozowskiego. Ulucz rozłożony był wzdłuż drogi o długości około 5 km z dwoma odgałęzieniami po około 1,4 km każde (rys. 1 i 2) w kierunku północno-wschodnim. Jedno odgałęzienie – Borownica – rozpoczynało się w środku Ulucza zwanego Kątem. Drugie odgałęzienie zwane Krajnikami, leżało na końcu wsi, od strony miejscowości Dobra. Do Ulucza należały także dwa przysiółki – Czerteż i Pasieki - leżące na wzgórzach od strony północno-wschodniej wioski. Od strony południowo-wschodniej Ulucz graniczy z wsią Dobra, od strony zaś północno-zachodniej z wsią Gruszówka. Po lewej stronie Sanu, naprzeciw Ulucza, leżą wsie Łodzina i Witryłów. Po północnej stronie Ulucza rozłożone są wsie Borownica i Brzeżawa. Dokumenty źródłowe podają, że kolejnymi właścicielami Ulucza byli: Stanisław Smalawski herbu „Pilawa” (przełom XV i XVI w.), Piotr Starzyński (1772 r.), Teodor Tergonde (od 1828 r.) oraz Lesław Dydyński (do 1939 r.)



Rys. 1 Uproszczony schemat dawnego Ulucza



Rys. 2 Mapa Ulucza i okolic dziś

W środku Ulucza (Kąt) był zbudowany przez rodzinę Tergonde typowy dworek szlachecki wraz z obiektami gospodarczymi. Do dworku należały spore obszary ziemi uprawnej oraz duże obszary lasów, rozciągające się aż po miejscowość Bircza. Drogą koligacji rodzinnej, majątek dworski przeszedł w ręce rodziny Dydyńskich. Naprzeciw dworu, na górze Dębnyk (Dubnyk), znajduje się zabytkowa cerkiew zbudowana z drewna modrzewiowego w połowie XVII wieku. Obok cerkwi stały niegdyś klasztor zakonu Bazylianów oraz obiekty obronne, otoczone fosą i kamiennym murem z otworami strzelniczymi. W obrębie murów znajdowały się dwie studnie. W warowni tej organizowano obronę przed najazdami Tatarów. Resztki fosy i murów obronnych przetrwały do chwili obecnej. Wymieniony wyżej zakon Bazylianów został w roku 1744 rozwiązany, a jego rzeczy przeniesiono do klasztoru w Dobromilu. W chwili opuszczenia Ulucza zakonnicy rzucili na wieś klątwę, w której była zapowiedź, że Ulucz ulegnie całkowitej zagładzie. Co było przyczyną tak strasznej klątwy trudno dziś dociec. O klątwie rzuconej na Ulucz wiedziała ludność sąsiednich i dalej położonych od Ulucza wiosek. Na marginesie w tej sprawie, podam tu rozmowę mojej babci Julii Chomy-Zieleckiej z księdzem w parafii Dydnia. Rozmowa ta miała miejsce w 1882 roku, kiedy to moja przyszła babcia zgłosiła się po metrykę

urodzenia potrzebną do zawarcia związku małżeńskiego. Babcia była mieszkanką wsi Raczkowa, a ta wieś wówczas należała do parafii Dydnia. Wiekowy już ksiądz odradzał młodej pannie wyjście za mąż za uluczanie, gdyż wieś ta jest przeklęta. Wspomniana klątwa spełniła się w roku 1946. Oprócz cerkwi na Dębniku, istniała w Uluczu w rejonie Dołu druga, murowana świątynia, tzw. „biała cerkiew”, zbudowana przez rodzinę Smalawskich prawdopodobnie w drugiej połowie XV w. Pierwotnie była to świątynia zboru ariańskiego. Później przekazano ją Rusinom i zamieniono na cerkiew. Z powodu złego stanu technicznego rozebrano ją w 1909 r. Na jej miejsce, w roku 1925 zbudowano nową cerkiew drewnianą, która przetrwała do 1947 r. W czasie likwidacji band UPA wieś została całkowicie spalona, a jej mieszkańcy w 1947 r. przesiedleni do Związku Radzieckiego i na ziemie zachodniej Polski. Wcześniej, bo już wiosną 1945 roku, część Polaków z Ulucza została nocą uprowadzona i wymordowana w nieznanym miejscu przez UPA. Reszta Polaków opuściła Ulucz w następnym dniu. Mordy dokonywane na Polakach w Uluczu zostaną opisane w osobnym rozdziale.

Na początku XIX wieku, w obrębie majątku rodziny Tergonde w Borownicy (wówczas była to część Ulucza), została zbudowana przez Niemca huta szkła. Kadre fachową w zakresie wytopu szkła sprowadzono z Niemiec i ziem zaboru pruskiego. Na terenach przyległych do huty zbudowane zostało osiedle dla pracowników huty. Z biegiem czasu osiedle to rozrosło się i w końcu wyodrębniło się w oddzielną wioskę o nazwie Borownica. Jej mieszkańcy byli Polakami wyznania rzymsko-katolickiego. W tym miejscu chcę wyjaśnić nazwę: Borownica. Nazwę tę nosi odgałęzienie Ulucza, nowa wioska przy hucie szkła oraz potok przepływający przez Ulucz. Do produkcji szkła używano piasku pozyskiwanego z rzeki San w Uluczu. Drugim niezbędnym składnikiem szkła był węglan sodu, zwany wówczas potażem. Wytwórnę potażu zlokalizowano w środku Ulucza (na Kącie), przy potoku Borownica. Jako paliwo do wytopu szkła używano drewna bukowego pozyskiwanego z miejscowego lasu. Oprócz huty i wytwórni potażu został zbudowany w Uluczu duży tartak z napędem parowym. Maszyna parowa napędzała traki oraz małą elektrownię. Wytwarzany prąd elektryczny zasilал maszyny pomocnicze tartaku. Oprócz tego prąd elektryczny rozprowadzono do oświetlenia mieszkań pracowników tartaku.

W końcu XIX wieku huta upadła, a jej pracownicy zajęli się rolnictwem. Wraz z upadkiem huty upadła również wytwórnia potażu. Tartak spłonął w 1926 roku i już nie został odbudowany. Tak więc, zakończył się „złoty wiek” dla mieszkańców Ulucza. Pracownicy potracili pracę w hucie, potażni i tartaku. Chłopi stracili pracę przy wyrębie lasu. Zanikły prace

transportowe przy wywózce drewna z lasu, wydobywaniu piasku z Sanu, a także zakończył się transport gotowych wyrobów do stacji kolejowej w Sanoku. Huta pozostawiła po sobie nową wioskę Borownicę z ludnością polską. Właściciel obszarów ziemskich w Borownicy – Dydyński - zbudował w Borownicy kościół dla miejscowych mieszkańców, a władze kościelne utworzyły w 1909 roku nową parafię rzymsko-katolicką. Do nowej parafii zostali przyłączeni Polacy zamieszkujący w sąsiednich wioskach ruskich. Do roku 1909 Polacy z Ulucza i Gruszkówki należeli do parafii w Mrzygłodzie. Rusini mieli w Uluczu swoją parafię, a Żydzi posiadali tu własną świątynię.

W latach trzydziestych XX wieku zostało odkryte w Uluczu złożo ropy naftowej. Wywiercono dwa otwory o głębokości 300 m i w roku 1936 zaczęto ropę tę wydobywać. Transport ropy do Sanoka odbywał się w beczkach przewożonych na chłopskich furmankach. Zablysło nowe światło rozwoju przemysłu naftowego w Uluczu. W czasie wojny nikt z okupantów nie interesował się wydobywaniem ropy. W latach powojennych, ze względu na koszt transportu tego surowca i jego niewielkie ilości, nie podjęto jego eksploatacji.

Od zarania istnienia Ulucza chłopci użytkowali po jednym łanie ziemi, przydzielonej im przez właścicieli ziemskich. Za użytkowanie ziemi chłopci odrabiali tzw. pańszczyznę. Łanami nazywano w Uluczu pasy ziemi o szerokości ok. 40 m. rozciągające się od rzeki San na południu, do północnych granic wsi. W miarę zwiększania się liczby mieszkańców, łany dzielono na coraz węższe pasy. W latach międzywojennych cały nienaruszony łan ziemi pozostał tylko w majątku parafialnym, użytkowanym przez księdza grekokatolickiego. W nieco inny sposób przydzielano grunty mieszkańcom Ulucza na Krajnikach. Ta część wioski była zaściankiem szlacheckim. Tu przydzielano ziemię metodą rejonizacji (w kilku miejscach). Na skutek zaniedbań, jego mieszkańcy nie złożyli w odpowiednim czasie do komisji cesarskiej (po pierwszym rozbiórze Polski) aktu potwierdzającego nadanie im szlachectwa. Korzystając z tego niefortunnego niedopatrzenia, właściciele Ulucza zabrali krajniczanom ich spore obszary leśne i przyłączyli je do swoich majątków. Nie zdołali jednak narzucić im pańszczyzny.

Od odległych wieków Ulucz był rozległą obszarowo i dość ludną wsią. W roku 1870 było w Uluczu 285 domów, w których zamieszkiwało 1621 osób. Wśród nich było: 1342 Rusinów, 98 Polaków i 181 Żydów. W roku 1939 Ulucz liczył 2040 mieszkańców, z czego 1840 Ukraińców, 125 Polaków i 75 Żydów. W wymienionych wyżej okresach wiele osób z Ulucza wyemigrowało do krajów zachodnich, a szczególnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Część emigrantów, po zarobieniu odpowiedniej sumy pieniędzy, powracała do Ulucza i tu

zakładała nowe rodziny. Większość pozostała na stałe w USA. Do pierwszej wojny światowej wszystkie trzy społeczności Ulucza żyły w zgodzie. Nie używano pojęcia *Ukrainiec* lecz *Rusin* (*Rusnak*). Pojęcie *Ukrainiec* zaczęło się pojawiać w Uluczu dopiero po pierwszej wojnie światowej, z chwilą powstania państwa polskiego. Za dowód o zgodnym współżyciu mieszkańców Ulucza może świadczyć przykład rodziny Zieleckich. Mój pradziadek Adolf Zielecki ożenił się w Uluczu z Rusinką Marią Sawczak. Jego wnuk Józef, mój ojciec, pojął za żonę Rusinkę Pelagię Gulaczek. Dwóch przyrodnych braci mojego ojca – Piotr i Stanisław – ożenili się w Uluczu również z Rusinkami. Siostra mojej mamy Katarzyna (Rusinka) wyszła za mąż za Polaka, Polańskiego. Tak więc, dwie siostry (Rusinki) wyszły za mąż za Polaków. Takie mieszane małżeństwa w Uluczu były powszechne. Często takie rodziny obchodziły podwójne święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia. Różniące się nieco religie małżonków nie stanowiły przeszkody w ich pożyciu rodzinnym.

Tradycje i obyczaje mieszkańców Ulucza

Domostwo

Starodawne domy w Uluczu były budowane z drewna jodłowego. Do końca XVIII wieku przy budowie chat nie używano gwoździ ani pił. Drewno budowlane było obrabiane tylko toporami i siekierami, a otwory konstrukcyjne wiercono prymitywnymi świdrami kowalskiej roboty. Zamiast gwoździ stosowano drewniane kołki, którymi łączono elementy konstrukcji domu. Zbudowana w taki sposób dzwonnica przycerkiewna w Dobrej przetrwała do dziś i stanowi chroniony prawem zabytek. Poszczególne pomieszczenia typowego domu w Uluczu były budowane w jednym ciągu, pod wspólnym dachem krytym żytnią słomą. W ciągu tym była jedna duża izba i mały alkierz, duża sień, obora dla bydła oraz szopa. Obok domu znajdował się bróg do składowania snopków zbóż. Duża sień służyła pierwotnie jako klepisko do omłotu cepami zboża. W późniejszym czasie klepisko było budowane za oborą, a sień była przegrodzona, tworząc w ten sposób dodatkowe pomieszczenie zwane komorą. Najstarsi ludzie pamiętali, że w oknach domów, zamiast szyb szklanych, używane były błony z wnętrzości zwierząt. W dużej izbie stał kamienny piec do wypieku chleba, a przy nim przypiecek do gotowania strawy. Na przypiecku stał żelazny ruszt na trzech nóżkach, na którym stawiano żeliwne garnki do gotowania posiłków. Pod rusztem paliły się polana drewna. Dym, zarówno z piekarnika, jak i spod rusztu, wychodził na izbę i układał się równą płaską warstwą pod sufitem do grubości około 0,5 m. Na tej wysokości ściany i sufit były zupełnie czarne. Poniżej warstwy dymu ściany pokoju były malowane białym wapnem. W suficie tego pokoju był kwadratowy otwór przykryty drewnianą pokrywą z wystającym w dół drążkiem. Po

nagromadzeniu się pod sufitem odpowiedniej warstwy dymu podnoszono drążkiem pokrywę i przesuwano ją na bok. W ten sposób otwierano połowę otworu na strych, do którego uchodził zgromadzony w pokoju dym. Po jego usunięciu otwór zamykano. Chata z takim piecem nazywała się kurną. Dwa tego typu domy zachowały się na Krajnikach do 1940 r. W drugiej połowie XIX wieku większość kurnych chat miała już piece z wylotem komina na strych. Nowo budowane domy w tym okresie miały już kominy wychodzące ponad dach. W dużym pokoju, pod ścianami ustawione były ławy z grubych heblowanych desek podparte drewnianymi klockami oraz jedna lub dwie prycze do spania. W tylnej części takiej pryczy wstawiano na dzień przetak (sito) wypełniony sianem, w którym kury znosiły jaja. W niektórych starych domach pod ławami bywały nory, w których gnieździły się króliki. Podłogi w tych izbach były zawsze z ubitej gliny (polepa). Górna płaska powierzchnia piekarnika oraz prycze, a często i ławy, służyły jako legowisko do nocnego wypoczynku. W drugim mniejszym pokoju zwanym alkierzem były ustawione dwa łóżka do spania. Z zasady jedno łóżko było zawsze zasłane czystą pościelą z pięknymi ażurowymi wstawkami, z pierzyną i kilkoma, ułożonymi w stos, w różnych rozmiarach poduszkami. Tak zaścielone łóżko nie było używane do spania, lecz stanowiło dekorację pokoju. Obok jednej ze ścian alkierza był wykopany w podłodze okrągły otwór o średnicy około 1,2 m i głęboki na 2 m, służący do przechowywania ziemniaków. Dół był przykryty drewnianą pokrywą. Drzwi do sieni były zamykane drewnianą zasuwą z wyciętymi ząbkami na jej górnej krawędzi. Ząbki te służyły do przesuwania zasuwy z zewnątrz drewnianym kluczem z ruchomą zapadką na jego końcu. Po zamknięciu drzwi klucz był przechowywany w umówionym miejscu, znanym tylko domownikom. Inne pomieszczenia nie były zamykane, gdyż w owym czasie nie zdarzały się żadne kradzieże. Bogatsi mieszkańcy Ulucza, jak np. moja prababcia Maria Sawczak-Zielecka, mieli domy mieszkalne oddzielone od zabudowań gospodarczych. W takich domach pokoje mieszkalne rozmieszczone były po obu stronach sieni. Podłogi w pokojach były już z drewnianych desek.

W domach chłopskich zamieszkiwały liczne trójpokoleniowe rodziny (dziadkowie, ich dzieci i wnuki). W „dziadkowym” domu pozostawał na gospodarce (zwyczajowo) najstarszy syn lub, jeśli nie było w rodzinie potomka męskiego, jedna z córek z zięciem. Pozostałe rodzeństwo odchodziło po ślubie do domu swego małżonka lub budowało dla siebie nowy dom na przydzielonym przez rodziców placu. Jeśli ubodzy rodzice nie mogli takiego placu przydzielić, nowemu małżeństwu parcelę pod budowę przydzielała rada gromadzka ze swoich zasobów

gruntowych. Do czasu wybudowania własnego domu, nowe małżeństwa zamieszkiwały u swoich rodziców.

Obрядki religijne

Grekokatolicy obchodzili bardzo dużo różnych świąt w roku. Były to święta Bożego Narodzenia (3 dni), Wielkanoc (3 dni), Zielone Świątki (3 dni), Jordana, Dymitra, Michała, Mikołaja, Jana (Iwana), Piotra i Pawła, Podwyższenie Krzyża, Wniebowzięcie Chrystusa (Znisinia) i Święto Zmarłych. Najbardziej uroczyste obchodzono Znisina, które w Uluczu było odpustem. Dwa dni wcześniej przed odpustem zjeżdżało się do Ulucza wielu kramarzy z różnymi towarami, które układano na przywiezionych kramach (stoiskach). Oprócz typowych przedmiotów odpustowych przywożono również odzież i obuwie, a nawet dzwony z przemyskiej ludwisarni. Kramy rozkładano przy skrzyżowaniu dróg w centrum Ulucza (Kąt) a nawet na moście potoku Borownica. Dużą atrakcją była karuzela i diabelski młyn. Obie te „machiny” były napędzane przez silnych dorosłych mężczyzn. Za trzykrotne napędzanie owych „machin” można było jeden raz się na nich przejechać. Były również różne „kręciołki” loteryjne, strzelnice z wiatrówek oraz inne gry. W dniu odpustu odbywało się w cerkwi na Dębniku wielkie nabożeństwo, w którym uczestniczyli również księża z sąsiednich parafii grekokatolickich. Do tego odpustu szczególnie przygotowywały się dzieci. Już od wiosny zbierały do skarbonek grosiki, za które w dniu odpustu kupowały jarmarkowe zabawki i słodczyce. Wieczorem rozpoczynał się festyn taneczny, który trwał do samego rana.

Drugim dość uroczystym świętem był Dzień Zmarłych. Nabożeństwo odbywało się również w cerkwi na Dębniku, gdyż tu był cmentarz. Na groby bliskich przynoszono piękne upieczone chleby i inne jadalne oraz zapalano świece. W nocy parobkowie miejscowego proboszcza zbierali chleby z grobów i znosili je na furmankę, po czym zawozili je do majątku księdza, gdzie chlebem tym skarmiano bydło i świnie.

Uroczystym świętem obchodzonym 19 stycznia był Jordan. Po nabożeństwie w cerkwi na Dębniku wyprowadzano procesję z obrazami i chorągwiami nad potok Borownica na Kację. Nad nurtem potoku zbudowany był dość obszerny pomost, z którego ksiądz w asyście diaka poświęcał kropidłem wodę w potoku. Poniżej pomostu ustawiali się ludzie z różnymi naczyniami i w chwili poświęcenia wody nabierali ją do swych naczyń. Jeśli potok był pokryty warstwą lodu, to od pomostu w dół potoku było wyrąbane w lodzie koryto odsłaniające lustro wody. Po tej ceremonii procesja powracała do cerkwi, a parafianie ze święconą wodą

rozchodzili się do domów. Przyniesiona święcona woda służyła święceniu drzew owocowych, zasiewów w polu, itp.

Kolejnym ważnym świętem była Wielkanoc. Wczesnym rankiem w Wielką Niedzielę ludzie gromadzili się na Dębniku wokół cerkwi i rozkładali świąteczne pieczywo oraz inne jadlo. Ksiądz w asyście diaka obchodził plac wokół cerkwi i kropidłem święcił przyniesione przez ludzi ich wypieki i inne smakołyki. W tym czasie były wszystkie dzwony a wierni śpiewali nabożne pieśni. Kilkanaście metrów od cerkwi ustawiano kilka tzw. moździerzy. Do ich otworów strzelniczych wsypywano proch a następnie klinowano te otwory drewnianymi kołkami. Obok moździerzy paliło się ognisko, w którym rozgrzewano do czerwoności żelazne pręty, po czym wkładano je do prochowych otworów powodując w ten sposób wybuch prochu, a drewniany klin z głośnym hukiem wylatywał w powietrze. Takie odgłosy wystrzałów słychać było z różnych stron Ulucza. Dużo hałasu robiły dzieci swoimi kołatkami. Strzelano również z pistoletów korkowych. Takie hałasowanie trwało przez całą świąteczną niedzielę. Strzelanie z „moździerzy” zostało w 1930 roku zabronione.

Wigilię Bożego Narodzenia grekokatolicy obchodzą 6 stycznia. W tym dniu, w głównym pokoju domu ustawiano dużych rozmiarów stół, na który nakładano warstwę siana i przykrywano go białym obrusem. Na tak przygotowany stół układano gliniane misy z dwunastoma potrawami, wśród których obowiązkowa była kutia z obłuskanych ziaren pszenicy. Na podłogę pokoju obok stołu wigilijnego rozścielano słomę, która była dużą atrakcją dla małych dzieci. Do stołu wigilijnego siadano po ujrzeniu pierwszej gwiazdy. U grekokatolików nie było zwyczaju dzielenia się opłatkiem, gdyż ich liturgia tego nie przewidywała. Spożywanie wigilijnego posiłku poprzedzone było dość długą modlitwą. Siano ze stołu i słomę z pokoju wynoszono trzeciego dnia świąt. Od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia rozpoczynały się wędrówki kolędników. Ówcześni kolędnicy przypominali zespół artystyczny. W skład zespołu wchodził: Matka Boża, anioł, diabeł, śmierć z kosą, król Herod i jego żołnierze, pastuszkowie i obowiązkowo – Żyd. Wszystkie te postacie były ubrane, odpowiednio do roli, w bogate stroje. Kolędnicy rozpoczynali swoją wędrówkę od końca wsi, wstępując do każdego otwartego domu. Po wejściu do domu, szef zespołu składał gospodarzom życzenia świąteczne, po czym następowało przedstawienie jasełkowe. Czołowe miejsce zajmował król Herod, który siedząc na krześle rozkazywał swoim żołnierzom „zabijanie” małych dzieci. W końcowej fazie przedstawienia odbywał się sąd nad Herodem, zakończony „ścięciem” mu głowy przez śmierć przy pomocy kosy. Z tego rozstrzygnięcia bardzo cieszył się diabeł, który zabierał duszę Heroda. Po odśpiewaniu kolędy kolędnicy opuszczali dom.

W zależności od zamożności danej rodziny, gospodarz lub gospodyni wręczali kolędnikom różnej wartości podarki (miaraka zboża, kilka jajek lub pieniędzy). W okresie poświątecznym domy w Uluczu były odwiedzane przez kilka grup kolędników, w tym przez kolędników z innych wiosek.

Obrządki rodzinne

Chrzest

Do obrządków rodzinnych należały: chrzest dzieci, wesela i pogrzeby. Nie obchodzono imienin ani urodzin. Poród dziecka odbierała domorosła akuszerka. Do jej obowiązków, oprócz odebrania porodu, należało wyznaczenie tzw. mamki, która przez kilka dni miała karmić piersią noworodka oraz powołanie chrzestnych (kumostwa) wskazanych przez rodziców dziecka. W zależności od zamożności rodziców liczba powoływanych chrzestnych wynosiła od jednej do kilkunastu par. Na chrzestnych wybierano osoby z bogatszych rodzin, gdyż od nich można było uzyskać większe datki dla dziecka. Na chrzciny, oprócz chrzestnych, zapraszano wybranych sąsiadów i krewnych. Często chrzciny były podobne do wesela. W toku takich uroczystości odbywały się składki pieniężne dla chrzczonego dziecka i osobno dla akuszerki. Często pojedyncze składki dla dziecka były dość wysokie i wynosiły nawet 30 zł, a zebrana suma składowa mogła przekroczyć 200 zł. Jak na czasy międzywojenne były to spore sumy. Rodziny ubogie nie organizowały przyjęć z okazji chrztu a na chrzestnych powoływano tylko jedną parę, która tylko zanosila dziecko do cerkwi i z powrotem do rodziców chrześniaka. Za chrzest ksiądz pobierał dość wysoką opłatę, na którą często nie było stać rodziców dziecka. W takim przypadku za chrzest dziecka płacili chrzestni. Ubodzy rodzice chrześniaka prosili na chrzestnych osoby zamożniejsze, gdyż od nich spodziewali się większych datków dla dziecka. Według istniejących wówczas zwyczajów, nikt nie mógł odmówić zaproszenia na chrzestnego.

Wesela

Do pierwszej wojny światowej o wyborze współmałżonka dla syna lub córki najczęściej decydowali rodzice. Ten sposób doboru współmałżonka dotyczył większości dziewcząt. Do upatrzonej kandydatki na żonę dla syna wysyłano swata, który miał za zadanie wysondować u rodziców dziewczyny możliwość zgody na planowany mariaż. Często nie pytano o zgodę na ten mariaż dziewczyny. W taki sposób wydano za mąż dwie starsze siostry mojej mamy, które w dniu ślubu miały niepełne 17 lat. Kiedy swat, w wyniku rozmów z rodzicami dziewczyny otrzymał pozytywną odpowiedź, wtedy przystępowano do bezpośrednich rozmów rodziców obu stron. W czasie tych negocjacji ustalano wielkość posagu. W tym etapie rozmów brała już

udział para młodych. Jako posag dziewczyna otrzymywała, odpowiednio od zamożności rodziców, kawał pola lub gotówkę. Do standardowego uposażenia dziewczyny należały: jedna krowa, pierzyna, kilka poduszek, bielizna pościelowa oraz kufer do składowania odzienia i pościeli. W owym okresie nie używano jeszcze szaf. Następnym etapem był okres narzeczeństwa, który mógł trwać nawet dwa lata. W tym czasie narzeczonny odwiedzał dziewczynę w jej mieszkaniu z różną częstotliwością, nie rzadziej jednak niż raz w tygodniu. W negocjacjach rodziców obu stron ustalano miejsce zamieszkania młodej pary. Jeśli narzeczonny miał pozostać na gospodarstwie ojca, to dziewczyna miała się po ślubie przeprowadzić do domu męża. Gdy na gospodarstwie ojca był już spadkobierca, omawiano sprawę budowy dla młodej pary nowego domu. Już w okresie narzeczeństwa gromadzono sukcesywnie materiały budowlane (drewno). Do czasu wybudowania nowego domu młode małżeństwo miało czasowo zamieszkiwać u jednych z rodziców (było to ustalane w trakcie negocjacji). Po okresie narzeczeństwa ustalano datę ślubu i wesela. Na wstępie ustalano skład osób funkcyjnych wesela oraz gości. Najważniejszymi weselnikami byli starosta i starościna. Panna młoda wybierała sobie kilka drużek, a pan młody kilku družbów. Wśród wybranych była starsza družka i starszy družba. Na dwa tygodnie przed weselem panna młoda i jej starsza družka, ubrane w piękne stroje ludowe, odwiedzały wszystkie domy w Uluczu, a często i poza Uluczem. W czasie tych odwiedzin obie panny nisko się kłaniały gospodarzom prosząc o błogosławieństwo na nowej drodze życia. Te dwie panny nazywano młódkami (mołodycie). W zależności od zamożności gospodarzy panna młoda otrzymywała od nich jakiś podarek, najczęściej pieniądze. Od odwiedzanych krewnych panna młoda otrzymywała większe sumy pieniędzy. Według starego zwyczaju była to pomoc dla młodej pary na nową drogę życia. Czyż nie był to piękny zwyczaj?

W ustalonym terminie odbywał się ślub i wesele. W przededniu uroczystości weselnych, w porze wieczorowej, družbowie wraz z orkiestrą odwiedzali starostę i starościnę wesela, starszego družbę i starszą družkę oraz niektórych sąsiadów w ich domach i tam składali oficjalne zaproszenia na ślub. Gospodarze odwiedzanych domów częstowali przybyłych kieliszkiem wódki a orkiestra w tym czasie grała marsza. Wynajęci muzykanci nocowali u pana młodego i z nastaniem świtu orkiestra przygrywała wszystkim przybywającym gościom weselnym. Każdy przybywający gość wpłacał orkiestrze datek pieniężny. Po tej ceremonii ustawiał się przed domem pana młodego korowód weselny, który wyruszał pieszo do panny młodej. Na czele korowodu maszerował starosta trzymając w ręku udekorowaną wstążkami laskę. Za nim szła orkiestra, a za orkiestrą, w asyście dwóch drużek, szedł pan młody i reszta

gości. Za korowodem weselników szła zgraja ciekawskich dzieciaków. Po przybyciu weselników pod dom panny młodej następowała ceregielia dobijania się do drzwi domu, które były zamknięte. Rodzice panny młodej pytali, po co tu przybyliście itp., po czym otwierano drzwi i wpuszczano do domu starostę i drużbów. Drużbowie wyprowadzali przed dom pannę młodą, która w ich asyście włączała się do korowodu. Następnie cały ten szyk maszerował do cerkwi, gdzie odbywała się uroczystość zaślubin. Po ślubie młodzi małżonkowie wraz z wszystkimi weselnikami ruszali pieszo do domu panny młodej na przyjęcie weselne. Goście usadowiali się na ławach za stołami ustawionymi przy trzech ścianach pokoju, po czym spożywali suty obiad. Po obiedzie drużba przynosił w litrowej butelce wódkę i jeden kieliszek o małej pojemności. Pierwszy kieliszek wypijał drużba i po napełnieniu podawał sąsiadowi. Butelka i kieliszek wędrowały przez całą długość stołu. Oj! Trzeba było długo czekać, aż butelka i kieliszek wrócą na początek stołu. W czasie popijania wódki śpiewano różne piosenki, zarówno ruskie jak i polskie. Po każdej piosence orkiestra grała melodię tej piosenki. Był zwyczaj śpiewania różnych przyśpiewek dedykowanych różnym osobom. Słowa przyśpiewek były wymyślane na poczekaniu, a ich treść była uszczypliwa i często sprośna. W rewanżu, osoba, której treść ta dotyczyła odpowiadała przyśpiewką jeszcze bardziej uszczypliwą. Po każdej przyśpiewce orkiestra zagrywała jej melodię. Podam tu przykład takiej przyśpiewki na weselu mojej kuzynki Hani (Rusinki) dedykowanej jednemu członkowi orkiestry z Borownicy, panu Rychlickiemu, który grał w orkiestrze na trąbce. Jej treść brzmiała: „*Gdzie ty jedziesz Rychlicki, do Dynowa po pi..., idź ty głupi łachmanie i w Uluczu dostaniesz*”. Przyśpiewki śpiewano na znane melodie.

Tańce odbywały się w stodole na klepisku przy świetle lamp naftowych lub na podwórzu domu panny młodej, na zbudowanej z desek estradzie. Taka zabawa trwała do późnych godzin nocnych, po czym weselnicy rozchodzili się do swoich domów na nocleg. Rano ponownie zbierali się u panny młodej, skąd identycznie jak w dniu poprzednim uformowany korowód maszerował do młodego żonkosia, gdzie odbywały się poprawiny. Na końcu korowodu jechała furmanka z wianem młodej żony. Był zwyczaj, że drużbowie zabierali z domu rodziców młodej mężatki różne przedmioty codziennego użytku (garnki, sztuce, talerze, masielniczkę i podobne rzeczy). Po takiej imprezie dom rodziców panny młodej był często doszczętnie ogołocony. Takie były prawa tradycji. Nieco inaczej wyglądała impreza, gdy młody zięć miał zamieszkiwać po ślubie u swoich teściów. Było takie powiedzenie w Uluczu, że kto wydał za mąż kilka córek, ten pozostawał „dziadem”.

W roku 1937 wychodziła za mąż najstarsza córka mojej ciotki Katarzyny Polańskiej – Milka, a w roku 1938 druga z jej córek, Hania. Na obydwu weselach starostą był mój ojciec. Ja, ośmiolatek, obserwowałem jako gapowicz cały przebieg obu tych wesel. Rozpierała mnie duma, że mój ojciec kierował całością ceremonii, w szczególności gdy szedł na czele orszaku weselnego z udekorowaną laską. Na obu weselach maszerowałem wraz ze zgrają dzieciaków na końcu korowodu weselnego. Podobne ceremonie odbyły się jeszcze w Hłomczy, w roku 1946, gdy wychodziła za mąż moja siostra Paulina. Na tym weselu byłem już młodym druhną.

Pogrzeby

Osoby w starszym wieku już wcześniej przygotowywały się do odejścia z tego świata. Obowiązek pochówku spoczywał na potomku, który miał dziedziczyć spadek po rodzicach. Ponieważ pogrzeb był obrzędkiem kosztownym, zapobiegliwi dziadkowie mieli zawsze na ten cel jakieś środki materialne, które miały pomóc potomkowi w opłaceniu pogrzebu. Trzymano więc dodatkowo jedną sztukę bydła (krowę), którą na ten cel sprzedawano. Na strychu gromadzone były deski do wyrobu trumny, a w kufrze przygotowane było pogrzebowe odzienie. Niektórzy mieli na strychu już gotowe trumny. Przygotowania te były podobne do opisów Władysława St. Reymonta w powieści „Chłopi”. Zmarłą osobę obmywano wodą, mężczyznom golono twarz, ubierano w przygotowane odzienie i wkładano w trumnę ustawioną na katafalku w głównym pokoju domu. Przy tak ułożonym nieboszczyku czuwali – nieprzerwanie przez dwie doby – krewni i sąsiedzi. Przy zamożniejszym zmarłym czuwało znacznie więcej osób niż przy ubogim. Trzeciego dnia od śmierci danej osoby odbywała się ceremonia pogrzebowa. Do domu zmarłego przyjeżdżał swoją kareta ksiądz i po wejściu do izby, w której leżał zmarły rozpoczynała się dość długa modlitwa. Po zamknięciu trumny zmarłego wynoszono na podwórze. Tu trumnę wkładano na specjalną lektykę i nakrywano czarnym całunem (jeden z mieszkańców Ulucza - Kłysz – mawiał, że nie boi się śmierci lecz tej czarnej płachty). Na podwórzu zmarłego formował się kondukt pogrzebowy. Na czele jechał w karecie ksiądz z diakiem, za nim czterech mężczyzn niosło na lektyce trumnę, a za lektyką szła najbliższa rodzina i pozostali żałobnicy. Tak uformowany kondukt zmierzał na cmentarz przycerkiewny na górze Dębik. Po mszy w cerkwi następował pochówek, podczas którego nad grobem zmarłego ksiądz wygłaszał mowę. W czasie całego przemarszu konduktu i w czasie pochówku biły wszystkie dzwony w cerkwi. Za pogrzeb trzeba było opłacić księdza, diaka, dzwonnika i grabarza. Po pochówku zapraszano krewnych i sąsiadów na stypę, która odbywała się w karczmie u Żyda Borucha. Opisany przebieg pogrzebu odnosi się do przeciętnie zamożnego parafianina. Podczas pochówku biedaka trumnę wieziono na furmance, a ksiądz

przyjeżdżał tylko do cerkwi dla odprawienia mszy i pochówku. Za pochówek płaciło się księdzu przed pogrzebem. Polacy z Ulucza byli chowani na cmentarzu z Borownicy lub w Uluczu. Dawniej, gdy Polacy z Ulucza należeli do parafii w Mrzygłodzie, ich pochówek odbywał się na cmentarzu mrzygłodzkim lub w Uluczu. W pochówku Polaka w Uluczu brało udział dwóch księży – grekokatolicki z Ulucza i rzymskokatolicki z Borownicy lub z Mrzygłodu. Moi przodkowie Zieleccy zostali pochowani: pradziadek Adolf w Mrzygłodzie, prababcia Maria (Rusinka) w Uluczu, dziadek Mikołaj i babcia Julia w Uluczu, zaś ojciec mój Józef i matka Pelagia w Mrzygłodzie.

Zabobony

Od zarania istnienia Ulucza mieszkańcy wsi wierzyli głęboko w czary, wróżby, zaklęcia, istnienie czarownic i duchów zmarłych. W istnienie czarownic niektórzy ludzie w Uluczu wierzą do dnia dzisiejszego. Wierzono i wierzy się nadal, że czarownice zabierają mleko krowom sąsiadów i sprowadzają na zwierzęta domowe różne choroby. Jeżdżono do różnych wrózek i wróżbitów aby ci mogli wskazać czarownicę w ich sąsiedztwie. Niektórzy mieszkańcy Ulucza sprowadzali do siebie wróżbitów, którzy zabezpieczali ich obory przed działaniem czarownic i wskazywali – ogólnikowo – w jakim rejonie znajduje się czarownica. Po takich odwiedzinach wróżbitów padały podejrzenia i pomówienia na sąsiadów, z czego wynikały dość poważne kłótnie i awantury. Zagorzali przeciwnicy czarownic jeździli do jakichś zakonników w Przemyślu, skąd przywozili drażetki o nazwie „światło”. Drażetki te wkładano do wywierconych w żłobach i rogach krów otworów, które następnie klinowano drewnianymi kołkami. Dni Wielkiego Czwartku i Wielkiego Piątku uważano za dni czarownic. W tych dniach polowano na czarownice, które miały w tym czasie jakoby zbierać poranną rosę oraz zabierać nocą ze stodół siano lub słomę do czarodziejskich praktyk. Starzy ludzie opowiadali jak to dawniej jeżdżono do zamku w Załużu, gdzie zawierano z diabłami kontrakty, w których diabły zobowiązywały się do pomocy w szybkim wzbogaceniu się danej osoby. Za taką pomoc diabły miały zabierać po śmierci tej osoby jej duszę. Podpisujący tę umowę miał oddać diabłu swą duszę w chwili gdy zakończy budowę całego swego gospodarstwa. Stąd też w takim gospodarstwie zawsze coś się budowało. Wskazywano nawet w Uluczu osoby, które taki kontrakt z diabłami podpisały. Byli to pracownicy i zaradni gospodarze, ale w oczach nierobów i ciemniaków nie można było dorobić się bogactwa bez pomocy diabła.

O duchach zmarłych mówiło się w Uluczu powszechnie. Jeszcze jako dzieciak, sam nasłuchałem się dużo opowieści o duchach, które przekazywane były w moim domu przez sąsiadów kupujących u nas wyroby tytoniowe. Po zakupie tytoniu rozsiadali się oni w pokoju,

w którym ojciec handlował tym towarem (była to trafika) i do późnych godzin wieczornych snuli opowieści, jak to bezpośrednio spotykali się z duchami. W okresie międzywojennym, w starym domu w Uluczu żyła samotna wdowa, którą w każdą noc odwiedzał zmarły mąż i w złośliwy sposób jej dokuczał. Kobieta prosiła sąsiadów, aby pomogli jej odpędzić nieznosnego ducha. Sąsiedzi niezmiennie czuwali u niej w nocy, ale w czasie ich pobytu u wdowy duch się nie pojawiał. Zainteresował się tą sprawą miejscowy ksiądz, który w mieszkaniu nękaney kobiety odprawił nabożeństwo i poprosił ducha aby dał spokój swojej byłej żonie. I faktycznie, duch się więcej nie pojawił. W pierwszej połowie XIX wieku do pewnej wdowy przychodził jej zmarły mąż i z nią sypiał. Kobieta zaszła w ciążę i urodziła dziecko, które nie miało oczu ani rąk, a jego ciało było gąbczaste. Takie to były opowieści, a ludzie w Uluczu święcie w to wierzyli.

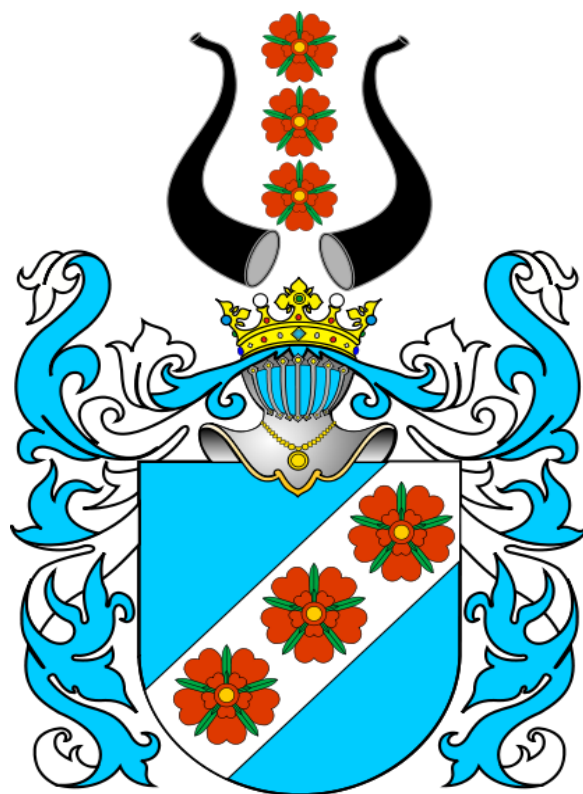
Daniny

Funkcjonowało w Uluczu jakieś dawne prawo cerkiewne, według którego parafianie mieli obowiązek składania księdzu daniny w postaci snopów zboża. Wielkość tej daniny zależała od powierzchni gruntów. Po żniwach jechały przez wioskę drabiniaste wozy księdza oraz ekonom majątku parafialnego z wykazem wielkości daniny przypadającej na dany numer domu. Chłopi wynosili snopki na pobocze drogi, a parobkowie księdza ładowali je na wozy. Zebrane snopki zwożono do stodół księdza. Pozostało mi w pamięci zdarzenie, jak staruszka Firycha i jej kaleki syn wynosili takie snopki dla księdza. Była to bardzo biedna kobieta mieszkająca jeszcze w tym czasie (1938 r.) w kurnej chacie. Było to coś haniebnego. Nawet mój ojciec przez pewien czas oddawał księdzu snopki od pola, które było wianem mojej mamy. Po trzech latach przestał oddawać księdzu ruskiemu taką daninę. Ksiądz Orest Sołtykiewicz groził ojcu, że pozwie go do sądu, ale ojciec mój groźbę zignorował. Były roczne daniny dla wiejskiego stróża i dzwonnika. Do obowiązków wiejskiego stróża należało pilnowanie w nocy obejść chłopskich. Rzetelność jego pracy sprawdzała policja. Dzwonnik zbierał daninę za rozpędzanie, za pomocą dźwięku dzwonów z dzwonnicy cerkiewnej, chmur burzowych. Przy zbliżaniu się do Ulucza takich chmur dzwonnik biegł na Dębnik i uruchamiał cerkiewne dzwony. Były też dobrowolne daniny żytniej słomy na pokrycie dachów domów nowożeńców i pogorzalców. Dawano też drobne datki dla licznych żebraków. Innym pięknym zwyczajem była pomoc nowym rodzinom przy budowie ich domów. Pomagano przy ścinie drzew w lesie i zwożeniu ich na plac budowy. Taką samą pomoc świadczone bezpłatnie pogorzelcom. Nie odmawiano pomocy przy pracach polowych wiekowym i samotnym osobom, a także biednym wdowom z nieletnimi dziećmi.

W takim oto Uluczu utworzona została, w pierwszej połowie XIX wieku, nowa rodzina Zieleckich. Przedstawienie opisu tej rodziny i początku jej funkcjonowania w Uluczu uznałem za niezbędne, gdyż w toku dalszych opisów mojego życia będę się często powoływał na oddziaływania członków tej rodziny na los mój i mojej rodziny.

Ród Zieleckich w Uluczu

Ród Zieleckich wymienia w swoim herbarzu Bartosz Paprocki. Podaje on, że jeden z Zieleckich brał udział w bitwie pod Pskowem pod wodzą króla Stefana Batorego. W opisie tego rodu podaje, że siedzibą Zieleckich była wieś Zielecin, w rejonie Sieradza.



Rys. 3 Herb rodu Zieleckich „Doliwa”

Ród Zieleckich pieczętował się herbem „Doliwa” (rys. 3). W innych opisach rodów szlacheckich są wzmianki, że Zieleccy zawsze brali czynny udział w wojnach prowadzonych przez Rzeczpospolitą. Wielu z nich ginęło na polach bitewnych, stąd też nazwiska Zieleckich są rzadkością na terenie Polski. Przykładem patriotyzmu tego rodu jest udział trzech braci Zieleckich w wojnie napoleońskiej w szeregach armii polskiej dowodzonej przez księcia Józefa Poniatowskiego.. W roku 1809, w bitwie stoczonej koło Rybotycz (Galicja) z wojskami austriackimi, dwóch braci Zieleckich poległo a trzeci z nich został ciężko ranny. Rannym legionistą zaopiekowała się szlachta galicyjska. Tym rannym był mój przyszły prapradziadek Wiktor Zielecki. Wyleczony w przemyskim szpitalu, ulokował się w Dubiecku, obok Przemyśla, gdzie założył rodzinę. Miał troje dzieci: Jana, Jadwigę i Adolfa. Najstarszy syn Jan pracował w majątkach dworskich jako ekonom. Był bezdzietny. Jadwiga została żoną sędziego z Dubiecka. Adolf, najmłodszy z rodzeństwa, mój przyszły pradiadek, wyuczył się zawodu mistrza budowy powozów.

Swój pierwszy warsztat założył w majątku klasztornym w miejscowości Stara Wieś, obok powiatowego miasta Brzozowa. Tam produkował różnego typu powozy dla okolicznej szlachty. Materiał drzewny do produkcji powozów pozyskiwał z lasów w miejscowości Ulucz, odległego od Starej Wsi o około 30 kilometrów. Rosły tam dorodne buki, dęby, akacje, jesiony,

graby oraz drzewa iglaste. Tu właśnie, mój pradziadek Adolf z grupą swoich pracowników pozyskiwał potrzebny mu materiał drzewny. Noclegi i wyżywienie dla swoich pracowników załatwiał pradziadek u miejscowych chłopów. Sam pradziadek lokował się, co roku, u młodej wdówki Marii Sawczak. Była to chyba najbogatsza kobieta w całym Uluczu. Jako jedynaczka, odziedziczyła cały majątek po swym ojcu i drugi, podobny majątek po swej matce. Oba te majątki znajdowały się blisko siebie, na Krajnikach (rys.1). Ponadto Maria odziedziczyła cały majątek po swym, zmarłym w młodym wieku, pierwszym mężu. Majątek ten znajdował się na drugim końcu Ulucza, od strony Gruszówki. Każdy z tych majątków miał dość obszerny dom mieszkalny, budynki gospodarcze oraz po około 8 ha ziemi. Tak bogata, młoda wdówka o nieprzeciętnej urodzie, bezdzietna, przypadła do gustu mojemu przyszłemu pradiadkowi. W roku 1844 odbył się ich ślub. W ten sposób powstała nowa rodzina Zieleckich w Uluczu.

Z małżeństwa Marii i Adolfa urodziło się pięcioro dzieci: trzech synów (Michał, Mikołaj i Józef) i dwie córki (Maria i Katarzyna). Prababcia Maria całkowicie podporządkowała się swemu mężowi. Pradziadek Adolf dysponował wszystkimi dochodami z majątków Marii. W jednym z majątków Marii urządził pradziadek Adolf nowy warsztat produkcji powozów, który przynosił spore dochody. Do okuwania stalowymi elementami drewnianych części produkowanych powozów zatrudnił pradziadek kowala Jasińskiego. Na ogrodzie prababci Marii zbudował pradziadek, dla kowala, kuźnię i dom mieszkalny. Po zakupy materiałów metalowych, do produkcji powozów, jeździł pradziadek do Sanoka, odległego od Ulucza o 21 kilometrów. Transportem zakupionych materiałów zajmowali się służący pradiadka. Sam pradziadek podróżował zawsze na osiodłanym wierzchowcu. Z podróży do domu wracał przeważnie podпиты. W drodze z Sanoka odwiedzał trzy lub cztery karczmy. Żyd – karczmarz wprowadzał pradiadowego wierzchowca do stajni, karmił go, a pradziadek w tym czasie zabawiał się przy kieliszku. Bywałcom karczmy stawiał kolejki, za co był bardzo przez nich lubiany. Wracając którymś razem, w porze nocnej, z Sanoka przekraczał San w bród. Nie zauważył, że poziom wody w Sanie znacznie się podniósł. Koń prawdopodobnie potknął się w głębokiej wodzie, pradziadek spadł z niego i utonął. Rano doniesiono prababci, że osiodłany koń pradiadka chodzi po polu, obok Sanu. Po dwóch dniach poszukiwań wyłowiono zwłoki topielca. Pradziadek Adolf został pochowany w roku 1872, na cmentarzu katolickim w Mrzygłodzie, odległym od Ulucza o 8 kilometrów. W chwili śmierci pradziadek miał 59 lat. Prababcia Maria pozostała po raz drugi wdową.

W roku 1880 ożenił się średni syn Mikołaj. Jego żoną została Julia Choma ze wsi Raczkowa. Od tego roku razem z prababcią Marią zamieszkiwali, oprócz syna Mikołaja z synową Julią,

dwie córki, Maria i Katarzyna oraz najstarszy syn Michał i najmłodszy syn Józef. W roku 1884 odbyła się w Uluczu akcja władz austriackich, zakładania ksiąg wieczystych. Prace te prowadzili geodeci i urzędnicy powiatowi z Brzozowa. W toku kilkumiesięcznej pracy sporządzono dokładne mapy gruntów całego Ulucza, a następnie ustalono dotychczasowych ich właścicieli. Na skutek pomyłki urzędników przypisano majątek, zamiast Marii Zieleckiej (prababci), Julii Zieleckiej, żonie Mikołaja. Nie jest wykluczone, że w tej sprawie maczał palce mój przyszły dziadek Mikołaj. Niezależnie, kto był winowajcą tego przykrego zdarzenia, prababcia Maria została bardzo skrzywdzona. Jej protesty nie odniosły żadnego skutku. Pozostałe dzieci Marii i Adolfa zostały pozbawione prawa do dziedziczenia majątku po swojej matce. Najstarszy syn prababci Michał przebywał w tym czasie na Węgrzech. Dowiedziawszy się o losie majątku jego matki, nie powrócił już z Węgier. Tam założył rodzinę i dorobił się niewielkiego majątku. Jego średni syn Wiktor odwiedził, w roku 1930, mojego ojca w Uluczu, gdzie zapoznał się z dziedzictwem swego ojca Michała. Starszy syn Michała Stefan Zielecki wyjechał do USA, gdzie dorobił się pokaźnego majątku. Mieszkał w Miami na Florydzie. W roku 1954 odwiedził go brat mojego ojca Władysław, który również mieszkał w USA. Trzeci syn Marii i Adolfa Józef, odbywając służbę wojskową w Pradze, zapoznał tam dziewczynę i z nią się ożenił. Dziewczyna ta odziedziczyła po swych rodzicach restaurację w Pradze. Józef zatrudnił się w fabryce wagonów. Do Ulucza nigdy nie przyjechał. Zmarł w 1947 roku w Pradze, nie pozostawiając po sobie potomstwa. Spadkobiercą jego majątku został Wiktor, syn jego brata Michała z Węgier. Pozostałe dwie córki Marii i Adolfa, pozbawione posagu, wyszły za mąż za wdowców. Maria za Patulaka z Hłomczy a Katarzyna za Strzałkę z Łodziny. Prababcia Maria, pozbawiona własnego majątku, rozchorowała się i wkrótce zmarła.

Jedyną właścicielką całego majątku Zieleckich w Uluczu została bezprawnie moja przyszła babcia Julia Zielecka (Choma). W roku 1895, w wieku 39 lat zmarł mój dziadek Mikołaj, pozostawiając po sobie troje nieletnich dzieci: Karolinę, Władysława i Józefa. W roku 1898 babcia Julia wyszła po raz drugi za mąż za Grzegorza Pilipa, mieszkańca Łodziny. Z tego małżeństwa urodziło się troje dzieci: Wiktoria, Piotr i Stanisław. Nowy gospodarz traktował dzieci z pierwszego małżeństwa babci jak niepotrzebne przedmioty. Najstarsza z rodzeństwa dzieci Julii i Mikołaja, Karolina, wyszła za mąż za wdowca z Łodziny Stefana Bagana. Młodszy brat Karoliny Władysław, urodzony w 1891 roku, bity i poniewierany przez ojczyma Pilipa, tułał się jako parobek u bogatych chłopów. Mając 16 lat zatrudnił się, jako parobek, w miejscowym dworze. W roku 1909, w wieku 18 lat, wyjechał do USA. Podróż opłaciła matka

Julia. Tam w Ameryce stryjek ożenił się z dziewczyną z Ulucza, która wyjechała do Ameryki dwa lata później niż stryjek. Z tego małżeństwa urodziło się ośmioro dzieci (cztery córki i czterech synów). Po dorostnięciu, wszystkie dzieci stryja opuściły swoich rodziców, podejmując pracę poza rolnictwem. Dwóch synów stryja Władysława brało udział w wojnie koreańskiej. Jeden z nich, Stanisław, został w Korei ciężko ranny. Jedna z córek stryja, Wiktoria, odwiedziła w 1970 roku Ulucz, miejsce urodzenia swojego ojca. Najmłodszy syn z rodzeństwa dzieci Julii i Mikołaja, Józef, mój przyszły ojciec pozostał w Uluczu przy matce i ojczymie. Ojczym Pilip traktował mojego ojca łagodniej niż jego starszego brata Władysława. Już jako młody chłopak, ojciec mój odkrył niespodziewane źródło finansowe we własnym domu. Ojczym Pilip większą część dochodów z gospodarstwa chował na strychu, za słomianą strzechą oraz w oborze za żłobami krów. Ponieważ tych schowków było coraz więcej, toteż, po pewnym czasie, zapominał stary Pilip gdzie te schowki się znajdują. Ojciec mój, Józef, chodząc po strychu zauważył ślady w pokryciu dachowym. Wkładając rękę w zauważone ślady w dachu, wyjął stamtąd zawinięty w chustę plik banknotów. Część tych banknotów zabierał ojciec dla siebie, resztę wkładał w poprzednie miejsce. Ten proceder uprawiał ojciec przez wiele lat, odkrywając coraz więcej takich schowków. Za „zdobyte” pieniądze kupował sobie ojciec modne odzienie oraz wydawał je na rozrywki w karczmie u Żyda Borucha. Miał wielu dobrych kolegów, z którymi trwonił „zdobyte” pieniądze. Zawsze był elegancko i modnie ubrany i z laseczką w rękę (taka była wówczas moda) zdobywał serca miejscowych dziewcząt. Dziwnym się wydaje, że ojczym i matka nie dociekali, skąd chłopak bierze fundusze na modne ubiory. W roku 1912 zapoznał ojciec o dwa lata młodszą dziewczynę z ruskiej rodziny - Hanię. W rok później Hania wyjechała do Ameryki. Matka Hani pocieszała ojca, że ma jeszcze dwie młodsze córki, i może sobie wybrać jedną z nich. Wybór padł na Pelagię urodzoną w 1898 roku. W tym czasie Pelagia miała 16 lat. Po krótkim narzeczeństwie wybuchła pierwsza wojna światowa. Ojciec mój został powołany do armii austriackiej. W Uluczu pozostawił ojciec ukochaną dziewczynę by walczyć za „Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa”. Po krótkim przeszkoleniu jego 18 pułk piechoty został wysłany, w październiku 1914 r., na front.

W wielkiej bitwie (raczej rzezi) pod Limanową ojciec został, w jednym ze szturmów na bagnety, dwukrotnie ranny. W czasie biegu do szturmu, po wystrzale z karabinu, odpadł źle nałożony na karabin bagnet. Chwycił więc ojciec karabin za koniec lufy i jak maczugą odpędzał od siebie Moskali. W toku tej walki, jeden z Moskali wymierzył cios bagnetem w pierś ojca. Cios ten ojciec odbił swoim karabinem i zamiast piersi, bagnet przebił na wylot przedramię prawej ręki. Po drugim uderzeniu kolbą karabinu Moskal padł na ziemię, a jego

karabin został wyrwany z ręki ojca przez innego żołnierza. Po rzuceniu swego karabinu, ojciec wycofał się z bitwy, podtrzymując zranioną prawą rękę drugą zdrową. Po kilku minutach został ojciec trafiony odłamkami szrapnela w prawy bark zranionej wcześniej ręki. O własnych siłach dotarł do punktu opatrunkowego, gdzie prowizorycznie zabandażowano mu rany. Rannych żołnierzy układano na podłogach chat góralskich. Przez całą noc leżał ojciec, wraz z innymi rannymi żołnierzami, na wyścielonej słomą podłodze. Rano zjawiał się sanitariusz i butem sprawdzał, który ranny jeszcze żyje. Ojca uznano za nieżywego, ale ostatkiem sił ojciec się poruszył i w ten sposób został uratowany. Z chaty przewieziono ojca do szpitala w Żywcu. Tu przeszedł pierwszą operację, polegającą na pozszywaniu ran. Następnie przewieziono go do szpitala w Wiedniu. Tutaj był kilkakrotnie operowany ale rana w barku nadal się nie goiła. Chciano amputować prawą rękę, ale ojciec się na to nie zgodził (jeszcze w tym czasie pytano o zgodę rannego). Chyba szpital nie posiadał aparatu do prześwietlania, bo dopiero po kolejnej operacji stwierdzono, że w barku znajdują się trzy odłamki szrapnela. Leczenie trwało 11 miesięcy (Wiedeń, Tyrol). Następnie udzielono ojcu miesięcznego urlopu (nadal był żołnierzem). Do Galicji nie można było jechać, gdyż panowała tam jakaś epidemia. Postanowił więc spędzić urlop u swojego stryja Józefa w Pradze. Przez większość dnia przesiadywał ojciec w restauracji, której właścicielką była żona stryja. Jeden stolik w lokalu był stale zarezerwowany dla mojego ojca. Po pracy w fabryce wagonów, stryj ojca pomagał żonie przy obsłudze bufetu. Stryj namawiał mojego ojca, a swojego bratanka, aby na stałe pozostał u niego w Pradze, gdyż stryj ojca był bezdzietny. Ojciec postanowił jednak wrócić do Ulucza, gdyż matka Julia, w korespondencji listownej, prosiła go o to. W listach pisała, że tu, w Uluczu, jest jego ojcowizna i do niej powinien wrócić.

W 1916 roku, jako inwalida z utratą 50 % zdrowia, ojciec wrócił do Ulucza. Faktem tym bardzo się zmartwił ojczym Pilip. Był on przekonany że ojciec mój wojny nie przeżyje. Prawa ręka ojca była krótsza i mógł nią wykonywać tylko ograniczone ruchy. Narzeczonej ojca, Pelagii, odradzano, aby za takiego kalekę nie wychodziła za mąż. Rad tych moja przyszła matka nie usłuchała i w 1918 roku odbył się ślub moich przyszłych rodziców. Po ślubie nowożeńcy zamieszkali w domu ojca na Krajnikach. W tym samym roku, tuż po ślubie, ojciec zgłosił się ochotniczo do organizowanych w Brzozowie Legionów Polskich. Komisja lekarska odmówiła wcielenia go do wojska, gdyż inwalidztwo na to nie pozwalało. Mimo to ojciec nalegał, że może służyć w taborach jako furman, lecz jego prośba nie odniosła skutku. Tak więc, pozostało mu wrócić do domu jako cywil. W domu atmosfera stale się pogarszała. Pod wpływem ojczyma Pilipa, babcia Julia wycofała się z obietnicy zapisania majątku mojemu

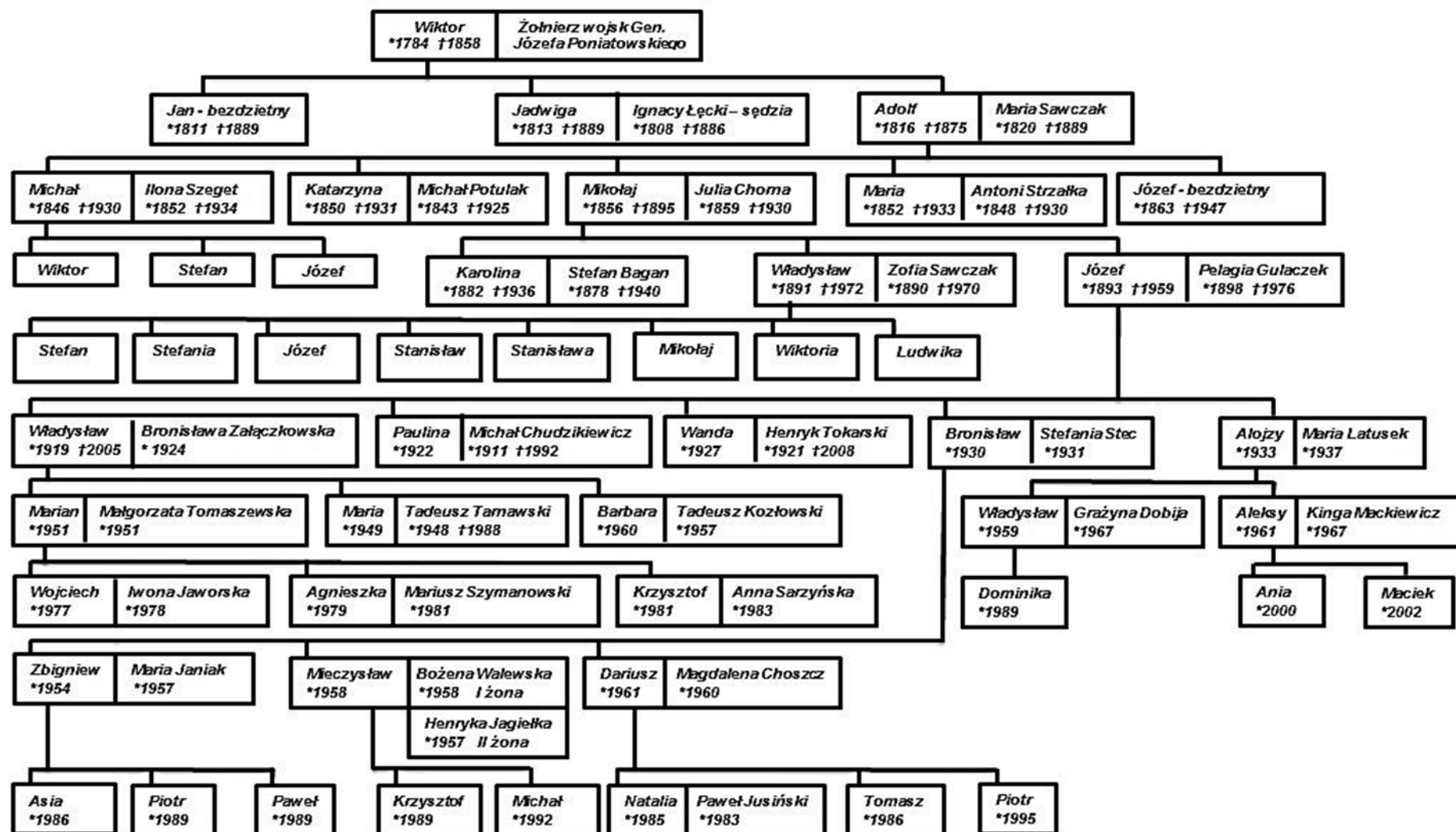
ojcu. Doszło do tego, że ojciec, ostatni potomek Zieleckich z Ulucza, nie miał prawa wchodzić na pola należące do rodziny Zieleckich. Motorem tych szykan był stary Pilip i jego dzieci.

Postępowanie mojej babci Julii nie podobało się jej siostrom z Raczkowej. Namówiły one ojca, aby przyjechał ze swoją matką z wizytą do nich. Babcia chętnie pojechała, wraz z moim ojcem i matką, w odwiedzin. Za pieniądze ojca, ciotki zorganizowały sute przyjęcie. Gdy babcia trochę sobie podpiła, siostry przekonały ją, aby pojechała do notariusza w Sanoku i zapisała ojcu połowę majątku w Uluczu. Początkowo babcia Julia opierała się tej propozycji, w końcu jednak pojechała do Sanoka i u notariusza dokonała zapisu. Warunkiem jednak było zapłacenie przez ojca, 200 dolarów jego przyrodniej siostrze Wiktorii, jako jej posag od matki. W owym czasie wartość dolara wynosiła 9 złotych polskich. Zapisu dokonano w roku 1926. Babcia Julia była przekonana, że zapis ten będzie nieważny, gdyż został dokonany w innym powiecie (Ulucz należał do powiatu brzozowskiego i tam były przechowywane księgi wieczyste Ulucza). Poprosiła moich rodziców, aby ów zapis zachować w tajemnicy przed starym Pilipem i jego dziećmi. Przypadkowo stary Pilip dowiedział się o zapisie w Sanoku i w odwecie zapisał swój majątek na Łodzinie swemu najmłodszemu synowi Staszкови. W ten sposób pozbawił się na przyszłość środków do życia. Po śmierci, w 1930 roku, babci Julii, żadne z jego dzieci nie chciało go wziąć na utrzymanie. Po wybudowaniu, w 1926 roku, przez mojego ojca własnego domu, stary Pilip poprosił, aby przyjął go on do siebie. Ojciec się na to zgodził. Przez pewien czas ojczym zachowywał się poprawnie. Kiedy jednak stwierdzono, że wynosi on z naszego domu różne rzeczy do swoich synów, poproszono go o opuszczenie domu. Los wiekowego już Pilipa był okrutny. Próbował zamieszkiwać u syna Piotra, który otrzymał w zapisie od babci Julii drugą połowę majątku po rodzinie Zieleckich. Po pewnym czasie synowa Maria, żona Piotra, wyrzuciła teścia Pilipa na podwórze. Powędrował więc do swej córki Wiktorii, ale i tam długo nie przebywał. Znow wrócił do syna Piotra, itd... Chyba los zemścił się na nim, za krzywdy wyrządzone pasierbom. Po wysiedleniu mojej rodziny i rodziny Piotra, w 1940 roku, na wschód, stary Pilip zamieszkał u swego syna Stanisława. Zmarł w 1943 roku. Pochowany został na cmentarzu w Borownicy. Od 1933 r. moja rodzina składała się już z rodziców i pięciorga dzieci (Władysław ur. w 1919 r., Paulina ur. w 1922 r., Wanda ur. w 1927 r., Bronisław ur. w 1930 r. i Alek ur. w 1933 r.)

Na zakończenie opisu rodu Zieleckich przedstawię krótki opis pochodzenia mojej mamy Pelagii. Mama pochodziła z rodziny ruskiej i była wyznania grekokatolickiego. Jej ojciec, a mój drugi dziadek, Grzegorz Gulaczek zmarł w 1916 roku. Matka mojej mamy Maria, druga moja babcia, zmarła w 1937 roku. Była to cudowna kobieta. Nigdy nie wymówiła słowa

przekleństwa. Była głęboko religijna i przestrzegała przesadnie wszelkich postów. W piątki nie spożywała żadnych posiłków. Bardzo ją kochaliśmy, a ona nas.

GENEALOGIA GALICYJSKIEGO RODU ZIELECKICH



W każde święta Bożego Narodzenia przebywała u nas. Ona świętowała Boże Narodzenie 13 dni później. W drugi dzień Bożego Narodzenia w 1937 roku, przebywając u nas została wezwana do odebrania porodu w rodzinie żydowskiej (była domorosłą położną). Po odebraniu porodu, poczęstowali ją Żydzi kieliszkiem spirytusu, po którym się zakrztusiła i straciła przytomność. Mimo udzielenia jej pomocy, zmarła.

Babcia Gulaczek miała pięć córek: Marcelę, Katarzynę, Hanię, moją mamę Pelagię oraz Zosię. Hania, pierwsza narieczona mojego ojca, wyjechała, w 1913 roku, do Ameryki i tam pozostała. Marcela, mając 16 i pół roku, wyszła za mąż za mieszkańca Ulucza, Szlachtycza. Z Katarzyną ożenił się Polański (Polak). W chwili ślubu Kasia miała także 16 i pół roku. Zosia wyszła za mąż za wdowca Dziubę. Wszystkie siostry mamy (oczywiście za wyjątkiem Hani) mieszkały w Uluczu.

Przykład związków małżeńskich w rodzinie mojej mamy, gdzie dwie siostry wyszły za mąż za Polaków, świadczy o tym, że w owym czasie nie było konfliktów na tle narodowościowym. Mieszane małżeństwa w Uluczu były w tym czasie powszechne. Był zwyczaj, że w małżeństwach, w których ojcem był Polak a matką Rusinka, ich synowie byli chrzczeni w kościele, a córki w cerkwi. W przypadku gdy ojcem był Rusin a matką Polka było odwrotnie. Ten sam zwyczaj dotyczył uczęszczania dzieci na lekcje religii w szkole. Zgodnie z tym zwyczajem, mój najstarszy brat Włodek był ochrzczony w kościele rzymskokatolickim w Borownicy, a siostra Paulina w cerkwi grekokatolickiej w Uluczu. W 1926 roku moja matka, nie chcąc mieć „mieszanych” dzieci, przeszła na wyznanie rzymskokatolickie. Swoją metrykę urodzenia oraz córki Pauliny przeniosła z cerkwi w Uluczu do kościoła w Borownicy. Pozostałe moje rodzeństwo było chrzczone w kościele. Pragnę tu podkreślić, że nikt mojej mamy do tego posunięcia nie namawiał.

Rozdział II. Zarys historii Ulucza od pierwszej wojny światowej do 1947 r.

Narodziny nacjonalizmu ukraińskiego w Uluczu

Na przełomie XIX i XX wieku zorganizowano w Uluczu komórkę moskalofilską. Była to organizacja prorosyjska. Jej twórcą i przewodnikiem był miejscowy grekokatolicki ksiądz Orest Sołtykiewicz. Po wybuchu wojny w 1914 roku, władze austriackie aresztowały wszystkich członków tej organizacji i osadziły ich w obozie internowania Talerhof, niedaleko miasta Graz. W obozie panowały bardzo surowe warunki bytowania. Był to chyba pierwszy w Europie obóz koncentracyjny. Więźniowie przykuci łańcuchami do tacek pracowali przy robotach

ziemnych. Tak przykuci spali razem z taczkami. Po rozpadzie Austro-Węgier do domów powrócili tylko nieliczni, a wśród nich ksiądz Sołtykiewicz. Wciągnięci do tej organizacji chłopci nie orientowali się, w jakim celu organizacja ta powstała. Aresztowany nasz sąsiad Grzegorz Krajnik (przydomek Zariczny) był bardzo zdziwiony dlaczego go aresztują – wykrzykiwał on „ja jestem moskalofilem”. Z chwilą utworzenia zrębów Państwa Polskiego, zastąpiono komórkę moskalofilską różnymi organizacjami ukraińskimi. Tworzeniem komórek ukraińskich zajęli się trzej synowie miejscowego księdza grekokatolickiego. Najstarszy jego syn Stefan był szczególnie wrogo nastawiony do Polski i Polaków. Na bramie wjazdowej do plebanii przybił gwoździami martwą wronę a pod nią umieścił napis „orzeł polski”. W roku 1918 zorganizowano w Uluczu ukraińską zbrojną milicję, która praktycznie sprawowała władzę nad wsią. Dla położenia kresu tej rebelii, przybył do Ulucza pododdział legionistów polskich, składający się z ochotników z rejonu Dydni i Brzozowa. Legioniści zakwaterowali się w budynku wiejskiej kancelarii na Kącie. W czasie niedzielnego poranka, w pobliżu miejsca ich zakwaterowania, zaczął się gromadzić tłum Ukraińców z Ulucza i sąsiednich wiosek. Wśród tego tłumu było wielu ludzi w charakterze gapowiczów. Była tam też moja matka, która później opowiadała w domu o tych wydarzeniach. Energiczny dowódca wyprowadził swych żołnierzy przed budynek i nakazał tłumowi rozejście się. Tłum jednak niebezpiecznie zbliżał się do polskich żołnierzy. Po trzykrotnym ostrzeżeniu oddano salwę z karabinów w górę. Rozwścieczony tłum, z widłami i siekierami zaczął atakować żołnierzy. Legioniści oddali w jego kierunku kilka strzałów. Padło trzech zabitych. Tłum w panicznym popłochu zaczął uciekać. Rozbrojono milicję, a aktywnych napastników aresztowano. Wśród aresztowanych był syn księdza. Reszta atakujących ukryła się w lesie. Na prośbę uluczańskich Polaków, po kilku dniach, aresztowanych zwolniono. We wsi zapanował względny spokój. Władze polskie zorganizowały w Uluczu Policję Państwową, która zapewniała we wsi porządek. Od tej pory nienawiść Ukraińców do Polaków zaczęła wzrastać. Syn księdza Stefan, organizator rebelii, został z Polski wydalony i zamieszkał w Czechach. Do Polski już nigdy nie wrócił. Po usilnych staraniach księdza Sołtykiewicza, władze polskie były skłonne zezwolić na powrót jego syna, ale pod warunkiem, że dwóch Polaków z Ulucza podpisze gwarancję, że nie będzie on prowadzić działalności antypolskiej. Nikt z uluczańskich Polaków takiej gwarancji nie był skłonny podpisać. Od roku 1930 dalszego kierowania ruchem nacjonalistycznym w Uluczu podjął się najmłodszy syn księdza Roman. To on zorganizował we wsi komórkę tajnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Na szczeblu centralnym organizacją tą kierowali Konowalec, Melnyk i Bandera. W broszurze wydanej we Lwowie w 1929 r. pod auspicjami OUN pisano: *„Trzeba krwi – dajmy morze krwi! Trzeba terroru – uczynmy go*

piekielnym. Trzeba poświęcić dobra materialne – nie zostawmy sobie niczego. Nie wstydzmy się mordów, grabieży, podpaleń. W walce nie ma etyki! (...) Każda droga, która prowadzi do naszego najwyższego celu, bez względu na to, czy nazywa się ona u innych bohaterstwem czy podłością, jest naszą drogą.” Dla zrealizowania tych haseł trzeba było najpierw rozbudzić wśród Ukraińców nacjonalizm. W Uluczu tego zadania podjął się Roman Sołtykiewicz. Najpierw zorganizował chór cerkiewny o zabarwieniu nacjonalistycznym. Następnie utworzona została świetlica i czytelnia (Proświta) oraz biblioteka. Zorganizowano prenumeratę prasy ukraińskiej. Na bazie chóru cerkiewnego zorganizował Roman zespół artystyczny, który wystawiał przedstawienia o charakterze antypolskim. Swoje przedstawienia zespół prezentował w okolicznych wioskach powiatu sanockiego i brzozowskiego, a nawet w samym Sanoku. Zbudowano w czynie społecznym boisko sportowe, na którym rozgrywano mecze piłki nożnej. Przygotowano plac pod budowę domu ludowego, na który zwożono już materiały budowlane. Przygotowania te przerwała wojna w 1939 r.

W całej wsi rozlegały się śpiewy ukraińskich patriotycznych piosenek. Młodzież przywdziewała stroje ukraińskie. Zorganizowano sklepy ukraińskie, tzw. kooperatywy. W domach nacjonalistów ukraińskich wieszano portrety własnych bohaterów narodowych i literatów. Wprowadzono przy spotkaniach pozdrowienie „sława Ukrainie”. Wpajano nienawiść do Polaków i Polski. Na świetlicę i czytelnię (Proświtę) udostępnił pół własnego domu mieszkaniec Ulucza Poliwka. Świetlica służyła zarówno do występów artystycznych, jak i szkoleniu aktywu OUN. Działalność OUN w Uluczu była ściśle zakonspirowana, a w jej ramach przygotowywano się do realizacji haseł przywódców szczebla centralnego. Ani policja polska ani polski wywiad nie rozpracowały do końca tej organizacji w Uluczu, chociaż aresztowania niektórych jej członków były trafne. Dopiero NKWD rozszyfrował całą OUN w Uluczu i zimą 1939/40 r. przystąpiono do aresztowania jej członków. Aresztowano m.in. Oleksego Serebnickiego, Włodzimierza Poliwkę, Teodora Lewkowicza, Marka Pietruszczaka, Stefana Charydczaka i innych. Prawie wszyscy aresztowani zostali zamordowani w Samborskim więzieniu w 1941 r. Tylko jeden, Marko Pietruszczak się uratował. Roman Sołtykiewicz był sprytniejszy, bo przed przybyciem czerwonoarmistów uciekł z Ulucza za San na Łódzinę i tam przeżył całą okupację. W roku 1940 sprowadził Roman do siebie, na stronę niemiecką swoich rodziców z Ulucza. W ten sposób ksiądz grekokatolicki Orest Sołtykiewicz opuszczając swoje „owieczki”, nad którymi miał duchową pieczę, pozbawił swą parafię w Uluczu duszpasterstwa.

W 1938 r. na górze Dębnik Ukraińcy usypali kopiec ziemny, a na nim ustawili brzozowy krzyż. Kopiec ten symbolizował mogiłę Polski. Starosta z Brzozowa nakazał kopiec rozkopać, a policja z Ulucza nakaz ten wprowadziła w czyn. Kopiec rozkopano ale po pewnym czasie, w porze nocnej, mogiłę Polski ponownie usypano. Ta „zabawa” trwała do 1939 r. W czasie okupacji niemieckiej w roku 1941, wykopano na Dębniku grób i w nim z całym ceremoniałem pogrzebowym pochowano Polskę. Nad grobem usypali Ukraińcy kopiec, na wierzchołku którego ustawili brzozowy krzyż. Taki pochówek Polski nazywano „panahidą”. Pod tym kopcem organizowano imprezy, na których śpiewano ukraińskie piosenki o pochówku Polski. Jest wierutnym kłamstwem to, co pisze na stronach internetowych Wasyl Czarnecki, że mogiła ta była usypana ku pamięci strzelców siczowych. Od urodzenia (1930 r.) do 5 kwietnia 1945 r. mieszkałem w Uluczu na Krajnikach i sprawę ww. mogiły znam z autopsji. Wasyl Czarnecki na stronach internetowych wypisuje wiele bzdur. Pochlebia on sobie, że pochodzi od rodu bojarów kozackich, gdy tymczasem jego przodkowie byli zwykłymi pańszczyźnianymi chłopami. Kozaków jego dziadkowie widzieli tylko w 1914 roku, kiedy armia rosyjska szła przez Ulucz w Karpaty. Również mianuje siebie historykiem i pisze, że w bitwie pod Wiedniem król polski Jan III Sobieski miał 20 tys. Kozaków. Jak można coś takiego pisać. Sobieski naprędce zebrał pod Krakowem 27 tys. wojska z Korony (14 tys. jazdy ciężkiej i 13 tys. dragonów i piechoty) i nie czekając nawet na wojska litewskie ruszył szybko pod Wiedeń. W jego wojsku nie było żadnych kozaków. Takich bredni i kłamstw na stronach internetu jest bardzo dużo napisanych zarówno przez Wasyla Czarneckiego jak i Stefana Czebieniaka. Napiszę o nich na dalszych stronach.

Życie społeczności polskiej Ulucza w okresie międzywojennym

Chcąc zrównoważyć nacjonalistyczną działalność Ukraińców w Uluczu, władze gminne z Dydni i władze powiatowe z Brzozowa zorganizowały w Uluczu kilka organizacji polskich. Odtworzono zanikłą już straż pożarną. Wysłano na kurs szkoleniowy komendanta straży pożarnej Mikołaja Polańskiego. W skład straży weszli tylko Polacy, gdyż Ukraińcy organizację tą zignorowali. Zakupiono nową pompę strażacką i urządzano ćwiczenia gaszenia pożarów. Powołano w Uluczu drużynę Związku Strzeleckiego, której komendantem został Tadeusz Serwański z Borownicy. Drużyna otrzymała bluzy, pasy i czapli „legionówki” oraz karabiny. Członkowie drużyny szkolili się w ostrym strzelaniu i ćwiczyli rzut granatem wspólnie ze strzelcami z Borownicy. W późniejszym okresie zorganizowano Związek Szlachty Zagrodowej oraz Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL). Otwarto uroczyście świetlicę i bibliotekę. Pomieszczenia dla ww. organizacji udostępnił w swoim dworze w Uluczu dziedzic Dydyński.

Do świetlicy zakupiono radio, które w Uluczu było nowością. W każdą niedzielę po południu, członkowie wszystkich organizacji zbierali się w świetlicy, gdzie słuchano radia i wygłaszano pogadanki. Prezesami świetlicy byli kolejno: mój ojciec Józef Zielecki, Teodor Polański i Franek Krowiak. Na zebrania do świetlicy polskiej przychodzili również niektórzy Ukraińcy. W jednej z sal dworu odbywały się często wspólne zabawy taneczne, czasami nawet z bufetami. Takie zabawy z bufetami urządzał najczęściej kierownik kopalni ropy z Witryłowa. Z powodu braku pieniędzy z bufetu korzystali tylko nieliczni.

Od roku 1936 w okresie wakacji organizowane były w Uluczu półkolonie dla dzieci w wieku od 4 do 14 lat. Mogły tam uczęszczać dzieci ze wszystkich rodzin, niezależnie od narodowości, jednak nacjonaliści ukraińscy swoich dzieci tam nie posyłali. Półkolonię zlokalizowano w dużej sali budynku dworskiego. Na piętrze tego budynku mieszkał leśniczy ze swoją służącą. Służąca ta zajmowała się kuchnią półkolonii. Dzieci otrzymywały trzy posiłki dziennie. W ciągu dnia uczono dzieci różnych piosenek i deklamowania wierszyków. Pod koniec sierpnia organizowane było uroczyste zakończenie półkolonii. Przed zebranymi rodzicami i starszym rodzeństwem odbywały się występy artystyczne – tańce, deklamacje wierszy, skecze i śpiewy. Na takie występy przywożono regionalne stroje. Raz były to stroje góralskie, w innym roku krakowskie lub kujawskie. Koszty organizacji takich kolonii pokrywała gmina.

W 1939 roku władze powiatu brzozowskiego zorganizowały w Uluczu wielką patriotyczną manifestację z okazji Święta 3-go Maja. Przy drodze na Mohylicach (tak nazywała się środkowa część Ulucza) zbudowano dużą trybunę, z której przedstawiciele władz gminy, powiatu i województwa mieli odbierać defiladę. Wczesnym rankiem 3-go maja zaczęły napływać do Ulucza tłumy ludzi z całego powiatu brzozowskiego. Ze wszystkich stron maszerowały kolumny odświętnie ubranej młodzieży i osób dorosłych, z orkiestrami i kapelami na czele. Przyjechała też kolumna rowerzystów. Tłumy kierowały się do ogrodu dworskiego, gdzie zbudowano scenę estradową oraz, ustawioną na niedużej wysokości, mównicę do wygłaszania przemówień. Całość przybyłej ludności skierowano do nowej uluckiej cerkwi, gdzie mszę odprawił ksiądz z parafii w Borownicy. Dzieci szkolne, w tym i moja druga klasa, z biało-czerwonymi chorągiewkami, pod opieką nauczycieli, także brały udział w tej manifestacji. Po nabożeństwie, kolumny manifestantów pomaszerowały z powrotem do dworskiego ogrodu, defilując po drodze przed trybuną, na której stali przedstawiciele władz i oficerowie z 2-go Podhalańskiego Pułku Piechoty z Sanoka, z jego dowódcą. Na czele kolumny manifestantów maszerował pododdział podhalańczyków, który przyjechał do Ulucza ciężarówkami. Manifestanci nieśli transparenty z patriotycznymi hasłami i wznosili okrzyki na

część Wojska Polskiego i przeciw Hitlerowi. Defilującym grała orkiestra wojskowa. Po zgromadzeniu się wszystkich ludzi w ogrodzie dworskim rozpoczęły się przemówienia przedstawicieli władz i posła do Sejmu RP płk. Zygmunta Csadka. (byłego dowódcy 2-go Pułku Strzelców Podhalańskich). Z ustawionej mównicy płk Csadek grzmiał, że nie oddamy panu Hitlerowi ani guzika od sukmany, a wojsko jest gotowe do odparcia każdej agresji. Był nakaz udekorowania wszystkich domów polskimi flagami. Jednak flagi wisiały tylko na budynkach państwowych i domach Polaków. Ukraińcy zignorowali ten nakaz, a nieznani sprawcy poprzebijali opony we wszystkich rowerach manifestantów. Po tej manifestacji wzrosła jeszcze bardziej nienawiść Ukraińców do Polaków. Nacjonaści ukraińscy nigdy nie uznawali polskich świąt państwowych. W takie święta często wywozili obornik na swe pola. Nie obchodzili także żadnego święta rzymskokatolickiego. Polacy natomiast w duże święta grekokatolickie nie pracowali, a często razem z Ukraińcami świętowali.

Współżycie trzech społeczności Ulucza w okresie międzywojennym

Od niepamiętnych czasów żyły w Uluczu dość liczne społeczności Rusinów, Polaków i Żydów. W roku 1939 zamieszkiwało tu 1840 Ukraińców, 125 Polaków i 75 Żydów. Do pierwszej wojny światowej wszystkie trzy społeczności żyły w zgodzie. Nie było żadnych zadrażeń ani niesnasek. Dopiero od roku 1918, na skutek rodzącego się nacjonalizmu ukraińskiego, zaczęła pojawiać się nienawiść części Ukraińców do Polaków i Żydów. Do Polaków roszczono pretensje, że Polska nie pozwoliła na utworzenie w swych granicach państwa ukraińskiego. Wyrażna wrogość do Polaków ujawniła się dopiero po roku 1936. Do tego czasu panowała między Ukraińcami i Polakami względna zgoda. Nadal powstawały małżeństwa mieszane, a w szkole nie było żadnych zadrażeń między dziećmi obu nacji. Rodziny obu społeczności nadal spotykały się w święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. Na weselach śpiewano piosenki, zarówno polskie jak i ruskie. Stosunki między obu społecznościami zaczęły się pogarszać po utworzeniu w Uluczu tajnej organizacji OUN, którą kierował Roman Sołtykiewicz.

Żydzi tworzyli zamkniętą grupę, którą pozostała chrześcijańska społeczność uważała za ludzi wyzyskujących chrześcijan. Żydzi w Uluczu mieli w swych rękach prawie cały handel. Ponadto zajmowali się rzemiosłem (szewcy, krawcy, szklarze, piekarze, blacharze), a nawet jeden Żyd był kowalem. Rolnictwem w Uluczu zajmowało się trzech Żydów, z których dwóch – Bułan i Alter – gospodarowało na Krajnikach. Rodzina Bułanów samodzielnie uprawiała ziemię, bez siły najemnej, jak typowa rodzina chłopska. Żyd Alter gospodarował na swym dość

obszernym gospodarstwie w oparciu o najemną siłę roboczą. Jego oborą zajmowała się służąca – chrześcijanka – o imieniu Julka. Prace polowe wykonywali najemnicy, pracujący u Altera dorywczo. Sam Alter na roli nigdy się nie pojawiał. Większość czasu poświęcał uluckiej bożnicy, w której był cadykiem. W święta chrześcijańskie Żydzi na swych polach nie pracowali, nie chcąc drażnić swych sąsiadów – chrześcijan.. Sklepy żydowskie w święta chrześcijańskie były otwarte. Głównym centrum żydowskiego handlu w Uluczu był Kąt. Były tu przeważnie sklepy branżowe (tekstylne, odzieżowe, z artykułami żelaznymi, itp.). W pozostałych sklepach żydowskich rozmieszczonych po całym Uluczu, można było kupić wszystkie niezbędne towary. Np. w sklepie Bebły na Krajnikach były: mąka, kasze, cukier, cukierki, nafta, świece, pasta do butów, smar do wozów, wszelkiego rodzaju łańcuchy, itp. W sklepach żydowskich można było nabyć towary na kredyt (borg). W sklepach kooperatywy kredytu nie udzielano. Środkami płatniczymi w sklepach żydowskich były pieniądze i jajka. U Żyda można było sprzedać zboże, kury, króliki, a nawet siano. Żyd rzeźnik skupował od chłopów zwierzęta rzeźne (krowy, cielaki, barany, kozy) za wyjątkiem świń. U rzeźnika można było kupić różne gatunki mięsa, za wyjątkiem wieprzowiny. W każdą niedzielę, wczesnym rankiem, Żyd rzeźnik rozwoził różne gatunki mięsa do niektórych domów i tu je w kawałkach sprzedawał po cenach wytargowanych przez kupujących. Powszechnie uważano, że każdy Żyd, zarówno sprzedający jak i kupujący, oszukiwał chłopą. U Żyda można było uzyskać pożyczkę na odpowiedni procent pokwitowaną wekslem. Takie większe gotówkowe pożyczki często kończyły się na licytacji majątku. Z tych opisanych powyżej powodów rosła nienawiść do Żydów. Istniało jednak wśród ludzi powiedzonko „Jak bieda to do Żyda”. Karczma w Uluczu również należała do Żyda Borucha. Tu bywalcy popijali piwko i wódkę, a głodni mogli się posilić bigosem i gulaszem. Wędlin tu nie było. U Borucha można było urządzić przyjęcia weselne i pogrzebowe stypy.

Szkolnictwo w Uluczu w okresie międzywojennym

Władze oświatowe odrodzonej Polski zastały w Uluczu dwuklasową szkołę powszechną z okresu zaboru austriackiego. W szkole tej pracowało trzech nauczycieli, z których jeden był kierownikiem. Szkoła mieściła się w starym parterowym budynku z dwoma izbami lekcyjnymi. W czasie rządów austriackich uczono tu języka ruskiego i polskiego oraz innych przedmiotów ogólnych – rachunków, geografii, historii państwa austriackiego i religii. Językiem wykładowym był w tym czasie język ruski. Władze państwa polskiego pozostawiły na stanowiskach nauczycieli z okresu austriackiego. Kierownikiem szkoły pozostał Michał Doda, który był narodowości ruskiej. Stopniowo zmieniano programy nauczania. Nadal uczono

języka ruskiego i polskiego. Zmieniono naukę historii i geografii. Przez kilka lat do nauczania geografii używano mapy i globusy austriackie. Dość szybko wprowadzono podręczniki do nauki języków. W pierwszej klasie uczono tylko języka ruskiego wg nowego elementarza. Do nauczania tego języka byli przygotowani odpowiedni nauczyciele, którzy dobrze władali językiem ruskim i polskim. Nauczanie języka polskiego rozpoczynało się w drugiej klasie. Dzieci z rodzin ruskich do ósmego roku życia nie umiały mówić po polsku, stąd nauka języka polskiego była dla nich dość trudna. W drugiej klasie musiały się uczyć nowego alfabetu i drugiego języka. Do 1932 r. obowiązywała sześcioletnia szkoła powszechna. Siódmą klasę – nieobowiązkową – wprowadzono od roku szkolnego 1930/31. Do klasy siódmej po 1931 r. uczęszczało tylko kilkoro dzieci, przeważnie z bogatych rodzin, które miały zamiar kształcić swoje dzieci w szkole średniej. W praktyce część dzieci przerywała naukę w szkole po czwartej lub piątej klasie. Dzieci z ubogich rodzin uczęszczały do szkoły tylko w okresie, gdy można było chodzić boso. W okresie zimy, z powodu braku obuwia dzieci takie do szkoły nie mogły uczęszczać. Większość dzieci z przysiółków Czerteża i Pasiek do szkoły w ogóle nie uczęszczało, zostając w ten sposób analfabetami. Do rodziny, która nie posyłała dzieci do szkoły – na wniosek kierownika – przybywał policjant i spisywał odpowiedni protokół, który przekazywał władzom szklonym. Za takie wykroczenie groziła grzywna pieniężna, która jednak z powodu ubóstwa takiej rodziny nie mogła być wyegzekwowana. W 1937 roku zakończono budowę nowej piętrowej szkoły w Uluczu. Na parterze były trzy duże sale lekcyjne i mieszkanie dla kierownika szkoły. Na piętrze były dwa nieduże mieszkania dla dwóch nauczycieli. W każdej klasie była miednica z wodą i mydło. Nad szafką z miednicą wisiały ręczniki, które każde dziecko miało obowiązek przynieść z domu. Przed lekcją należało umyć ręce. Czystość rąk sprawdzała nauczycielka. Do roku 1936 w pierwszej i drugiej klasie zamiast zeszytów i ołówków każdy uczeń miał tabliczkę z jakiegoś czarnego materiału oprawioną w ramce. Na jednej stronie tabliczki wrysowane były białe linie, na drugiej zaś – białe kratki. Do pisania na takiej tabliczce służył rysik, który kreślił białe znaki. Do wycierania tabliczki służył mały gałganek, przywiązany do tabliczki sznurkiem. Od roku szkolnego 1937/38 obowiązywały już zeszyty w których pisano ołówkami i piórami. Atrament do pisania w szkole był w kałamarzach wstawionych w otworach ławek szkolnych. W każdej klasie uczyło się kilkudziesięciu uczniów. Np., w mojej pierwszej i drugiej klasie było 48 uczniów, w tym pięcioro z rodzin polskich i czworo z rodzin żydowskich. Pozostali uczniowie byli Rusinami. Lekcje w mojej klasie rozpoczynały się zawsze o godzinie ósmej od odmówienia pacierza. Najpierw pacierz odmawiały dzieci ruskie, a następnie – w języku polskim – dzieci polskie. Dzieci z rodzin żydowskich modlitwy w szkole nie odmawiały. W czasie modlitwy

wszystkie dzieci stały. W klasach panowała dość surowa dyscyplina. Siedząc w ławkach ręce należało trzymać za plecami, chyba że się coś pisało. Nie wolno było się kręcić ani rozmawiać. Za wykroczenia dzieci były karane. Stosowano następujące kary dyscyplinarne: stanie przy ławce lub klęczenie za tablicą (tablica stała na trójnogu), klęczenie na ziarnach grochu, bicie różgą (trzcina) po dłoniach lub pośladkach (na leżąco). W czasie gdy ja chodziłem do szkoły, tj. od roku szkolnego 1937/38, bicie dzieci w szkole było zabronione, ale zakaz ten nie był często przestrzegany. Religii w szkole uczyło dwóch księży. Dzieci ruskie nauczał miejscowy ksiądz grekokatolicki, natomiast na lekcje religii dzieci z rodzin polskich przyjeżdżał ksiądz rzymskokatolicki z parafii w Borownicy. Z uwagi na małą liczbę dzieci wyznania rzymskokatolickiego, łączono na te lekcje dzieci z kilku klas. Dzieci z rodzin żydowskich religii w szkole się nie uczyły.

Życie ludzi w Uluczu - „druga strona medalu”

Dotychczasowy opis życia i działania ludzi w Uluczu dotyczył raczej mieszkańców średniozamożnych i bogatych. Byli jednak w Uluczu i tacy ludzie, którzy żyli w skrajnej nędzy. Istniało duże przeludnienie i brak możliwości zarobkowania. Na sezonowe prace młodzi, zdrowi ludzie wyjeżdżali do Niemiec i na Łotwę, gdzie jednak zarobki nie były duże. Więcej można było zarobić we Francji. Tam najczęściej zatrudniano mężczyzn w kopalniach węgla, a kobiety na roli. We Francji pracowało się nawet kilka lat. Za zarobione tam pieniądze można było w Uluczu nabyć ziemię i postawić dom. Tak postąpiło dwóch synów mojej ciotki Szlachtycz. Były to jednak przypadki pojedyncze. Większość młodych ludzi żyła w licznych rodzinach na małym skrawku ziemi. Dzieci w takich rodzinach głodowały. Latem takie dzieci napępiały swoje żołądki spadami owoców. Wielu małorolnych chłopów (1 ha) nie hodowało krów, stąd dzieciaki z takich rodzin, pozbawione mleka i chleba umierały z wycieńczenia lub zostawały kalekami. Tak np. u naszego sąsiada Mikołaja Krajnika (przydomek Kac) było czworo dzieci, z czego troje z powodu niedożywienia było kalekami. Dwoje dzieci nie umiało mówić i prawie nagie leżały na brudnym wyrku. Trzyletni Józio leżąc w kołysce stale tylko jęczał, bo nie umiał nawet płakać. Jak zbyt długo jęczał to ojciec Mikołaj brał rzemień i okładał gołe ciało dziecka. Po takim „zabiegu” dziecko na pewien czas przestawało jęczeć. Jedna z córek Mikołaja – Cylka - umiała chodzić tylko na rękach i nogach, jak zwierzę. W czasie okupacji niemieckiej ojciec tej rodziny uciekł z domu i wyjechał ochotniczo na roboty do Niemiec. W tym czasie zmarł Józio, którego pochowano na cmentarzu przy cerkwi na Dębniku bez żadnej ceremonii religijnej. Matka tej rodziny przeniosła się do siostry do Gruszkówki. Siostra była tak okrutna, że kalekę Cylkę umieściła w chlewiku dla świń i nie pozwoliła matce

jej karmić. Dziecko z głodu poobgryzało sobie palce i po niedługim czasie zmarło. Pochówek był podobny jak jej brata Józia. Po wojnie ojciec Mikołaj wrócił z Niemiec i w 1947 roku został wraz z żoną i dwójką żyjących jeszcze dzieci wysiedlony do ZSRR. Na dworcu w Sanoku moja mama, choć sama niewiele miała, dała tej rodzinie trochę żywności na podróż. Jak ważna była ta żywność dla tej rodziny może świadczyć podziękowanie Mikołaja, który klęcząc na kolanach całował ręce mojej mamy. Podobny żywot na Krajniach prowadziła rodzina Maływickiego. Tam też jeden syn nie chodził, tylko przesuwiał się na pośladkach podpierając się rękami. Był natomiast rozwinięty umysłowo. Ze starszym synem Maływickiego, Władziem, trochę się przyjaźniłem. Przyjaźń polegała na tym, że ja na jego prośbę wynosiłem mu pajdy chleba posmarowane masłem i obłożone białym serem. On zaś dawał mi jakieś drewniane kółka i inne drobiazgi, które wyrabiał jego ojciec. Byłem kiedyś u niego w domu w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Widziałem, że na stole stała gliniana miska a w niej ciemny, razowy chleb. W zwykłe dni chleba w tym domu nie było. Ubodzy ludzie żywili się ziemniakami, kapustą i barszczem z bobem. Jeśli w danym domu była krowa, to ugniecione ziemniaki jadano ze zsiadłym mlekiem. W przypadku gdy nie było mleka, takie ziemniaki spożywano z tzw. kwasem z kiszzonej kapusty. Do takiego surowego kwasu dodawano czasem łyżkę oleju z lnu lub z konopi. W ubogich rodzinach rodziło się na ogół dużo dzieci, ale wieku niemowlęcego wiele z nich nie dożywało. Duża umieralność dzieci była spowodowana brakiem opieki lekarskiej i złymi warunkami higienicznymi. Do lekarza w Sanoku jeździli z chorymi dziećmi tylko ludzie zamożni. Również osoby dorosłe nie leczyły się u lekarza. Wszelkie choroby leczono domowymi sposobami. Powszechnie stosowano stawianie baniek, owijanie głowy ręcznikiem nasączonym octem, smarowanie bolącej części ciała dziegciem, itp. Usuwanie obcego ciała z oka odbywało się językiem. Byli też wiejscy cyrulicy i dentyści. Pierwsi upuszczali krew, drudzy wyrwali bolące zęby. Wrzody leczono poprzez palenie tzw. róży. Na wrzód nakładano kawałek czystej lnianej tkaniny, a na niej układano w stos zwitki włókna lnianego, które podpalano. Następnie odwracano tkaninę wraz z popiołem ze spalonego lnu, tak aby popiół znalazł się na wrzodzie, po czym owijano ciało ręcznikiem. Byli i tacy starzy ludzie, którzy nie wierzyli lekarzom, bo uważali, że tylko Bóg wie jaka choroba dręczy człowieka.

Wiele chorób ludności Ulucza powstawało z braku elementarnej higieny na obszarze całego domostwa. Szczególnym roznosicielem chorób były muchy, które całymi chmurami fruwały w pomieszczeniach mieszkalnych. Składowane na odkrytych półkach garnki i miski były zawsze zabrudzone odchodami much. Wiszące na wieszakach drewniane sztucce były

w podobny sposób zanieczyszczone. Na ogół nikt tych naczyń nie mył przed użyciem ich do spożywania posiłków. W czasie spożywania jadła, do misek wpadały żywe muchy, które usuwane były łyżką. W gotowanych pokarmach często pływały części rozgotowanych much. Muchy też dokuczały ludziom zarówno w domu jak i w polu. Gryzły zarówno dorosłych jak i dzieci, a szczególnie niemowlęta, które nie potrafiły bronić się przed tymi owadami.

Siedliskiem much były gnojowiska rozmieszczone na podwórzu w pobliżu obory. W wielu gospodarstwach gnojówka z tych gnojowisk ściekała bezpośrednio na główną drogę. Około 80% domów mieszkalnych w Uluczu nie posiadało ubikacji, które zastępowała obora.

Dopiero w roku 1937, nakazem urzędowym, zmuszono do budowy studzienek na gnojówkę oraz ubikacji przy każdym domu. Ludzie oburzali się na te nakazy, ale dzięki kontroli policji nakaz wykonywali.

Inną przyczyną rozwoju chorób był brak higieny osobistej. Większość mieszkańców Ulucza nie używała mydła, zarówno do prania jak i do mycia się. W żadnym domu w Uluczu nie było łazienek ani balii do kąpeli. Tylko w niektórych domach używano do kąpeli małych dzieci drewnianych cebrzyków. Dorośli zimą w ogóle się nie kąpali. Natomiast latem, tak dorośli jak i dzieci, zażywali pod dostatkiem kąpeli w Sanie.

Moje dzieciństwo w Uluczu do 1939 r.

Urodziłem się w Uluczu 27 lutego 1930 r. W tym czasie Ulucz należał do gminy Dydnia w powiecie brzozowskim. Do roku 1939 powiat brzozowski znajdował się w granicach województwa lwowskiego. W chwili urodzenia miałem już troje rodzeństwa: brata Władysława urodzonego w 1919 r., siostrę Paulinę urodzoną w 1922 r. i siostrę Wandę urodzoną w 1927 r.. W roku 1933 urodził się mój młodszy brat Alojzy. Mój ojciec, urodzony w 1893 r., miał na imię Józef a mama, urodzona w 1898 r. miała na imię Pelagia. Do roku 1926 moi rodzice z dwójką starszego rodzeństwa zamieszkiwali w starym domu Zieleckich razem z babcią Julią i jej drugim mężem Grzegorzem Pilipem oraz z ich dziećmi.

Na wydzielonym przez babcię Julię placu, ojciec wybudował w 1926 roku własny dom. Był to budynek drewniany, który składał się z trzech izb, komory, obory dla bydła oraz szopy. Dom pokryty był słomą. W pierwszym etapie wykończona była jedna duża izba - dwie czekały na wykończenie. W 1927 roku mijał termin spłaty posagu przyrodniej siostry Wiktorii, ustalony w zapisie babci Julii w kwocie 200 dolarów. Dla zgromadzenia takiej sumy (około 1800 złotych), ojciec musiał sprzedać dwie krowy, jałówkę i dwa konie. Rodzina moja

(5 osób) została pozbawiona podstawowego środka do życia - mleka. Przez okres połowy roku mleko dla trojga małych dzieci matka przynosiła od swojej mamy Marii (3 km). Z pomocą mojej rodzinie przyszła ciotka mojej mamy, która dała w prezencie 50 dolarów. Ciotka otrzymała pokaźną sumę dolarów z USA, jako odszkodowanie za syna, który zginął w tamtejszej kopalni. Za otrzymane pieniądze ojciec kupił krowę i konia. W następnych latach sytuacja finansowa ojca znacznie się poprawiła. Dzięki reformie ministra Grabskiego renta ojca znacznie wzrosła a nowa złotówka stała się stabilna. Za swoje kalectwo wyniesione z wojny ojciec otrzymywał miesięczną rentę w wysokości 101 złotych.

Zbudowany niedawno dom został w 1936 roku sprzedany Żydowi za 750 złotych. Gdy sprzedaż domu zgłosił ojciec w urzędzie asekuracyjnym w Brzozowie, urzędnik przyjmujący zgłoszenie skomentował z ironią - „dlaczego chłop biedny - bo głupi”. Dał w ten sposób do zrozumienia, że dom trzeba było spalić (był on ubezpieczony na kwotę 2800 złotych), gdyż otrzymane odszkodowanie byłoby czterokrotnie wyższe niż kwota, za jaką dom został sprzedany. Przez jeden rok mieszkaliśmy w wynajętym domu. W tym czasie ojciec wybudował nowy dom, znacznie obszerniejszy i pokryty dachówką. W domu tym mieszkaliśmy do 1940 roku.

Od 1935 roku zaczęły się moje problemy zdrowotne objawiające się, w pewnych okresach, bólem głowy. Prawe oko puchło, a spod powieki sączyła się ropa. To zmusiło moich rodziców do udania się ze mną do lekarza w Sanoku. W toku badania lekarz oczyścił oko z ropy i przepisał jakieś leki w płynie oraz maść do smarowania chorego oka. Dolegliwość ta prześladowała mnie przez całe dzieciństwo. Bóle głowy zaczynały się przeważnie wiosną i trwały, z przerwami do lata. Do lekarza już mnie więcej nie wożono. Dopiero w okresie powojennym badania lekarskie wykazały, że bóle głowy pochodziły od stanów zapalnych zatok bocznych i czołowych. Dolegliwość ta dokucza mi, co pewien czas, do dnia dzisiejszego.

Od szóstego roku życia do moich obowiązków należało pasienie konia. Pasieniem byłą zajmowały się starsze siostry. Tylko w niedzielę dawano nam możliwość dłuższego snu a pasieniem zwierząt w tym czasie zajmowali się starszy brat i ojciec. W pozostałe dni konia i krowy wypędzało się na pastwisko przed piątą rano. Na pastwisku zakładałem pęta na przednie nogi konia a sam kładłem się na derce. Końcem derki owijałem bosc stopy, gdyż rosa o tej porze była bardzo zimna. Często na tej derce zasypiałem a w tym czasie koń wchodził w zasiewy sąsiadów, gdzie wyrządzał widoczne szkody. Wtedy trzeba było zatrzeć

ślady kopyt a powyrywane źdźbła starannie pozbierać i ukryć w zaroślach. Innym moim zajęciem było prowadzenie (za lejce) konia podczas podorywki i orki, za które był odpowiedzialny starszy brat. Uważam, że ta moja praca była zbyt ciężka, gdyż czynność tę brat mógł wykonywać bez mojej pomocy. Ponadto samodzielnie, pokonując przy tym wiele kilometrów, prowadziłem za lejce konia podczas bronowania zaoranego pola. Była to praca ponad siły małego dziecka. Wyczerpany, już koło południa wypatrywałem matki, która przychodziła na pole z obiadem. Oprócz posiłku dla mnie i brata, mama przynosiła na plecach obrok dla konia. Siadaliśmy w cieniu drzew i spożywaliśmy przyniesione przez mamę jadło. Odpoczynek trwał przez okres karmienia i pojenia konia, po czym pracowaliśmy dalej. Wieczorem wracaliśmy do domu. W czasie jednego z takich powrotów brat kazał mi usiąść na podwieszonym na płozach pługu i powozić koniem. Na wyboistej, polnej drodze pług się wywrócił, a ostrze lemiesza wbiło się głęboko w moją łydkę. Na mój krzyk koń się zatrzymał a wystraszony brat przybiegł i uwolnił mnie spod pługa. Z rozciętą łydką, o własnych siłach doszedłem do domu. Dziwne, że z głębokiej rany nie wyciekała krew. Dopiero w domu zaczęło się silne krwawienie. Matka porwała na pasy lniane prześcieradło i tymi bandażami owinięto mi zranioną nogę. Krew jednak nadal przeciekała przez opatrunek. Ktoś pobiegł do kierowniczkii poczty po pomoc. Ta po jakimś czasie przybyła z podręczną apteczką i udzieliła mi pierwszej pomocy. Zaleciła jednocześnie, aby niezwłocznie zawieźć mnie do lekarza w celu zszycia rany. Rodzice jednak postanowili leczyć mnie domowymi sposobami. Ojciec sporządził - według specjalnej receptury - maść, którą co kilka dni smarowano ranę. Gojenie trwało kilka tygodni, po czym na ranie pojawił się cienki naskórek, który przykrył rozcięte mięśnie, jednak do dnia dzisiejszego odczuwam skutki braku fachowego ich zszycia. Inne moje obowiązki polegały na pomocy przy zwózce snopków zbóż, które musiałem widłami odbierać z firy i zanosić na miejsce składowania. Ponadto zatrudniano mnie do odpędzania much gałązkami drzew podczas dojenia krów.

Od 1936 roku w okresie wakacji uczęszczałem wraz z siostrą Wandą i bratem Alkiem na półkolonię zlokalizowaną we dworze. Codziennie (oprócz niedziel) o godzinie siódmej wychodziliśmy z domu, aby na ósmą zdążyć do dworu. Tu czekało na nas śniadanie i po jego spożyciu zaczynały się różne gry, zabawy i spacer. W południe zjadaliśmy obiad, a około godziny piątej po południu wydawano nam podwieczorek. Następnie wracaliśmy do domu, gdzie czekały na nas normalne obowiązki, tj. pasienie bydła i konia.

Od 1937 roku zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej, zwanej wówczas powszechną. Rodzice kupili mi od sąsiadów grafitową tabliczkę z rysikiem, na której z jednej strony

zaznaczone były linie, z drugiej zaś kratki. Okazało się, że tak archaiczne akcesoria są zbędne, gdyż w tym roku wprowadzono w naszej szkole - już od pierwszej klasy - zeszyty. Jak już wcześniej wspomniałem, w klasie panowała surowa dyscyplina, z biciem dzieci włącznie. Sam dwukrotnie byłem karany biciem różgą po dłoniach za niezrozumienie odczytu zegara (atrapy), którego uczyła moja wychowawczyni. Doszło do tego, że w następnych dniach nie chciałem pójść do szkoły. Kiedy wyjaśniłem ojcu przyczynę strachu przed szkołą, sam próbował nauczyć mnie „zegara” na swoim zegarku kieszonkowym, ale ja dalej nie mogłem tego zrozumieć. Wtedy ojciec postanowił pójść ze mną do szkoły, aby wyjaśnić całą sytuację. Akurat w tym dniu szkoła miała być kontrolowana przez przedstawiciela kuratorium i ojciec zagroził kierownikowi, że poskarży się kontrolującemu w sprawie bicia dziecka. Najpierw sprawę próbowała załagodzić moja wychowawczyni a później sam kierownik poprosił ojca, aby zaniechał skargi. W końcu sprawę załatwiono polubownie - od tej pory zaniechano nauczania odczytu zegara. Chyba nie była to dobra decyzja - należało raczej zmienić metodę nauczania, a nie go zaniechać.

Kolegów miałem z rodzin ruskich mieszkających w sąsiedztwie. Przeważnie byli to ludzie ubodzy, a ich dzieci często cierpiały głód. Podczas wspólnych zabaw koledzy prosili mnie abym im przyniósł parę kromek chleba. Przychodziłem więc do domu i mówiłem mamie, że jestem głodny. Mama kroїła pajdę chleba, smarowała masłem i okładała białym serem. Taką porcję wynosiłem poza dom i dawałem ją głodnym chłopakom. Powtarzałem ten proceder wielokrotnie, a mama bardzo się dziwiła, że zjadam tyle chleba. Czasami dochodziło, między polskimi i ukraińskimi dziećmi, do zatargów słownych. Dzieci ukraińskie wygłaszały obelżywe wiersze o Polakach, np. *„Tam Polaki na horbku żyły hada w czerepku”* (*Tam Polacy na pagórku zjedli węża w czerepie*) a my odpowiadaliśmy: *„Tu pagórek tam dolina, w d... będzie Ukraina”*. Były to jednak zatargi sporadyczne.

W połowie maja 1939 roku przygotowywano drugoklasistów wyznania rzymsko-katolickiego do Pierwszej Komunii Świętej. Proboszcz naszej parafii osobiście zorganizował tzw. „naukę” przy parafialnym kościele w Borownicy. Z Ulucza na ową naukę uczęszczało czworo dzieci z rodzin polskich, po trzy razy w tygodniu, przez okres trzech tygodni. Następnie nastąpiła uroczystość pierwszej spowiedzi i przyjęcie Sakramentu Komunii Świętej. Po uroczystości w kościele proboszcz zaprosił wszystkie dzieci do ogrodu plebanii, gdzie na ustawionych stołach podano nam posiłek. Podane jedło bardzo nam smakowało, gdyż byliśmy bez śniadania, a powrót do domu wymagał jeszcze trochę wysiłku. Każde dziecko otrzymało obrazek, jako pamiątkę przyjętej Komunii. Pod koniec czerwca 1939 roku zakończył się rok

szkolny. Rozdano nam świadectwa ukończenia drugiej klasy i promocję do klasy trzeciej. Następnego roku szkolnego dla mnie już w Uluczu nie było.

Wojna i okupacja

27 sierpnia 1939 r. została ogłoszona pierwsza mobilizacja niektórych roczników mężczyzn do wojska. Następnego dnia zmobilizowani z Ulucza mieli się stawić w Sanoku w koszarach 2 Podhalańskiego Pułku Piechoty, gdzie formowano nowe jednostki wojskowe. Miejscowy pułk był już wcześniej przetransportowany na Śląsk. W drugiej mobilizacji powołano następną grupę mężczyzn. Odjazd zmobilizowanych do Sanoka organizowała policja i sołtys. Obserwowałem płacz kobiet i dzieci, które przez kawał drogi biegły za furmankami ze zmobilizowanymi.

1 września 1939 r. rozpoczęła się druga wojna światowa. Po kilku dniach pojawiły się na drogach Ulucza tłumy cywilnej ludności uciekającej przed armią niemiecką. Była to ludność polska z okolic Krakowa, Tarnowa i innych miejscowości Małopolski. Podążali oni przez Borownicę w kierunku Przemyśla. Tu nasuwa się pytanie, po co ci ludzie opuszczali swoje domy i udawali się w nieznane strony na nędzę i tułaczkę? 3 września podążała przez Ulucz na wschód jakaś rozbita jednostka Obrony Narodowej. Obserwowałem, jak niektórzy żołnierze tej jednostki (chyba już zdemoralizowani) podnosili do góry karabiny wołając, że takimi pukawkami kazano im walczyć z niemieckimi czołgami. W tym samym dniu sołtys ogłosił zarządzenie starosty brzozowskiego, aby wszyscy mężczyźni od 20 do 35 roku życia zgłosili się przed kancelarią wiejską w Uluczu. Na zbiórkę udał się mój starszy brat Władek z plecakiem wyładowanym prowiantem. Po paru godzinach przed kancelarią zgromadził się tłum mężczyzn, oczekujących dalszych poleceń. Dopiero w nocy zatelefonowano do sołtysa, aby zebrani rozeszli się do domów. W tym czasie policja paliła już swoje dokumenty, po czym policjanci wsiedli na furmankę i odjechali w kierunku Przemyśla. Piątego września, na wzgórzach Ulucza pojawili się polscy żołnierze Drugiej Brygady Górskiej i zaczęli kopać okopy. Brygada miała zorganizować obronę nad rzeką San. Niektóre miejscowe kobiety (Rusinki) wynosiły głodnym żołnierzom gotowaną strawę. Były to chyba ostatnie ludzkie odruchy ludności ukraińskiej Ulucza w stosunku do Polaków. Pamiętam jak 8 września zeszło ze wzgórza trzech polskich żołnierzy z ręcznym karabinem maszynowym i zapytali mojego ojca, czy we wsi są już szwabcy. Ojciec odpowiedział im, że jeszcze Niemców w Uluczu nie ma. Matka zapytała, czy zechcą się czymś posilić, ale oni odpowiedzieli: „*zaraz się mamusiu szwabów najemy*” i za proponowany posiłek podziękowali. Po upewnieniu się, że w wiosce nie

ma Niemców poszli z powrotem na wzgórze. W dniu 9 września, wieczorem pojawili się na motocyklach żołnierze niemieccy, a po nich wjechała do Ulucza niemiecka piechota Drugiej Brygady Górskiej. Do walk z piechotą polską w Uluczu nie doszło, gdyż ta już wcześniej się wycofała. Przybyli do Ulucza żołnierze niemieccy rozłożyli się na nocleg w chłopskich ogrodach. Następnego dnia Niemcy pomaszerowali dalej w kierunku Przemyśla. Przez cały czas przemarszu Niemców ludność ukraińska witała ich kwiatami. W odpowiedzi na powitania Niemcy rzucali ludności papierosy, ołówki szkolne i inne drobiazgi. Radość była wielka. Kobiety z zachwytem mówiły „*jakije ti Nimci ślicznyje chłopci*”.

Przemarsz Niemców trwał spokojnie do 11 września. Tego dnia doszło, w lasach uluczańskich, Borownicy i na Jaworniku Ruskim, do walk między Niemcami a częścią 17 Pułku Ziemi Rzeszowskiej pod dowództwem płk. Kotarby. Żołnierze polscy zostali okrążeni przez Niemców, a próba ich wyjścia z okrążenia nie powiodła się. Walki trwały trzy dni i tylko nielicznym żołnierzom polskim udało się wyjść z pułapki. Poległo w tych walkach wielu żołnierzy obu stron, w tym płk Kotarba, a wielu było rannych. W budynku szkolnym w Uluczu Niemcy utworzyli szpital polowy. Poległych żołnierzy polskich grzebano we wspólnych mogiłach obok kościoła w Borownicy. Niemieccy zabici żołnierze byli chowani pojedynczo. Do kopania grobów i grzebania poległych, tak Polaków jak i Niemców, wykorzystano Żydów z Ulucza. Niemcy ponieśli też duże straty w sprzęcie transportowym. Rozbite ręcznymi granatami pojazdy mechaniczne przez dłuższy czas utrudniały przemarsz niemieckich kolumn drogą z Ulucza do Borownicy. Niedobitki Wojska Polskiego tułały się przez dłuższy czas w lasach uluczańskich. Los tych żołnierzy przedstawię w oddzielnym rozdziale.

Po przejściu wojsk niemieckich władzę w Uluczu przejęła uzbrojona milicja ukraińska. Na kancelarii wiejskiej wywieszono dużych rozmiarów dwie flagi – niemiecką i ukraińską. Stefan Czebieniak na stronie internetowej pisze: „*Później była taka pustka – Niemcy poszli na wschód, a tu nikogo, żadnej władzy. No i 18 września przyszli sowieci (...)*”. Pisze on dalej, że władzę w Uluczu sprawował selsowiet (Mich – Ukrainiec, Bachorski – Polak i Chaschiel – Żyd). W takiej krótkiej relacji mamy cztery kłamstwa. Po pierwsze, w Uluczu była władza ukraińska, po drugie, sowieci przyszli do Ulucza nie 18 września a 10 października, po trzecie Mich był Polakiem i po czwarte, w Uluczu nie powstał selsowiet lecz selrada. Parę wersów dalej Czebieniak pisze, że Mich i Chaschiel byli aresztowani przez Niemca. Nieprawda, aresztowania dokonała policja ukraińska. Zostawmy te bajki i zajmijmy się dalszą historią Ulucza.

Okupacja sowiecka

Władzę cieszyli się Ukraińcy w Uluczu do 10 października. W tym dniu przybył do Ulucza sowiecki zwiad na koniach. W nocy zostały zdjęte z kancelarii obie flagi – niemiecka i ukraińska – a ukraińska milicja rozbrojona. Po zwiadzie konnym przybyła do Ulucza piechota i kawaleria sowiecka, a z nimi NKWD. Żołnierze sowieccy zaprezentowali wielkie ubóstwo. Karabiny na wąskich parcianych paskach, pasy główne mundurów również parciane, takie same buty na gumowych podeszwach, płaszcze brudne i poszarpane. Kawalerzyści szli piechotą, prowadząc swoje szkapy za parciane wodze. Na zapytanie ludzi, dlaczego prowadzą swoje konie odpowiadali owi kawalerzyści, że konie są zmęczone daleką podróżą. Dowództwo przybyłego pododdziału czerwonarmistów ulokowało się we dworze. Dzierżawcę majątku dworskiego wykwaterowano, a później wywieziono na Sybir. Zaraz, na drugi dzień, nałożono na wieś przymusowy kontyngent na środki żywnościowe, bo żołnierze sowieccy nie mieli własnego zaopatrzenia. Szef NKWD wyznaczył nowe władze. Sołtysiem (hołowa selrady) został Polak - Mich, który był przed wojną członkiem Komunistycznej Partii Francji, za co został deportowany z tego kraju. Drugim komunistą okazał się Bachorski, też Polak, były członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, a trzecim - Żyd Chaschiel, który został komendantem milicji sowieckiej w Uluczu. Dumny chodził po wiosce z karabinem. To on zarekwirował radioodbiornik od Franka Krowiaka. Odbiornik ten był, przed wrześniem 1939 roku, własnością polskiej świetlicy a Franek Krowiak, jako kierownik świetlicy, po wkroczeniu wojsk niemieckich zabrał go do swojego domu.

Na dzień 15-go października, został zwołany „miting” całej ludności Ulucza. Na skarpie, jak na podwyższeniu, stanął politruk i rozpoczął przemówienie. Opowiadał, że Armia Czerwona przyszła wyzwolić naród ukraiński z niewoli polskich panów. W swoim przemówieniu ośmieszał armię polską, że tak szybko została rozbita przez armię niemiecką i sowiecką. Opowiadał, jak to polskie samoloty pochowały się pod Przemyślem w słomę. Roztaczał przed Ukraińcami świetlaną przyszłość i prawie raj na ziemi. Na każde obelżywe słowo o Polsce i Polakach Ukraińcy bili brawa. Na następny dzień rozwieszono dużych rozmiarów plakaty, na których polski orzeł był przebijany bagnetem przez sowieckiego „soldata”. W miejscu przebicia orła, ściekała krew. Inny plakat pokazywał, jak to polscy przywódcy uciekają na chłopskiej, kiepskiej furmance. Oczywiście twarze tych przywódców ukazano w karykaturalnej formie.

Przybyli najpierw do Ulucza Niemcy byli przez Ukraińców uluczańskich serdecznie witani, a droga przed nimi była wyścielana kwiatami. Niemcy poszli dalej na wschód i już przez Ulucz nie wracali. Przyszli sowietci i też byli radośnie witani i oklaskiwani. Jakaż ta uluczańska społeczność była przewrotna. Hucznie manifestowali, w roku 1940 i 1941, święto 1-do Maja razem z sowieckimi żołnierzami. Młodzież zorganizowała w Uluczu Komsomol, a liczne męty społeczne przeobraziły się w donosicieli i kapusiów. Takie rzeczy działy się tylko w Uluczu. Można by było zadać pytanie, dlaczego tylko tu? Stefan Czebieniak podaje w intrenecie, że Ulucz umierał trzy razy. Pierwszy raz, gdy przyszli sowietci w 1939 roku, drugi raz, gdy w 1941 roku przyszli Niemcy i trzecie umieranie zaczęło się znów, gdy do Ulucza w 1944 roku przyszli Moskale. W tym opisie brak jest jakiegokolwiek logiki. Przecież obu okupantów Ulucz witał kwiatami i oklaskami, jako wyzwolicieli od znienawidzonej Polski. Tu jednak Stefan Czebieniak okresu przedwojennej Polski nie wymienia jako okres umierania Ulucza. W tym okresie Czebieniakom dobrze się żyło, mieli młyn a później pobudowali tartak, który przynosił niezłe dochody. Mój ojciec korzystał zarówno z młyna, jak i z tartaku Michała Czebieniaka (z przydomkiem Kiszczanyn). Zostawmy te dywagacje i powróćmy do opisu oklaskiwanych przez uluczanów sowieckich żołdatów.

Wkrótce okazało się, że żołdaty wyzwoleńczej armii chodzą po domach i proszą o jedzenie. Byłem świadkiem, jak do naszego domu przyszło dwóch czerwonoarmistów i prosili matkę o chleb. Ich zachowanie było wprost zdumiewające. Zapukali do drzwi i weszli z karabinami gotowymi do strzału. Porozglądali się po mieszkaniu i dopiero po chwili postavili karabiny u nogi. Mama dała im cały bochenek chleba. Po godzinie przyszło dwóch następnych i cały rytuał się powtórzył. Za kilka dni przyszło dwóch oficerów i zażądali oddania jednej sztuki bydła. Ojciec dał im jałówkę, za którą zapłacili nowymi rublami. Za te ruble można było kupić pięć kilogramów cukru.

Po tygodniu, na brzegu Sanu zobaczyliśmy stojącego z karabinem sowieckiego żołnierza. Z zaciekawieniem spytano go, po co tutaj stoi. Żołdat powiedział, że na rzece San jest granica (kordon), między Niemcami i Związkiem Sowieckim. Był to dla miejscowej ludności szok. Wielu rolników miało po drugiej stronie rzeki własne pola uprawne, a w sąsiednich wioskach krewnych i znajomych. Wiekowy już mieszkaniak Krajników Grzegorz Krajnik pytał, o co tutaj chodzi, gdyż nie mógł pojąć, o czym mówi żołnierz. Ktoś z młodszych wytłumaczył mu „łopatologicznie”, że: *„jeśli zechcecie dziadku przejść na drugą stronę Sanu, to ten żołdat was zastrzeli.”* Po wielu staraniach, władze sowieckie, w porozumieniu z Niemcami, zgodziły się na przekraczanie Sanu w celu zebrania płodów rolnych. Zaczął się wtedy exodus

uciekinierów polskich, którzy zostali w strefie sowieckiej. Za odpowiednią opłatą przewożono ich na furmankach na drugi brzeg Sanu, jako robotników do wykopów ziemniaków. W naszym domu przebywało w tym czasie, kilku młodych chłopaków z okolic Krosna, którzy przed wojną na terenach wschodnich Polski służyli, jako junacy, w polskiej młodzieżowej organizacji. Granica na Sanie uniemożliwiała im powrót do domu. Przy okazji owych wykopków ziemniaków, zostali oni przetransportowani na drugą stronę rzeki. Za ich transport zapłacił mój ojciec, gdyż chłopcy ci byli bez przysłowiowego grosza. Kiedy skończyły się wykopki, granica na Sanie została zamknięta. Uciekinierzy polscy nadal przybywali do Ulucza, aby przedostać się na stronę niemiecką. Przeprowadzką takich ludzi zajmowali się mężczyźni z Ulucza. Za taką fatygę trzeba było słono płacić: biżuterią, odzieżą oraz przedwojenną walutą polską, która była jeszcze w obiegu u obu okupantów. Nierzadkie były przypadki mordów, przez Ukraińców, osób przeprowadzanych. Zamordowanych w łożinach tuż nad Sanem, wrzucano do wody, po uprzednim zdjęciu z trupów odzieży. Granicę przekraczano także w celach handlowych. Po stronie sowieckiej sklepy z polskimi towarami zostały szybko opróżnione, a nowych dostaw nie było. Wkrótce, pieniądze polskie zostały, w strefie sowieckiej, zastąpione rublami. Po stronie niemieckiej polska waluta nadal była w obiegu. Taką sytuację wykorzystywali liczni przemytnicy z Ulucza. Zbierali oni polskie pieniądze od swoich mieszkańców i za nie przynosili towary z Sanoka. Taki przemyt był możliwy do chwili, gdy granica, po stronie sowieckiej, strzeżona była przez żołnierzy liniowych. Można było ich łatwo przekupić. Z chwilą przybycia specjalnych oddziałów straży granicznej, przejście przez San zostało znacznie utrudnione. Zbudowano 3-metrowe płoty z drutu kolczastego, zaorano i wybronowano dwudziestometrowy pas ziemi oraz przeciągnięto, na wysokości ok. 50 cm, druty, które były połączone z systemem dzwonków, alarmujących siedzących w okopach strażników. Biada temu, kto nocą zetknął się z takim drutem. Strażnik oświetlał teren raketnicami, a z komendy wyjeżdżali na koniach jego koledzy. Często zdarzało się, że zając trącąc drut alarmował całą strażnicę. Strażników wspomagały tresowane psy, które po tropach prowadziły do domu przemytnika. Wszystkie te zabezpieczenia nie odstraszały jednak śmiazków. Wielu z nich, schwytanych za przemyt, dostało się do syberyjskich łagrów. Taki los spotkał mojego kuzyna, Władysława Polańskiego, którego w domu „rozpoznał” pies strażników. Kuzyn został aresztowany i etapami przewieziony na Sybir. Kiedy ciotka dowiedziała się, że jej syn jest przetrzymywany na etapowym przystanku w Dobromilu, udała się tam i u miejscowego komendanta NKWD próbowała załatwić zwolnienie. Enkawudzista - major - zażądał za uwolnienie 20 dolarów. Ciotka wróciła do Ulucza i z wielkim trudem uzbierała u krewnych

i znajomych 15 dolarów. Pojechała z pieniędzmi z powrotem, ale enkawudzista nie zgodził się na niższą kwotę. Z powodu pięciu dolarów kuzyn znalazł się na Syberii. W 1942 roku dostał się do armii Andersa, a później został przydzielony do dywizji pancerniej gen. Maczka. Wojnę przeżył, ale do Polski już nie wrócił.

Nastał rok 1940, a wraz z nim strach przed wywózką na Syberię. W lutym wywieziono tam wszystkich przedwojennych urzędników państwowych, leśniczych, gajowych i tzw. osadników. Do osadników zaliczono nawet tych, którzy kupili sobie kawałek dworskiej ziemi. Na liście do wywózki znalazła się też moja rodzina. Jakiś dureń z rady wiejskiej (sielrady) Ulucza, przypomniał sobie, że mój ojciec, w roku 1936, kupił kilka arów gromadzkiej ziemi, sprzedawanej na potrzeby budowy szkoły. Na drugi dzień znalazł się ktoś mądrzejszy, który stwierdził, że ziemię sprzedawał ojcu gromada, a nie pan z dworu. Dzięki niemu zostaliśmy uratowani. Aresztowanie groziło mojemu bratu, Władysławowi, za przynależność przed wojną do Związku Strzeleckiego. Organizacja ta miała swoją siedzibę w sąsiedniej Borownicy. Tam też aresztowano i wywieziono na Sybir wszystkich jej członków. Ponieważ brat był mieszkańcem Ulucza, władze z Borownicy już się nim nie interesowały, a sielrada z Ulucza nie bardzo się w tej materii orientowała. Brat uniknął wywózki, ale nie na długo, bo już w 1941 roku znalazł się na Uralu.

Na dzień 22 listopada 1939 r. wyznaczono plebiscyt (głosowanie) w sprawie przyłączenia Zachodniej Ukrainy do ZSRR. Specjalni prelegenci i żołnierze sowieccy zaczęli intensywną agitację. Wioskę podzielono na części, po 10 domów. W jednym z takich domów, w którym zbierano (pod przymusem) mieszkańców, dwójka agitatorów (jeden aktywista z wioski i jeden żołnierz) przekonywało ludzi o korzyściach przyłączenia części Polski do ZSRR. Po plebiscycie nic się nie zmieniło, dalej była szarzyzna i bieda. Na początku 1940 r. rozpoczęto agitację przedwyborczą do rad sowieckich. Jej organizacja była identyczna, jak przed plebiscytem. Wybory odbyły się 22 marca 1940 r.

W listopadzie 1939 r. obydwa okupanci zorganizowali wspólną komisję, ustalającą ostatecznie linię graniczną na Sanie. Grupa oficerów niemieckich i sowieckich, przechodząc nad brzegiem rzeki po stronie sowieckiej, ustalała miejsca słupów granicznych, które ustawiano na obu brzegach, naprzeciw siebie. Po dokonaniu ustaleń odbyła się w Uluczu, we dworze, libacja. Dla jej zorganizowania potrzebne były stoły, krzesła oraz naczynia stołowe i obrusy. Te akcesoria zbierano od ludności Ulucza, przeważnie od Żydów. Dla delegacji niemieckiej przygotowano we dworze nocleg. Potrzebną pościel zbierano również od

miejscowej ludności. Po noclegu i śniadaniu Niemcy odjechali do następnej wioski. Następnego dnia, do Ulucza i Borownicy przyjechały niemieckie ciężarówki z trumnami. Nastąpiła ekshumacja zwłok, poległych we wrześniu, żołnierzy niemieckich. Trumny ze zwłokami wywieziono za San, na stronę niemiecką. W parę dni później, zarządzono zebranie całej ludności Ulucza, na którym ogłoszono, że kapitalistyczna Finlandia zaatakowała Związek Radziecki. Agitatorzy dowodzili, że Finlandia zostanie za ten czyn ukarana, a zebrani musieli „potępić” fińskiego „agresora”. Pamiętam jeden z plakatów propagandowych, na którym dużych rozmiarów żołnierz sowiecki patrzy w dół na żołnierza fińskiego, sięgającego mu do buta.

Wysiedlenie części Ulucza

Zgodnie z sowieckim prawem, w strefie przygranicznej o szerokości 800 metrów nie wolno było nikomu mieszkać. Od wieków, wzdłuż doliny Sanu rozmieszczone były wioski. Domy znajdowały się często nawet kilkanaście metrów od brzegu rzeki. Nasz dom stał w odległości 150 metrów od granicy i w związku z tym musiał zostać zlikwidowany. W marcu 1940 r. sporządzono listę rodzin z Ulucza, które miały zostać przesiedlone na wschód, ale gdzie, nikt nie wiedział. Część rodzin z tej nieszczęsnej strefy, mogła przenieść swe zabudowania poza nią, ale kryteria tego podziału nie były znane. Moja rodzina znalazła się na pierwszej liście i 10 kwietnia 1940 r. trzeba było opuścić dom. Do załadunku dobytku na wagony kolejowe, wyznaczono małą stację kolejową w Załużu. Do przewozu niezbędnych rzeczy przydzielono nam trzy furmanki parokonne, które sprowadzono (pod przymusem) z odległych wiosek. Na naszej furmance starszy brat zbudował prowizoryczny daszek z desek, pod którym umieszczono młodszego rodzeństwo (siostra Wanda, ja i brat Alek) oraz odzież i pościel. Na przydzielone furmanki załadowano część zboża, sprzęt gospodarczy i inne niezbędne do życia rzeczy. Do Załuża można się było dostać tylko polnymi i leśnymi drogami biegnącymi w górzystym terenie. W dniu wyjazdu było bardzo zimno i zaczął padać deszcz ze śniegiem. Cała kolumna furmanek wyruszyła z Ulucza w południe. Przed zapadnięciem zmroku dotarliśmy do wioski Krecowa, gdzie zorganizowano nocleg w chatach chłopskich. Rano ruszyliśmy w dalszą drogę i około godziny 13.00 przybyliśmy do Załuża. Tam, przy stacji kolejowej, rozładowano furmanki. Przy wyjeździe z domu nikt nie pomyślał o zapisaniu nazwisk furmanów, przewożących nasz dobytek. Kolejność furmanek była (od Krecowej) pomieszana. Nikt nie pamiętał twarzy furmanów. Okazało się jednak, że żaden z nich nie uciekł z przewożonym dobytkiem, a wręcz przeciwnie - to oni poszukiwali właścicieli. Na stacji kolejowej, pod gołym niebem, czekaliśmy trzy dni na transport. Całością prac przy

wyładunku naszych rzeczy, ich pilnowaniem, karmieniem krowy i konia, zajmowali się: mama, brat Władek i siostra Paulina. Ojciec w tym czasie leżał chory u jednego z mieszkańców Załuża, który użyczył łóżka w swoim domu. Ojciec, z rozpaczy za pozostawionym nowym domem i utraconym gospodarstwem, przestał być sobą. Stracił wzrok i stał się obojętny na wszystko, co się z rodziną działo. Przy pielęgnacji ojca, matka okładała jego oczy lnianym płótnem nasyconym spirytusem. Po trzech dniach takiej kuracji, ojciec odzyskał wzrok, lecz wigoru, jaki miał przed przesiedleniem, już nigdy nie odzyskał.

13 kwietnia podstawiono wreszcie kryte wagony kolejowe i lory. Zaczął się załadunek naszego dobytku na różne wagony. W jednym wagonie krytym umieszczano po cztery rodziny wraz z ich rzeczami domowymi i środkami żywnościowymi. Do innych, krytych wagonów załadowano zwierzęta domowe. Sprzęt rolniczy i furmanki załadowano na lory. Po załadunku pociąg ruszył w kierunku wschodnim, lecz nadal nie było wiadomo, gdzie nas wiozą. Jechaliśmy przez Ustrzyki Dolne, Chyrów, Sambor, Stryj i dojechaliśmy do Chodorowa. Tam nastąpił rozładunek. Przy stacji kolejowej oczekiwały furmanki z okolicznych wiosek. Sołtysi (hołowy) z poszczególnych wiosek odczytywali nazwiska przesiedleńców i po załadowaniu dobytku na furmanki, prowadzili do swoich miejscowości. Przesiedleńców z Ulucza rozdzielono do czterech miejscowości. Nas przydzielono do wsi Kremerówka, oddalonej od Chodorowa o 2 km. Wieś ta była kolonią osadników polskich z lat przedwojennych. Mieszkali tam fachowcy z dziedziny cukrownictwa, którzy pracowali w nowej cukrowni w Chodorowie, oraz legioniści Piłsudskiego. W lutym 1940 r. większość z nich deportowano na Sybir. Pozostawiono tylko rodziny, których ojcowie byli zmobilizowani do wojska w 1939 r. Lepsze gospodarstwa były już zajęte przez Rosjan, którzy przybyli tu wraz z rodzinami w marcu, jako fachowcy od mechanizacji rolnictwa, oraz przez formali z rozparcelowanych majątków dworskich. Klucz przydziału pozostałych gospodarstw był taki, że biedniejsi przesiedleńcy otrzymywali gospodarstwa większe, a bogatsi mniejsze. Mojej, siedmioosobowej rodzinie przydzielono domek, który składał się z jednej izby (podłoga gliniana) i sieni. Obok domku była mała obora na jedną krowę. Mama na widok tego domu zemdląła. Po różnych perypetiach otrzymaliśmy inny, stary dom pokryty strzechą, ale z większą liczbą izb i większą oborą dla bydła. Do domu tego przylegał mały ogródek, a za nim były już pola sowchozu (radhospu). Przydzielono nam trzy kawałki ziemi o powierzchni 0,3 ha. Po kilku dniach zorganizowane już było życie domowe. Żywiliśmy się tym, co przywieźliśmy z Ulucza. Na prośbę przesiedleńców, władze sowieckie pozwoliły przywieźć część dobytku pozostawionego u krewnych w Uluczu. Po ten dobytek udała się

matka ze starszym bratem Władkiem. Przywieźli stamtąd dwie krowy (jedna przyjechała w pierwszym transporcie) i inny dobytek. Dla trzech krów i konia nie było w Kremerówce paszy i dlatego jedna krowa została sprzedana. Pozostałe krowy i konia karmiono, skradzionymi w nocy z plantacji sowchozowych, liśćmi buraków cukrowych. Tak rozpoczął się nowy etap mojego życia, z dala od rodzinnego Ulucza.

W nowych warunkach przystąpiono do organizowania życia rodzinnego. Przede wszystkim zagospodarowano przydzieloną nam ziemię (0,3 ha). Posiano zboże jare oraz posadzono trochę ziemniaków. Rodzina zdawała sobie sprawę, że z tej ziemi nie będzie można się utrzymać i że trzeba szukać innego zajęcia (zarobku). Brat Władek zatrudnił się do prac przeładunkowych, na stacji kolejowej w Chodorowie. Przeładowywano tam różne towary, z wagonów na „szerokich” torach do wagonów na torach normalnych (do stacji w Chodorowie tory były już poszerzone). Była to bardzo duża stacja towarowa. Tu krzyżowały się trasy z Lwowa, Tarnopola, Stanisławowa i Stryja. Przy okazji przeładunku kradziono atrakcyjne towary (mąka, cukier, ryż, konserwy rybne, itp.). Stacja nie była ogrodzona i można było tam wchodzić, bez przeszkód, z przyległych niezabudowanych terenów. Członkowie mojej rodziny, w tym i ja, często chodziliśmy do brata z posiłkami, a w drodze powrotnej zabieraliśmy, przygotowane przez brata, kradzione towary. Jednego razu, przeładowywano duże ilości książek z bibliotek lwowskich. Książki te przeznaczone były na makulaturę. Niektóre z nich przynosiłem do domu.

Ojciec trudnił się przewozem suszonych wysłodków buraczanych z cukrowni w Chodorowie do różnych miast, przeważnie do Stryja, Lwowa i Stanisławowa. Dlaczego te wysłodki wożono na furmankach, tego nie wiem. Siostra Paulina zatrudniła się do prac polowych w miejscowym sowchozie. W sowchozie tym, do prac polowych zatrudniano także dzieci. Siostra Wanda i ja też chodziliśmy do takich prac i motykami spulchnialiśmy ziemię między rzędami buraków cukrowych. Nie stosowano przy tym żadnych formalności. Przychodziliśmy rano, wprost na plantację, gdzie kierownik robót (karbowy) zapisywał nazwiska do swojego zeszytu, a następnie wskazywał rzędy, które należało spulchnić. Przed zachodem słońca przyjeżdżała z sowchozu furmanka, załadowana workami z cukrem. Każdy pracownik, który odrobił przydzieloną normę, otrzymywał pół kilograma cukru. Jeśli pracowało nas troje (dwie siostry i ja) to po pracy do domu przynosiliśmy 1,5 kilograma cukru. Po miesięcznej pracy otrzymywaliśmy jeszcze wynagrodzenie pieniężne. Rodzice byli bardzo zdziwieni, gdy siostra Paulina przyniosła wypłatę za trzy osoby. Była to, oczywiście, praca sezonowa. Mnie często zatrudniano do przesiewania nawozów sztucznych, przywożonych na plantację na

furmankach skrzyniowych. Nawozy były zbrylone i nie nadawały się do wysiewania siewnikami. Takie zbrylone nawozy trzeba było rozbijać drewnianym młotkiem i przesiewać na skośnie ustawionym sicie. Przesiane nawozy dostarczali do siewników dorośli mężczyźni.

Do szkoły w tym czasie nie chodziłem. Rok szkolny 1939/1940 był zmarnowany. Dopiero od 1 września 1940 r. zacząłem uczęszczać do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Szkoła znajdowała się w sąsiedniej wiosce Żyrawie, oddalonej od Kremerówki o 3 kilometry. W mojej klasie było pięcioro dzieci z rodzin polskich. Była to szkoła ukraińska, gdzie nauczano tylko języka ukraińskiego i rosyjskiego. Ponadto była matematyka, historia, przyroda, rysunki i kaligrafia. Historii Polski uczyłem się w domu, z przedwojennych podręczników. Rok szkolny zakończył się na początku czerwca 1941 roku. Otrzymałem świadectwo ukończenia trzeciej klasy z wyróżnieniem. Wyróżnienie było potwierdzone na specjalnym arkuszu o wymiarach A-4, z dekoracyjnymi elementami graficznymi i tytułem „Pochwalna Gramota”. W okresie szkolnym do prac polowych już nie chodziłem.

Przywiezione z Ulucza zapasy zboża wkrótce się skończyły. Chociaż pieniędzy nam w domu nie brakowało, to jednak wielu rzeczy nie można było kupić. W sklepach było pod dostatkiem wódki, kawy zbożowej, cukru i cukierków, które były bardzo tanie. Brak było innych produktów żywnościowych, odzieży i obuwia. Po chleb chodziliśmy do Chodorowa, gdzie trzeba było stać pod sklepami w długich kolejkach. Początkowo sprzedawano jeden bochenek na osobę, później już tylko po pół bochenka. Często chleba nie starczało dla wszystkich osób z kolejki. Aby zająć w niej dobre miejsce, trzeba było się tam znaleźć o piątej rano a nawet wcześniej. Porządku w kolejkach pilnowali milicjanci. Po zakup chleba chodziliśmy we troje i często zajmowaliśmy miejsca w kolejce do dwóch sklepów, aby w ten sposób kupić więcej chleba. Pewnego razu w sklepie powstał taki ścisk, że musiałem głośno krzyczeć. Widząc to, ekspedientka wyciągnęła mnie z tłumu, zaprowadziła na zaplecze i tam sprzedała mi dwa bochenki, po czym wypuściła mnie tylnym wyjściem. Bardzo się z tego powodu cieszyłem. Innym razem zostałem z kolejki wypchnięty i zacząłem płakać. Milicjant, który to zauważył, wziął mnie za rękę, wprowadził do sklepu poza kolejką i kazał ekspedientce sprzedać mi trzy bochenki chleba. Materiały włókiennicze przywożono do sklepu w Kremerówce raz w miesiącu i sprzedawano je po 1,5 - 2 m. na rodzinę. Butów nie było wcale. Nabiał mieliśmy własnego wyrobu i było go pod dostatkiem, Ogólnie, trzeba stwierdzić, że żyło nam się względnie dobrze.

23 kwietnia 1941 r. został powołany do Armii Czerwonej mój brat Władek (rocznik 1919). Zastanawiające było to, że w tym poborze powołano, z naszej wioski, tylko Polaków. Podobnie było w innych miejscowościach. Prawdopodobnie chodziło o to, aby podczas dwuletniej służby, zrusyfikować polską młodzież. Po dwóch tygodniach otrzymaliśmy od Władka list, z którego dowiedzieliśmy się, że pełni on służbę wojskową w Charkowie. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej straciliśmy z nim kontakt na kilka lat. Mieszkając w Kremerówce, obserwowałem wycofujące się, przed nawałą niemiecką, wojska sowieckie. Wycofywała się przeważnie piechota i dużo artylerii. Działa lekkie były ciągnięte przez zaprzęgi konne, a ciężkie, przez traktory rolnicze. Jeden traktor gąsienicowy ciągnął, czasami, po dwa działa i przyczepę samochodową. Ich prędkość była bardzo mała (ok. 8 km/godz.) i należy przypuszczać, że z taką prędkością daleko nie dojechały. Przejazd wycofujących się wojsk sowieckich przez Kremerówkę trwał kilka dni i nocy. Jedynie raz przejechała kolumna kilkunastu czołgów. Przed pojawieniem się wycofujących wojsk, organizowano ewakuację rodzin rosyjskich, przybyłych na te tereny wiosną 1940 roku. Były to rodziny różnych urzędników oraz traktorzystów. W naszym sąsiedztwie mieszkała rodzina rosyjska (rodzice z czwórką dzieci), przybyła tutaj z okolic Charkowa. Głową rodziny był traktorzysta o nazwisku Czernow. Moja matka zaprzyjaźniła się z jego żoną. Rosjanka ta opowiadała matce o strasznym głodzie, jaki panował w Rosji po rewolucji. Jej rodzice i dwoje rodzeństwa zmarli w czasie tego głodu. Najstarszy jej syn był moim rówieśnikiem i opowiadał mi, jak w Rosji jest dobrze. Już w tym wieku nauczano go chwalić ustrój sowiecki. Pytałem go, czy mieli w domu krowę (pochodził ze wsi). Odpowiedział, że mieli, ale taką małą, z „borodoju” - czyli kozę. Czernow, senior, był zatwardziałym komunistą. Sąsiadów straszył, że jeśli będą niełojalni wobec sowietów, to mogą pojechać na „biełyje niedwiedzi”. Kiedyś moja siostra Wanda, podniosła w jego sadzie kilka, leżących w trawie jabłek. Czernow zaczął krzyczeć, że odda ją pod sąd za kradzież tych jabłek. Moja matka przeprosiła go, oddała mu tych kilka „spadów” i w ten sposób załagodziła sprawę.

W toku ewakuacji rosyjskich rodzin, Czernow spakował swoją rodzinę i wywiózł ją na stację kolejową w Chodorowie, a sam wrócił do Kremerówki i poprosił moją mamę, aby sprzedała mu trochę chleba, masła i sera. Matka szybko spakowała potrzebne wiktuały i przekazała Czernowowi, aby ten zawiózł je swojej rodzinie. Żadnej zapłaty nie przyjął, a jemu zaproponowała obiad. Czernow usiadł do stołu i zaczął jeść podany posiłek. Był bardzo zdenerwowany i wystraszony, ręce trzęsły mu się jak galareta. Nie pozostało w nim nic

z buty, z jaką się obnosił wcześniej. Jego rodzina odjechała, a on sam został powołany do wojska.

W naszym obejściu była studnia, z której przez cały czas przemarszu wojsk sowieckich, pobierano wodę do pojenia koni. Jeden z żołnierzy, pobierający wodę, w pewnym momencie odszedł od studni i ukrył się w gęstym żywopłocie. Zauważyła go tam moja siostra i powiedziała o tym ojcu. Ojciec nakazał utrzymać ten fakt w tajemnicy. Po wycofaniu się wojsk sowieckich, tuż przed zmrokiem, zobaczyliśmy kolumnę żołnierzy niemieckich na rowerach. Zawiadomiliśmy o tym sowieckiego dezterera. Ten wyszedł z zarośli i ostrożnie z za węgła domu sprawdził, czy to faktycznie Niemcy. Po upewnieniu się, że są to Niemcy wybiegł na drogę i podniesioną ręką zatrzymał jednego z rowerzystów. Coś tam do niego powiedział, ale ów rowerzysta pozostawił go przy drodze i kazał mu czekać. Po kilkunastu minutach nadjechał samochód osobowo-terenowy z oficerem. Po rozmowie z tym niemieckim oficerem, sowiecki żołdat został zabrany do samochodu i wszyscy odjechali. Na drugi dzień prowadzono, w kierunku zachodnim, dość dużą grupę jeńców sowieckich. Z konwojującymi Niemcami szedł ów dezterer, prowadząc rower żołnierza niemieckiego. Należy przypuszczać, że był to niemiecki szpieg, usadowiony w armii sowieckiej. Przez następnych kilka dni i nocy maszerowały na wschód różne formacje armii niemieckiej. Działa były ciągnięte przez zaprzęgi bardzo masywnych koni z krótkimi ogonami (chyba ardeny). Konie te padały i były pozostawiane w przydrożnych rowach. Specjalna grupa Niemców szła drogą i dobijała te konie, a następnie wywlekała je na pola i tam pozostawiała. Żadnych walk w tym rejonie nie było. W lipcu maszerowały przez Kremerówkę wojska słowackie.

Okupacja niemiecka

Tak zakończyło się panowanie sowieckie na terenach wschodniej Polski. Skończyły się też deportacje rodzin polskich na Sybir. Trzecia, wielka fala deportacji miała nastąpić w końcu czerwca 1941 r. Wagony do wywózki były już przygotowane na stacji kolejowej w Chodorowie. O ile, w czasie rządów sowieckich dało się jakoś żyć, to po objęciu władzy przez nowego okupanta, życie stawało się coraz trudniejsze. W sklepach nie było żadnej żywności, nie było pracy i zarobków. W tej sytuacji, trzeba było wracać w rodzinne strony - do Ulucza. W sierpniu 1941 r., ojciec załadował na furmankę niezbędne narzędzia i razem z innymi wyjechał do Ulucza, aby zasiać część swojego pola zbożem ozimym. Domu naszego już nie było, toteż ojciec tułał się wśród ludzi, którzy w Uluczu pozostali. Na zimę ojciec wrócił do Kremerówki pociągiem, pozostawiając konia i sprzęt rolniczy u krewnych.

We wrześniu 1941 r. otwarto w Kremerówce polską szkołę, do której uczęszczały tylko dzieci z rodzin polskich. Ja znalazłem się w klasie czwartej. W szkole tej uczono tylko języka polskiego i matematyki. Do nauki języka polskiego używano specjalnych broszur, w których nie było słowa o Polsce ani o polskich pisarzach. Nie było tam żadnych polskich wierszy, a jedynie czytanki o zwierzętach, itp. W szkole tej uczyłem się do połowy kwietnia 1942 r.. Wczesną wiosną, ojciec ponownie wyjechał do Ulucza, aby zasiać tam zboże jare i przygotować grunt do sadzenia ziemniaków. Matka i nas czworo rodzeństwa zostaliśmy bez środków do życia. W rejonie Chodorowa i Stryja, na terenach naddniestrzańskich zapanował głód, gdyż po dużej powodzi Dniestru, zostały zniszczone wszystkie zasiewy. Matka wysłała siostrę Paulinę na Podole, w okolice Tarnopola, po zakup zboża. Na ten cel przeznaczyła kieszonkowy zegarek ojca. W czasie noclegu w jakiejś chacie, zegarek ten został siostrze skradziony. Musiała sprzedać część swojej garderoby i za to kupiła mały worek pszenicy, który na plecach przywiozła do domu. Starczyło jej, przy głodowych racjach, na kilkanaście dni. Nie widząc wyjścia z trudnej sytuacji, matka wysłała nas troje starszego rodzeństwa do ojca, który w tym czasie przebywał w Uluczu. Decyzja mamy była wysoce nieroztropna - ojciec w tym czasie sam tułał się po domach znajomych i też był bez środków do życia.

Powrót do Ulucza

Do odległego o 45 km Stryja szliśmy pieszo, gdyż wszystkie mosty na Dniestrze były zniszczone i pociągi nie kursowały. Na dworcu w Stryju okazało się, że sprzedaż biletów na pociąg jest limitowana i aby je nabyć trzeba wykupić tzw. platzkarty. Po wykup tej karty staliśmy w kolejce, na zmianę, całą dobę. Dopiero drugiego dnia wieczorem udało się kupić bilety na pociąg do Sanoka. Pociąg, relacji Lwów - Kraków, przybył do Stryja około północy. Był strasznie przepełniony i z wielkim trudem udało nam się do niego wsiąść. Na stojąco, dojechaliśmy rano do Sanoka. Cały, skromny prowiant zabrany z domu, został zjedzony już w Stryju i byliśmy bardzo głodni i słabi. Pieszo powędrowaliśmy do wsi Falejówka, odległej od Sanoka o 10 km, gdzie mieszkała kuzynka ojca, Stasia. Tu nas nakarmiono i osuszono nasze mokre ubrania. Mieliśmy dużo szczęścia, gdyż ojciec nasz był w sąsiedniej wiosce Raczkowej, u drugiej kuzynki Kasi. Szybko powiadomiono go o naszej obecności i po godzinie zjawił się z kuzynką Kasią. Po przywitaniu, ojciec usiadł i ze słowami „co ja teraz z wami zrobię” złapał się rękami za głowę. Ciotki pocieszały go, że się nami zaopiekują. Postanowiono rozdzielić nas w różne miejsca. Siostrę Paulinę skierował ojciec do ciotki w Borownicy, mnie zabrała do siebie ciotka Kasia, a Wandę przygarnęli krewni z Raczkowej.

Ojciec znalazł się w Raczkowej w drodze do Sanoka, a stamtąd miał zamiar udać się do Kremerówki. Swoją wyjazd opóźnił o jeden dzień z powodu naszego przyjazdu do Falejówki. U ciotki Kasi spałem na ławie przyściennej, bo nie było dla mnie innego miejsca. Mieszkanie ciotki składało się z dwóch izb, a zamieszkiwało w nich, razem ze mną, dziesięć osób. W takich warunkach przebywałem tam do połowy maja 1942 roku. W trzeciej dekadzie kwietnia 1942 r. władze niemieckie przydzieliły cztery towarowe wagony, które umożliwiły powrót z Kremerówki do Ulucza. W tym transporcie pozostała część mojej rodziny (ojciec, matka i najmłodszy brat Alek) powróciła, wraz z resztką dobytku, do Ulucza. Mnie o tym fakcie powiadomiła ciotka Kasia. W połowie maja, bez wiedzy moich rodziców, zaprowadzono mnie do wujka Jakimy w Mrzygłodzie. Tam dano mi kilka złotych, na opłatę za przewóz kryptą przez San, i polecono mi iść do Ulucza odległego od Mrzygłodu o 8 km. Zabrałem swój tłumoczek i poszedłem gdzie kazano. Idąc przez wieś Hłomcza, skierowałem się ścieżką polną do rzeki San, gdzie przewoźnik przewiózł mnie na drugą stronę, do wsi Dobra. Za przewóz nie wziął zapłaty, zapytał dokąd idę i wskazał mi drogę do Ulucza. Nasz były dom znajdował się na początku wsi. Gdy tam doszedłem, zobaczyłem, że na miejscu gdzie stał on przed przesiedleniem, rosła pokrzywa. Nikogo tam nie zastałem, ale jak się później okazało, mój ojciec widział mnie z pobliskiego wzgórza Krzemień. Wiedziałem, że rodzice z Alkiem mieszkają teraz u siostry mamy, Polańskiej. Dotarłem tam po godzinie. Rodzina mieszkała w komórce o powierzchni 10 m² z małym okienkiem. Zastałem tylko mamę. Pojawienie się czwartej osoby nie wzbudziło entuzjazmu rodziców. Rodzina nie posiadała prawie żadnych środków do życia. Żywiliśmy się przeważnie ziemniakami darowanymi nam przez sąsiadów i znajomych. Chleba nie jedliśmy wcale. Całe szczęście, że mieliśmy jedną dojną krowę. Drugą krowę rodzice oddali „na przechowanie” do ciotki Budnik, mieszkającej w Borownicy. Przebywała tam moja siostra Paulina, która za wyżywienie ciężko pracowała na polu i w oborze. Siostra Wanda nadal przebywała u rodziny we wsi Raczkowa. W nowym miejscu zamieszkania i w nowych warunkach, ponownie zacząłem pasać konia, jak przed przesiedleniem. Pasaniem krowy zajmował się brat Alek. Codziennie, wczesnym rankiem po udoju, prowadził on krowę na naszą łąkę na Krajnikach. Obok jechałem ja na koniu. Zwierzęta pasły się cały dzień a wieczorem wracaliśmy do miejsca zamieszkania. Trwało to do połowy lipca. Ponieważ z naszego pobytu rodzina ciotki nie była zadowolona, ojciec wystarał się u sołtysa o przydział jednego pokoju (niewykończonego) u Żyda Bebły, który mieszkał na Krajnikach. Skończyły się więc codzienne wędrowki na pastwisko. Głód coraz bardziej nam dokuczał. Bywało, że po dwa dni nie spożywaliśmy nic oprócz mleka. Głód cierpieli też inni ludzie z Ulucza. Na własne oczy

widziałem, jak umierała z głodu stara kobieta Katarzyna Powki (przyd. Juści), którą córka, matka trójki dzieci, przestała żywić. Ratowała od głodowej śmierci przede wszystkim swoje dzieci. W podobny sposób zmarł na Krajnikach stary kaleki człowiek, któremu nikt nie pomógł. Zmarłą starą kobietę wywieziono w nędznej trumnie do przycerkiewnej kostnicy na górze Dębnik. Miejscowy ksiądz greckokatolicki, Orest Sołtykiewicz, żądał za pochówek odpowiedniej zapłaty. Ponieważ córka zmarłej nie miała czym zapłacić, zwłoki leżały dwa tygodnie (było lato) w kostnicy. Dopiero interweniujący ukraińscy policjanci zmusili księdza do bezpłatnego pochówku. Należy podkreślić, że ów ksiądz był bardzo bogaty. Miał cały łąn ziemi, duże zabudowania gospodarcze, służącą i dwóch parobków, a jednak w tym przypadku postąpił jak zwykły łotr.

Wracając do opisu niedoli mojej rodziny, muszę podkreślić, że podobnie jak ksiądz Sołtykiewicz postępowało wielu ludzi, w tym także nasi krewni. Głód zmusił ojca do sprzedania garnituru brata Władka. Kupił go wujek Budnik z Borownicy, za 50 kg ziemniaków i 200 złotych. Garnitur był wart znacznie więcej, ale wujek był w tym przypadku bezlitosny. Część kupionych ziemniaków ukradli nam Żydzi, u których mieszkaliśmy. Kiedy ziemniaki się skończyły, matka wybrała się na żebrzy do sąsiednich wiosek. Udało się jej przynieść trochę jedzenia. Zbieraliśmy lebiodę i z niej, na mleku, przyrządzaliśmy posiłki. W taki sposób udało nam się uniknąć śmierci głodowej. Krewni i znajomi udawali, że nas nie znają. Przed wojną byliśmy dość zamożni. Mieliśmy cztery krowy i matka często rozdawała biedniejszym sąsiadom, całe gliniane garnki mleka. Ciotka i wujek z Borownicy często przyjeżdżali do nas w niedziele na tzw. gościny. Również siostry mamy chętnie u nas przebywały. Na odchodne dawała im mama całe kawały mięsa z zabitej świni lub cielaka. Teraz już nikt tego nie pamiętał, a mamy się wstydzili, że chodzi po żebrach.

Latem 1942 roku wypędzono z Ulucza wszystkich Żydów. Umieszczono ich w zorganizowanym w Brzozowie getcie, gdzie stopniowo ich mordowano. My zajęliśmy cały dom Żyda Bebły, u którego wcześniej mieszkaliśmy. Po dwóch tygodniach domy po Żydach sprzedano. Dom Bebły kupił Ukrainiec Panykiwski i dlatego po pewnym czasie musieliśmy go opuścić. Władze ukraińskie (sołtys i rada wiejska) nie pozwoliły polskiej rodzinie kupić żadnego domu po Żydach. Do jesieni 1943 r. tułaliśmy się po różnych domach. W tym czasie ojciec kupował drewno na budowę domu u różnych Polaków. Sporo drewna sprzedał mu kierownik niemieckiego gospodarstwa rolnego w Uluczu, Jaworski. Kierownik ten był Polakiem, który podpisał volkslistę, ale do rodaków odnosił się przychylnie. Prawdopodobnie należał do polskiej organizacji podziemnej. W kierowanym przez siebie gospodarstwie

zatrudniał Polaków z Kresów Wschodnich, którzy uszli mordom ukraińskim. Jednym z fernali był mężczyzna, który zawsze chodził w oficerkach, nawet przy wywózce obornika (sam to widziałem). W końcu października 1943 r. nasz nowy dom był gotowy do zamieszkania. Składał się z jednej izby oraz pomieszczenia dla krowy i konia. Mieszkaliśmy w pięciorku w izdebce o powierzchni 12 m². Siostra Paulina w październiku 1942 roku została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec. W domu pozostała nas trójka rodzeństwa i rodzice. O losie starszego brata Władka, nadal nic nie wiedzieliśmy. Dopiero latem 1943 r. dostaliśmy dziwny list. Był on napisany w języku ukraińskim przez nieznanego nam człowieka, który przedstawiał się jako Wasyl Kostyk. W liście informował, że pisze w imieniu i pod dyktando Władka, który przebywa w obozie jeńców radzieckich i prosi o przysłanie mu garnituru. W domu zapanowała radość, a mama już zaczęła przygotowywać paczkę do wysłania. Całą tę hecę rozszyfrował ojciec. Zadał on sobie kilka pytań:

- dlaczego Władek prosi o garnitur a nie o ciepłą odzież na zimę ?,
- jeśli list był pisany pod dyktando Władka, to dlaczego on sam nie mógł go napisać ?,
- jeśli Władek przebywa w obozie jenieckim, to dlaczego nie prosi o przysłanie środków żywnościowych?

W końcu paczki nie wysłano. Okazało się, że podobnych listów z prośbą o przysłanie garniturów, było w Uluczu więcej. Innym rodzinom, proszący przedstawiał się jako Wasyl Badarycz. Z dalszych korespondencji z tajemniczym pośrednikiem wynikało, że jest to ktoś z Ulucza, przebywający na robotach w Niemczech. Ustalono, że tym oszustem jest nasz niedaleki sąsiad Wasyl Badyra. Ci, którzy wysłali paczki, zażądali ich zwrotu, co niebawem oszust uczynił. Po wojnie, Wasyl Badyra do Ulucza już nie powrócił.

Rok 1943 był dla mojej rodziny bardzo ciężki. Wywieziono siostrę Paulinę na przymusowe roboty do Niemiec, zabrano nam, w ramach kontyngentu, krowę, prawie cały omłot zboża oraz część wykopanych ziemniaków. Obciążono nas różnymi szarwarkami, które ja musiałem wykonywać koniem. Wozilem kamienie do brukowania rynku i dróg miejskich w Brzozowie (28 km.), transportowałem kontyngentowe zboże do miejscowości Wzdów (35 km.). Najcięższą pracą było wywożenie z lasu, na brzeg Sanu w miejscowości Jabłonica, jodłowych kłód. W ciągu dnia trzeba było zawieźć tam dwa razy po dwie kłody. Do tych prac trzeba było sprzęgu dwóch koni. Z nami nikt nie chciał się sprzęgać, bo byłem zbyt młody (13 lat) a ojciec był inwalidą. Do zaprzęgu połączyłem się z moim rówieśnikiem, który nie miał ojca. Ścięte w lesie jodły leżały warstwami, często skrzyżowane i trudno było je wywlec na drogę.

Jeśli z wywlekaniem (zrywka) kłód radziliśmy sobie nieźle, to gorzej było z ich załadunkiem na wóz. Czasem pomagali nam dorośli. Przetransportowane kłody były splawiane przez flisaków w dół rzeki San. Pewnego razu - w ramach szarwarku - wiozłem młode ziemniaki z Ulucza do Dynowa (23 km.). Po wyładunku ziemniaków na wagony kolei wąskotorowej, dałem koniowi obrok i czekałem, aż koń się posili. W tym czasie podszedł do mnie uluczanie, Michał Dorocki, i zażądał abym pojechał z nim do hurtowni, po towar do sklepu w Uluczu. Ponieważ koń był jeszcze nie nakarmiony odmówiłem. Na placu, obok stacji kolejowej, stało wiele furmanek, ale Dorocki wybrał mnie, bo myślał, że dzieciakowi można rozkazywać. Po 15 minutach Dorocki wrócił i uderzył mnie kilkakrotnie w twarz, twierdząc, że z powodu mojego nieposłuszeństwa, skaleczył się w rękę. Jaki wpływ miała moja odmowa na jego skaleczenie, tego się nie dowiedziałem. Nikt z dorosłych, z innych furmanek, mnie nie bronił. Opisuję ten fakt, aby pokazać, jak trudno nam Polakom było żyć wśród Ukraińców. Polaka, nawet dzieciaka, można było bezkarnie poniewierać. Później sprzęgałem się z dobrym człowiekiem - Ukraińcem Piotrem Bałką. Z nim łatwo mi się furmaniło, gdyż był on człowiekiem zaradnym i zawsze, na szarwarku, potrafił załatwić sobie lepszą pracę. Pewnego razu zorganizowano transport kontyngentowych ziemniaków z Ulucza do obozu jeńców radzieckich w Olchowcach koło Sanoka. Transport dozorowało dwóch żołnierzy niemieckich. Mój współnik Bałka przygotował furmankę z dwoma siedzeniami, w tym tylne z oparciem i przykryte kocem. Gdy Niemcy to zobaczyli, zaraz zarezerwowali furmankę do swojej dyspozycji. tak więc, zamiast ciężkiego ładunku ziemniaków, wieźliśmy dwóch „szkopów”. Oczywiście jechaliśmy na czele kolumny furmanek z ziemniakami. Na teren obozu jenieckiego wjechaliśmy przez trzy bramy potrójnego ogrodzenia z drutu kolczastego. Przy każdej bramie jadący z nami żołnierze okazywali strażnikom obozowym jakieś dokumenty. Przejechaliśmy przez cały obóz do magazynu, gdzie ziemniaki rozładowano. Podczas przejazdu obserwowałem, jak jeńcy porywali ziemniaki z wozów. Jenieckie baraki były pootwierane. Potrójne prycze były starannie zasłane, a na całym terenie panował wzorowy porządek. W środku obozu stał kiosk, w którym jeńcy coś tam kupowali. Ubiór (mundury) jeńców był schludny a buty wyczyszczone. Chcę podkreślić, że tych szwendających się jeńców było niewielu - prawdopodobnie reszta gdzieś pracowała. Tak widziały moje oczy obóz jeniecki. Innym razem przewoziłem ziemniaki do stacji kolejowej w Sanoku (21 km.). Furmanki jechały w kolumnie, pod przewodnictwem sołtysa, przez Dobrą Szlachecką, w bród przez San, przez Hłomczę aż do celu. Na stacji kolejowej ziemniaki ważono i wsypywano do odkrytych wagonów. Rozładunek trwał kilka godzin i w drogę powrotną wyruszyliśmy już po zmroku. Zaczął padać rzęsimy, zimny deszcz. Chociaż owinąłem się derką, na nic to się zdało

- już po godzinie byłem cały przemoczony. W ciemności koń poruszał się w tempie kolumny. W stanie prawie całkowitego odrętwienia dotarłem do Hłomczy i tam okazało się, że przez San w bród nie da się przejechać, gdyż poziom wody znacznie się podniósł. Zbudzono miejscowego sołtysa, który zorganizował nocleg. Mnie przydzielono do jednego z gospodarzy, który już sam zajął się moją furmanką i koniem. Mną zaś zaopiekowała się gospodyni. Poleciała mi zdjąć z siebie całą mokrą odzież, powycierała mnie ręcznikiem, dała mi suchą bieliznę, nakarmiła i wskazała miejsce do spania. Rano założyłem swoje wysuszone odzienie, zjadłem śniadanie i udałem się na miejsce zbiórki. Okrężną trasą dotarliśmy do przeprawy w Jabłonicy, a stamtąd do Ulucza. Objazd kosztował nas 15 km dodatkowej jazdy po różnych bezdrożach. Do domu dotarłem w godzinach popołudniowych. Oprócz szarwarków musiałem samodzielnie wykonywać wiele prac polowych. Wywoziłem obornik na pole, wykonywałem podorywkę, orkę, itp. Prace te często były ponad moje siły i prawdopodobnie od tego moje ręce stały się dłuższe i nieproporcjonalne do mojego wzrostu. Pracą naszego konia musiałem także „odrabiać” wszystkie usługi, które wykonywali różni fachowcy przy budowie naszego domu.

Wiosną 1943 roku, w lasach uluczańskich pojawili się partyzanci radzieccy. Były to grupy z dywizji Kowpaka. Do wioski nie wchodzili. Żywność pobierali od chłopów mieszkających na skraju lasu. Za rekwirowaną żywność, dowódca oddziału wystawiał pokwitowania, informując gospodarzy, że rząd radziecki wypłaci za nią odszkodowanie. Takie zaświadczenie widziałem po wojnie w urzędzie gminy Mrzygłód. Dowódca oddziału partyzanckiego nałożył na gminę Mrzygłód kontyngent, a wójt musiał go realizować i to w taki sposób, aby władze niemieckie o niczym się nie dowiedziały. Do walki z partyzantami Niemcy zorganizowali dość znaczne siły. W dworze w Uluczu rozlokowały się różne formacje zbrojne. Byli tam żołnierze w mundurach wermachtu, policja ukraińska i policja granatowa. Na początku października 1943 r., cała ta zbieranina przybyła na Krajniki i za naszym domem rozwinęła się w tyralierę. Tyraliera ruszyła w kierunku wzgórz Krzemień i Dilec i tam wszyscy położyli się i zaczęli ostrzeliwać pobliski las. Po godzinnym ostrzale powrócili do dworu. W lesie nie było oczywiście żadnych partyzantów, ale Niemcy musieli się wykazać, jacy są dzielni. Po tygodniu, cała ta zbrojna grupa opuściła Ulucz. Pewnej nocy, w kwietniu 1943 roku, do Ulucza przybył jakiś pododdział radzieckich partyzantów i na kilka godzin zatrzymał się we dworze. Mieli tu jakieś porachunki z kierownikiem ligenszachtu. Zabili dwie świny i załadowali na dworski wóz, z domu kierownika zabrali wszystkie świąteczne wypieki (był to okres przedwielkanocny), zaprzęgli do wozu dworskie konie

i spokojnie, przez nikogo nie nękani, pojechali w kierunku Borownicy. Zabrali ze sobą także kierownika ligenszachtu. Kierownik ten objął funkcję po, wspomnianym wcześniej, Jaworskim. Był wyjątkowym draniem. Napędzał ludzi do bezpłatnej pracy w gospodarstwie, straszył Oświęcimiem, itp. Rano przyjechała grupa gestapowców z Brzozowa i aresztowała pięciu mężczyzn, którzy tej nocy pełnili przymusowy dyżur wiejski. Mieli oni obowiązek, w razie pojawienia się partyzantów, alarmować dzwonkami rozmieszczonymi wzdłuż wioski. Oczywiście tak właśnie uczynili, ale partyzanci alarm zignorowali. Policjanci ukraińscy, którzy w tym czasie przebywali w swoim, otoczonym wysokimi zasiekami, posterunku obok dworu, siedzieli cicho jak przysłowiowa mysz pod miotłą. Policjanci nie ponieśli żadnej szkody, a pięciu nieszczęsnych „dyżurnych” osadzono w obozie karnym w Płaszowie. Wszyscy oni przeżyli obóz i powrócili do domów w listopadzie 1944 roku.

W maju 1944 r., po zachodzie słońca, zjawił się na naszym podwórzu jakiś nieznany nam człowiek w cywilnym ubraniu. Ojciec akurat zaciosywał tyczki do fasoli. Gość poprosił w języku rosyjskim o siekierę a ojciec wbił ją w pniak i usunął się na bok. Ów przybysz odciął sobie od tyczki kawał kija i miał zamiar odejść. Mama zapytała go czy chce coś „pokuszać”. Wyraził na to chęć, więc zaprosiła go do izby i chciała zapalić lampę, ale ten zabronił. Podane ciepłe pierogi szybko zniknęły z talerza. W rozmowie, matka wspomniała, że ma syna w sowieckiej armii. Po upewnieniu się, że jesteśmy Polakami, gość powiedział, że syn na pewno jest teraz w polskiej armii, że osobiście widział polskich żołnierzy. Była to dla nas niespodziewana wiadomość - do tej pory nic nie wiedzieliśmy o utworzeniu na wschodzie polskich formacji wojskowych. Po zjedzeniu posiłku, partyzant ów wyszedł - dobrze, że wizyty tej nie zauważył nikt z sąsiadów, bo z pewnością doniesiono by o tym na policję. Już po kilku minutach usłyszeliśmy krzyki u przewoźnika Dorockiego, który mieszkał tuż nad Sanem. Rano dowiedzieliśmy się, że sporządzony u nas kij posłużył do wymierzenia kary domownikom Dorockiego. Straż wiejska zaczęła dzwonić, ale jej też się oberwało parę kijów. Okazało się, że ów partyzant, poprzedniego dnia, chciał przeprawić się przez San od strony Łodziny, ale ponieważ był policyjny zakaz przewożenia ludzi po godzinie 18-tej, przewoźnik Dorocki odmówił - za to został ukarany. Dziwne było, że chociaż partyzant działał w pojedynkę, nikt mu się nie przeciwstawił. Broni u niego nie widzieliśmy.

Niepokojącą sprawą dla Polaków z Ulucza, były doniesienia o mordach ludności polskiej na Wołyniu. Uciekinierzy z tamtych stron pojawili się w Sanoku i okolicach. Jeden z takich uciekinierów, o nazwisku Kłopotowski, ulokował się z rodziną w dworze w Uluczu. Zaopiekował się nimi, wspomniany już wcześniej kierownik ligenszachtu,

Jaworski. Mówiono, że banderowcy mordują przeważnie Polaków płci męskiej. Dlatego ojciec postanowił chronić mnie i brata Alka, organizując dyskretne noclegi poza domem, w zaroślach jałowców na zboczu góry Krzemień. Nastające jesienne chłody a potem zima zmusiły nas jednak do nocowania w domu. Zima 1943/44 minęła bez większych problemów. Wiosną 1944 r., Niemcy zaczęli rozbudowywać, po lewej stronie Sanu, linie obronne. Zaczęły się nowe, dokuczliwe szarwarki. Władze niemieckie zarządziły, że gospodarze posiadający konia, muszą trzy razy w tygodniu zgłosić się z furmanką do dyspozycji Niemców. Nie posiadający konia mieli obowiązek, cztery razy w tygodniu, zgłaszać się do pracy z różnymi narzędziami - jedni z łopatami lub kilofami do kopania okopów, inni z narzędziami do ścinki drzew w okolicznych lasach. Furmanki zapewniały transport drewna z lasów na miejsce budowy umocnień obronnych. Ja wspólnie ze wspomnianym już wcześniej Bałką, woziliśmy posiłki dla pracujących. Każda pracująca osoba otrzymywała porcję chleba, kawałek topionego sera, porcję margaryny i - przywożoną w dużych termosach - czarną kawę zbożową (o dziwo, osłodzoną). Pracami kierowali żołnierze Wehrmachtu. Na stokach wzgórz za Sanem można było obserwować nieustanny ruch mrowia pracujących ludzi i furmanek. Całe zasiewy ozime na tych stokach, zostały całkowicie zniszczone. Prace trwały do czerwca 1944 r. Zbudowane umocnienia nie zostały w porę obsadzone przez wojska niemieckie, co umożliwiło łatwe sforsowanie Sanu przez wojska sowieckie.

Władza odrodzonej Polski

W końcu lipca 1944 r. przybyły do Ulucza wojska sowieckie i z marszu przystąpiły do forsowania Sanu. Obserwowałem, jak w pobliżu naszego domu, forsował San zwiad na koniach. Woda w rzece była w tym czasie dość głęboka, toteż zwiadowcy płynęli obok koni, trzymając się siodeł. Po przepłynięciu na drugą stronę, wsiedli na konie i popędzili w kierunku wsi Łodzina. Po chwili usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny. Po nadejściu większych sił sowieckich „szwabi” zostali przepędzeni i pierwsza linia obrony niemieckiej została przez Sowietów zdobyta.

W pobliżu naszego domu, nad Sanem był duży skład drewna (kłoców), przygotowywany przez Niemców do spławu. Obok tego składu saperzy radzieccy zorganizowali produkcję drewnianych elementów do budowy mostów. Głodni saperzy chodzili po domach i prosili o jedzenie. Mówili, że w ciągu dwóch dni muszą zbudować na Sanie dwa mosty. Okazało się, że zbudowali jeden i to w przeciągu tygodnia. Most ten był budowany na przejściu

z Ulucza do Witryłowa. Przy jego budowie kilku saperów, w tym ich dowódca kapitan, zginęło. Kapitan ten został pochowany w Uluczu. Do przewożenia elementów mostu, z wytwórni na miejsce budowy, zmuszano okolicznych chłopów. Trzeba było uciekać z końmi do lasu, aby uniknąć nowych szarwarków. Po zakończeniu budowy, mostem ruszyła cała masa wojsk radzieckich. Czołgi przeprowadzały się przez rzekę w bród, gdyż most był przewidziany pod mniejsze obciążenie (16 ton). Niemcy zdołali zorganizować obronę w odległości ok. 8 km od Sanu i tam, przez kilkanaście dni, toczyły się walki. W uluckim dworze rozlokował się jakiś sowiecki sztab wojskowy. Polecono sołtysowi zorganizować całodobowe, czteroosobowe dyżury w kancelarii wiejskiej. Taki dyżur pełniłem i ja. Zadaniem dyżurnych było powiadamianie mieszkańców wsi o różnych zarządzeniach owego sztabu. Pełniąc jeden z takich dyżurów widziałem jak przez Ulucz, w kierunku Przemyśla, jechały furmanki chłopskie z rannymi sowieckimi żołnierzami. Ciężej ranni leżeli na deskach furmanek wyścielonych słomą i często wołali, aby podać im wody do picia. Lżej ranni szli piechotą. Byłem świadkiem, jak jednemu z takich rannych jakaś kobieta podała kubek wody. Pijąc tę wodę, przytrzymał ją jakąś blaszką otwór w szyi, przez który część wody się wylewała - prawdopodobnie miał przestrzelony przełyk. Nie widziałem żadnych sanitariuszy, którzy by się rannymi opiekowali. Wszyscy ranni podążali do najbliższego szpitala wojskowego, który znajdował się w miejscowości Bircza, odległej od Ulucza o 20 km. Będąc, w połowie kwietnia 1945 r., w Raczkowej u krewnych, widziałem cmentarz radzieckich żołnierzy, którzy zmarli od ran w polowym szpitalu, ulokowanym w jednym z obszerniejszych domów. Cmentarz urządzono tuż przy szpitalu, w ogrodzie gospodarza. Nad grobami stały stożkowe słupki z tabliczkami, na których były podane stopnie wojskowe i nazwiska zmarłych. Na słupkach wisiały hełmy, a na niektórych mogiłach osadzone były łuski od amunicji artyleryjskiej. W czasie mego pobytu w Raczkowej odbywała się tam ekshumacja, poległych na okolicznych polach, żołnierzy węgierskich. Wyjęte z grobów ciała ułożono przy drodze na trawniku. Patrzyłem, jak pracujący przy tym makabrycznym dziele mężczyźni, rozdzielali między sobą mundury i buty zdjęte z poległych. Co dalej zrobiono ze zwłokami, tego nie wiem.

Wracając do roku 1944, pewnego wrześniowego wieczoru przybyło do Ulucza bardzo dużo żołnierzy radzieckich. Rozdzielano ich na nocleg w wiejskich chatach. W naszym domu, na strychu, nocowało trzech żołnierzy. Dziwne, że wojsko to było bez broni. Byli natomiast dobrze umundurowani i wyposażeni w zapasową bieliznę. Do rana, całe swoje dodatkowe umundurowanie sprzedali za samogon miejscowej ludności. Później dowiedzieliśmy się, że byli to żołnierze odbici z niewoli niemieckiej. Traktowano ich jak

przestępców i dlatego broń wydawano im dopiero na linii frontu. Po przybyciu do Ulucza wojsk radzieckich, ruch banderowski w naszej okolicy ucichł. Dopiero jesienią 1944 r. zaczęły się pojedyncze mordy Polaków. W Uluczu w dniu 24 października 1944 r., we własnym mieszkaniu i na oczach żony i dzieci, zamordowano sołtysa Polańskiego. W nocy 23 grudnia 1944 r., ktoś zapukał w okno naszego domu. Ojciec leżał już w łóżku. My, troje rodzeństwa, również spaliśmy. Matka kończyła świąteczne wypieki ze zmielonej na żarnach mąki. Na zapytanie „kto tam” usłyszała odpowiedź „milicja”. My już wiedzieliśmy, co to za milicja. Do izby weszło trzech facetów ubranych w cywilne odzienie. Jeden z nich trzymał w ręku pistolet, drugi miał pepeszę a trzeci - karabin. Zaczęli, dość grzecznie, rozmowę z mamą. Rozmowa toczyła się na temat zbliżających się świąt, ktoś wspomniał o wódce na co matka odpowiedziała, że bimber będzie pędzony dopiero jutro, i pokazała im fermentujący zacier. Na odchodne dała im świeżo upieczoną bułkę. Ktoś z rodzeństwa powiedział, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują” - byliśmy pewni, że to banderowcy. W złą godzinę to wypowiedziano - po chwili ci sami bandziory, z jeszcze jednym osobnikiem, weszli ponownie do izby. Teraz rozmowa toczyła się w ostrym tonie - zażądali dwóch par butów i dwóch płaszczy wojskowych oraz dwóch koców. Po odpowiedzi, zgodnej zresztą z prawdą, że takich rzeczy nie posiadamy, zaczęła się rewizja. Oczywiście, nic nie znaleźli. Mama, w odruchu rozpaczy, powiedziała: „możecie nas od razu pozabijać, ale żądanych przedmiotów nie możemy wam dać, bo nigdy ich nie mieliśmy”. Jeden z bandziorów odparł: „jak będziemy was zabijać, to pomału”. Cały czas rozmawiali po polsku. W końcu zażądali, aby wymienione przedmioty przygotować na następny dzień. Ojciec w tych rozmowach nie brał udziału.

W dzień wigilijny kolację zjedliśmy już o czwartej, po czym matka poprosiła sąsiadkę Hanię Białas (Ukrainkę) o przenocowanie mnie i brata Alka w jej domu. Sąsiadka się zgodziła. Matka i siostra Wanda zostały na nocleg w domu a ojciec, ubrany w ciepłe odzienie, obserwował zza węgła nadejście banderowców. Około godziny 21⁰⁰, cała grupa banderowców zeszła ze wzgórza, kierując się do naszego domu. Zatrzymali się w pobliżu naszego ogrodu, coś tam między sobą rozmawiali, po czym skierowali się do obejścia drugiego Polaka - Franciszka Krowiaka. Franek, spodziewając się „wizyty” banderowców, wyjechał rano 24 grudnia razem z żoną do Mrzygłodu. Ponieważ na wołanie banderowców nikt im u Krowiaka nie otwierał, wyłamali drzwi i weszli do pustego domu, rabując co tam jeszcze zostało. Od wigilii 1944 r., ja i brat Alek nocowaliśmy nadal u sąsiadki. Okazało się, że jej mąż Józek należał w tym czasie do sotni UPA. Sytuacja była dość paradoksalna.

Ukrywaliśmy się przed banderowcami w domu banderowca. Nasze noclegi u sąsiadki trwały do połowy stycznia 1945 r., po czym odmówiono nam dalszej gościny. Trzeba było spać w domu. Ojciec z psem przez całą noc pilnował obejścia, natomiast w dzień odpoczywał.

W dniu 30 marca 1945 r. mama dowiedziała się od uczciwego Ukraińca, że jest przygotowywana przez banderowców akcja likwidacji wszystkich Polaków w Uluczu. W domu zapanował strach. Po świętach wielkanocnych, które przypadały na 1 i 2 kwietnia, przygotowaliśmy się do ucieczki za San. W nocy z czwartego na piątego kwietnia, banderowcy uprowadzili z Ulucza siedmiu Polaków. Zabieranie mężczyzn z domów rozpoczęło od strony wsi Gruszówka i do rana zdążyli spacyfikować zabudowania w odległości ok. 1 km. od naszego domu. Swoje dzieło zakończyli na przyrodnim stryju Stanisławie Pilip. Stryj zdążył się ukryć na strychu i bandyci zabrali tylko konia. Nie zdążyli uprowadzić pozostałych czterech Polaków, w tym mojego ojca, z Krajników. Należy wyjaśnić, że w owym czasie bandyci działali jeszcze tylko w nocy, dlatego o świcie zaniechali dalszych uprowadzeń. Na następną noc już nikt z Polaków nie czekał. Rano wszyscy wyjechali furmankami na drugą stronę Sanu, do polskich wiosek. Ojciec i ja z bratem Alkiem załadowaliśmy na furmankę część rzeczy z domu i wyjechaliśmy, przez Dobrą i Tyrawę Solną, do Mrzygłodu. W Mrzygłodzie krewni udzielili nam schronienia. Po kilku dniach dołączyła do nas siostra Wanda. Mama, z resztą dobytku, pozostała w domu. W podobnej sytuacji była nasza sąsiadka, Jasińska, której mąż z dziećmi przeniósł się do Mrzygłodu. Matka nocowała ukradkiem u tej sąsiadki. Pewnej nocy, około godziny 23⁰⁰, zapukano w okno i zażądano otwarcia drzwi. Obie kobiety spały w alkierzu przy zasłoniętym oknie. Główny pokój miał okna odsłonięte a na łóżkach nie było żadnej pościeli. Banderowcy długo pukali, po czym latarką oświetlili główny pokój. Na widok pustych łóżek uznali, że w domu nie ma nikogo i odeszli. Matka przez okno zobaczyła, że grupa banderowców poszła do naszej stryjenki, Marii Pilip. W tym czasie stryj Piotr Pilip wraz z synem Edkiem przebywali w Mrzygłodzie. Stryjence banderowcy żadnej krzywdy nie zrobili, bo w bandzie był jej brat. Rano mama stwierdziła, że nasze mieszkanie zostało w nocy splądrowane. Banderowcy, kiedy nie znaleźli mamy zbili kijem krowę, której ryczenie, według ich planu, miało przywołać gospodynię. Nie czekając ani chwili, zabrała matka swoje rzeczy i razem z krową przybyła do Mrzygłodu. Tu ludzie oglądali biedne, obite zwierzę, nie mogąc uwierzyć, że człowiek mógł coś takiego zrobić bydłociu. Nie zważając na niebezpieczeństwo, ja z siostrą Wandą dwukrotnie jeździliśmy

furmanką do domu w Uluczu, skąd przewoziliśmy zboże i ziemniaki. Później dowiedziałem się, że banderowcy dwukrotnie nas tolerowali. Przez sąsiada Ukraińca, zostaliśmy dyskretnie powiadomieni, abyśmy do Ulucza więcej nie przyjeżdżali. Przywiezione zapasy wystarczyły nam na kilka tygodni.

Drugie opuszczenie Ulucza.

W Mrzygłodzie zamieszkaliśmy u żony kuzyna ojca, Stefanii Jakimy. Kuzyn już nie żył. Dom Jakimów znajdował się na przysiółku, w odległości półtora kilometra od właściwej wsi. Tuż obok płynął San. Tam też nie było bezpiecznie. Mieszkańcy tego przysiółka zorganizowali nocne dyżury. Uzbrojeni mężczyźni obserwowali San, czy ktoś go nie przekracza. Mój ojciec też takie dyżury pełnił. Karabin wypożyczał mu sąsiad Jakimów. Często dyżurujący wszczynali alarm, gdy ktoś próbował przekroczyć rzekę, a mieszkańcy przysiółka, zabierając najpotrzebniejsze rzeczy z domu, uciekali do pobliskiego lasu. Swojego domu nigdy nie opuszczali sąsiedzi Jakimów. Pewnego razu bawiliśmy się przy ich obejściu w „chowanego” i przy tej okazji znalazłem się w ich otwartej szopie. W słomie leżała głowa zarżniętej jałówki (własnej jałówki nie posiadali) a na podłożu było sporo zastygłej bydlęcej krwi. W niedługim czasie w rodzinie tej pojawił się piękny koń. W ich niedużym gospodarstwie nigdy wcześniej nie było konia, toteż wszyscy się dziwili, skąd on go zdobył. Tajemnice wkrótce się wyjaśniły.

Odbывające się w Sanoku procesy sądowe członków mrzygłodzkiej organizacji podziemnej WiN ujawniły „czyny” jej członków. Komendantem tej organizacji w Mrzygłodzie był jeden z jego mieszkańców. W tym okresie pełnił on także funkcję prezesa „Samopomocy Chłopskiej” w Sanoku. To on m.in. rozdelał dostarczane w ramach UNRA, różne dobra. Tak na przykład, dwa piękne konie otrzymał proboszcz z Mrzygłodu. W gospodarstwie owego komendanta też pojawiły się amerykańskie konie. W jego gospodarstwie pracowało dwóch parobków i służąca, a dzieci kształciły się w sanockich szkołach. W ramach organizacji WiN działał w Mrzygłodzie „sąd kapturowy”, który wydawał wyroki śmierci na miejscowych urzędnikach państwowych. Z wyroku tego sądu zostali zamordowani: zastępca wójta gminy Stróżowski, sekretarz miejscowej milicji, drogomistrz Tufin, radziecki kapitan, który załatwiał jakąś sprawę w gminie i inni. Ponadto, członkowie WiN dokonywali rozbojów i kradzieży bydła i koni. Dopuszczali się też gwałtów na kobietach. W lasku, w miejscowości Międzybrodzie, „bohaterowie” tej organizacji zgwałcili na oczach męża młodą kobietę z Mrzygłodu, gdy para wracała z Sanoka (ich nazwiska ze zrozumiałych względów nie podaję). W procesach

członków WiN z regionu mrzygłodzkiego udowodniono, że wszystkich mordów i rabunków dokonali ludzie z tej organizacji. Na niektóre procesy chodził mój brat Alek, który w tym czasie uczył się w Liceum Pedagogicznym w Sanoku. Sądzeni członkowie WiN otrzymali kary więzienia od 5 lat do dożywocia. Żadnego z nich nie skazano na karę śmierci. W wyniku kolejnych powojennych amnestiach wszyscy ww. skazani wyszli na wolność po odbyciu części kary (od 5 do 10 lat). Niestety, ich ofiary takich szans nie miały. Po roku 1990 wyszło m.in. na jaw, że WiN z Mrzygłodu miała porozumienie z UPA o podziale stref działań. W porozumieniu tym zastrzeżono, że UPA nie będzie atakować polskich wiosek: Mrzygłodu i Dębną, które leżały po lewej stronie Sanu oraz Lisznej leżącej po prawej stronie rzeki. Stąd też mieszkańcy tych wiosek nigdy nie obawiali się napadu UPA. Porozumienia z UPA nie podpisała natomiast wieś Witryłów. Mieszkańcy tej wioski zorganizowali oddział samoobrony, a na jej czele stanął właściciel miejscowego dworu, Dwernicki. To on jest opisany w książce „Łuny w Bieszczadach”. Człowiek ze starego szlacheckiego rodu wykazał właściwy patriotyzm i haniebnego porozumienia z mordercami ludności polskiej nie podpisał.

W maju 1945 roku, wojska radzieckie wysiedliły do ZSRR wioski ukraińskie leżące po lewej stronie Sanu, m.in. z powiatów sanockiego i brzozowskiego. Jedną z takich wysiedlonych wiosek była Hłomcza, leżąca nad Sanem obok Mrzygłodu. Do opuszczonych domów w tej wiosce wprowadziły się polskie rodziny, które wcześniej uciekły przed banderowcami. Jeden z takich domów zajęła moja rodzina. W tym czasie powróciła z Niemiec moja siostra Paulina. W styczniu 1946 roku wyszła ona za mąż za Michała Chudzikiewicza – uciekiniera z Dobrej, który również mieszkał w Hłomczy. O bracie Władku mieliśmy wiadomości już jesienią 1944 roku. Po trzyletnim pobycie na Uralu znalazł się w Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Na Ural został zesłany w 1941 roku, po aresztowaniu gdy służył w Armii Czerwonej. W 1943 roku losy zawiodły go do Sielc nad Oką. Stamtąd skierowano go do 1 Brygady Artylerii Armat. Brał udział w bitwie na przyczółku magnuszewskim pod Puławami oraz w Warszawie. Dalsza droga wojenna wiodła go przez Bydgoszcz, Wał Pomorski, Siekierki nad Odrą, do Łaby. Do domu powrócił w 1947 roku.

W Hłomczy mieszkaliśmy do 10 września 1946 roku. Nadal byliśmy narażeni na „wizyty” banderowców. Straż obywatelska często wszczyniała alarmy a zbudzeni ludzie uciekali w pola, poza wieś. Prawie każdej nocy widać było łuny pożarów polskich wiosek. Jedną z pierwszych napadniętych i spalonych wsi była Borownica (w dniu 20.04.1945 r.), gdzie

mieszkała przyrodnia siostra ojca, Wiktoria Budnik. W napadzie brały udział cztery sotnie pod dowództwem Rena. Mimo rozpaczliwej obrony miejscowej milicji (24 osoby) nie zdołano całej wsi obronić. Tylko część wioski, skupiona wokół kościoła i posterunku milicji, został ocalona. Dzielni milicjanci bronili się do godziny 10 rano. Banderowcy chwilowo odstąpili od ataku i przysłali parlamentariusza z żądaniem złożenia broni do godziny 14. W czasie nocnego napadu zamordowali 63 osoby. Ginęły całe rodziny, np. sześciuosobowa rodzina Cwynarów w wieku od 12 do 54 lat. Szczęśliwie, przed napadem i przerwaniem linii telefonicznej zdołano zawiadomić jednostkę wojskową w Przemyślu. Wojsko przybyło do wsi przed upływem terminu ultimatum. Ocaloną ludność, skupioną w rejonie obrony, ewakuowano w okolice Przemyśla. Spośród pozostałej ludności - mężczyźni, pod osłoną nocy, przedostali się lasem i polami przez Ulucz do Witryłowa i Mrzygłodu. Kobiety i dzieci przepuścili banderowcy, przez Ulucz, na drugą stronę Sanu. Podczas przejścia przez Ulucz, kobiety te zostały całkowicie obrabowane przez miejscową ludność. Jedną z kobiet Maria Zimoń wraz z córką Petronelą ciągnęły na czterokołowym wózku rannego dziesięcioletniego syna. W piersi chłopca tkwiła kula karabinowa. Dwóch uluczańskich bandytów stwierdziwszy, że rannym jest chłopiec chciało go na tym wózku dobić. Inny oprawca powstrzymał swych kolegów i stwierdził, że ten mały Lach i tak zdechnie. Stary Kułyk pooglądał ranę dziecka i powiedział, że rany Lachów trzeba posypywać solą. Obie kobiety dowiozły ranne dziecko do Mrzygłodu, a stamtąd zabrano go do szpitala w Sanoku. Kuli rannemu dziecku nie wyjęto, bo taka operacja zagrażała życiu chłopca. Z tak utkwioną kulą w piersi Zimoń-junior żyje chyba do dziś. Po obrabowaniu kobiet i dzieci z Borownicy przez uluczańskie kobiety pozwolono im opuścić wioskę. Któraś ze stojących obok kobiet przypatrujących się rabunkowi powiedziała; *„jak się Boga nie boicie rabując im skromne łaszki.”* Po zwolnieniu z rąk morderców, kobiety i dzieci z Borownicy ruszyły w kierunku Mrzygłodu. Ani w Dobrej, ani w Tyrawie nikt tych kobiet nie zaczepiał, bo tutaj był trochę inny świat niż w bandyckim Uluczu.

W okresie przedreferendalnym (3 x tak) w 1946 roku, w niektórych ukraińskich wioskach po prawej stronie Sanu, rozmieszczono pododdziały wojskowe w sile po 40 żołnierzy, celem umożliwienia Ukraińcom głosowania. Był to, oczywiście, zwyczajny idiotyzm. Jeden z takich pododdziałów zakwaterowano we wsi Dobra. Polacy już dawno z tej wsi uciekli. Pewnej czerwcowej nocy usłyszeliśmy stamtąd gwałtowną strzelaninę (Dobra leżała po drugiej stronie rzeki, naprzeciw Hłomczy), a po chwili wybuchł pożar domów. Cała ludność Hłomczy w popłochu uciekła w kierunku Mrzygłodu. Rano, nie wiedząc co

się w Dobrej wydarzyło, wróciliśmy do swoich domów. Nad Sanem, po stronie Hłomczy, było rozległe pastwisko, na którym wypasaliśmy bydło. Około godziny 9⁰⁰ na owe pastwisko przyjechało kilka samochodów z wojskiem z Sanoka. Próbowano nawiązać kontakt głosowy ze stacjonującym w Dobrej pododdziałem, ale żadnego odzewu nie było. Wysłano patrol rozpoznawczy, który stwierdził, że żadnych żołnierzy tam nie ma. Zaczęli się pojawiać dopiero po kilku godzinach, schodząc z pobliskich pól. Okazało się, że w nocy zostali oni zaatakowani przez sotnię UPA. Domy, w których kwaterowali zostały podpalone, a sami żołnierze, zaskoczeni i bez szans na obronę, rozbiegli się na okoliczne pola. Nikt z żołnierzy nie zginął, tylko jeden był ciężko ranny. Cały wystraszony pododdział został ewakuowany na drugą stronę rzeki, na wspomniane pastwisko. Wkrótce na pastwisku wylądował samolot (kukuruźnik), z którego wysiadł jakiś generał. To on wydał rozkaz powrotu żołnierzy na poprzednie miejsce zakwaterowania. Po referendum owa grupa żołnierzy z Dobrej odjechała do Sanoka. Jak się później dowiedziałem, tym generałem był Karol Świerczewski. W okresie zmian nazw miejscowości w Bieszczadach, wioskę Hłomcza nazwano Świerczewo. Dziś znowu nazywa się Hłomcza.

Tragicznější los spotkał pododdział stacjonujący w okresie przedreferendalnym we wsi Tyrawa Solna. Wiosną 1946 r. pododdział ten pomaszerował (nie wiadomo po co) drogą polną, wzdłuż Sanu po jego prawej stronie, przez Dobrą do Ulucza. Pasąc konia po drugiej stronie rzeki obserwowałem ten przemarsz. Na czele jechał na koniu dowódca w stopniu chorążego a za nim „gęsiego” maszerowali jego żołnierze w liczbie około 30. Nieśli trzy karabiny maszynowe i broń osobistą (karabiny i pistolety maszynowe). Szli do Ulucza bez elementarnego rozpoznania. W Uluczu w tym czasie kwaterował cały kureń (batalion) UPA. Banderowcy wpuścili cały pododdział do środka wsi, zwanego Kątem. Dowódca oddalił się na koniu od swoich żołnierzy i w tym momencie z chat wyskoczyło kilku banderowców i bez jednego wystrzału pochwycili go żywcem. Żołnierze tego zdarzenia nie zauważyli. Dopiero jeden z nich, przechodząc między chatami zauważył, jak stojący w progu swego domu chłop coś gestykułuje rękami, chcąc w ten sposób ostrzec przed niebezpieczeństwem. Żołnierze zorientowali się, że coś jest nie w porządku i zaczęli się wycofywać. W tym momencie zostali, ze wszystkich stron, ostrzelani gradem pocisków. Doświadczeni, frontowi żołnierze podpalili kilka zabudowań i w ten sposób stworzyli zamieszanie wśród banderowców. Większa część żołnierzy wycofywała się przez pola w kierunku Witryłowa, który leży po drugiej stronie Sanu. Akcją wycofywania kierował dzielny sierżant. Połowa grupy prowadziła ogień do ścigających ich banderowców a druga

część wycofywała się na dogodne pozycje. Teraz ci prowadzili ogień a reszta się wycofywała. Takimi skokami zbliżali się do Sanu. W tym czasie, z Witryłowa pośpieszyła na pomoc wycofującym się żołnierzom, uzbrojona grupa miejscowej samoobrony. Ustawione nad Sanem karabiny maszynowe skutecznie studziły zapaly ścigających banderowców. Żołnierze byli uratowani. Podczas wycofywania padło dwóch zabitych. Jeden z żołnierzy ukrył się w piwnicy rozebranego żydowskiego domu. Zbierające łuski miejscowe dzieciaki, zauważyły ukrywającego się żołnierza i natychmiast powiadomiły banderowców, a ci postanowili zlikwidować tego żołnierza. Do wykonania tego zadania zgłosił się jeden z banderowców, mieszkaniec Ulucza. Skrycie podszedł do wjazdu piwnicy i zaczął na oślep strzelać. Żołnierz siedział cicho i na ostrzał nie odpowiadał. Banderowiec podszedł bliżej wjazdu i wtedy otrzymał serię z pistoletu maszynowego. Padł trupem na miejscu. Następnego ochotnika już nie było. Postanowiono zlikwidować nieszczęsnego żołnierza granatami ręcznymi. Żołnierz dwukrotnie zdołał odrzucić wrzucone do środka granaty, ale trzeci rozerwał się w jego ręce. Słyszając wybuch granatu w piwnicy, banderowcy zbliżyli się do wjazdu, myśląc, że żołnierz nie żyje. Ten jednak nadal strzelał, trzymając broń w jednej ręce. W końcu uduszono go dymem wrzucanych do środka, palących się wiązek słomy. Był to trzeci poległy żołnierz. Ośmiu zdołało się w porę wycofać drogą w kierunku Dobrej. Tych żołnierzy widziałem, biegnących przez Hłomczę w kierunku Mrzygłodu. Na pytania ludzi, co stało się w Uluczu, nie chcieli odpowiadać. Z Mrzygłodu zatelefonowali do swojej jednostki w Sanoku, powiadamiając o zdarzeniu. Pojmanego żywcem dowódcę oddziału przyprowadzili banderowcy na Krajniki, do domu Mikołaja Polańskiego. Tam zdjęto z niego mundur i ubrano w podarte łachmany. Związano mu ręce łańcuchem i poprowadzono do lasu. Miejscowa młodzież i dzieci szli za prowadzonym chorążymi, okładając go kijami. Ślad po nim zaginął. Po kilku dniach, przyjechali do Hłomczy rodzice zaginionego. Wysłali przez posłańca list do banderowców, z prośbą o uwolnienie syna. Żadnej odpowiedzi nie było. Po zlikwidowaniu band UPA, jeden z mieszkańców Ulucza twierdził, że gdyby wojsko wzięło zakładników, to chorąży byłby zwolniony. Zrozpaczeni rodzice postanowili szukać syna poprzez Czerwony Krzyż. W roku 1948 otrzymali wiadomość, że syn mieszka we Wrocławiu. Powiadomiona o tym milicja zatrzymała owych rodziców, uniemożliwiając im wyjazd pod wskazany przez PCK adres. Osobnikiem o nazwisku chorążego okazał się jeden z dowódców UPA. Został on zatrzymany. Zatrzymał on dokumenty po zamordowanym żołnierzu i w ten sposób chciał sobie zapewnić spokojne życie.

Do walki z bandami UPA przystąpiono już w 1945 roku. W rejon działania band wysyłano pojedyncze kompanie ze stacjonujących w Sanoku i Przemyśle pułków piechoty. Kilka razy widziałem, jak takie kompanie maszerowały przez Hłomczę i po przeprawie przez San, osamotnione, kierowały się, przez Dobrą Szlachecką i Ulucz, w okoliczne lasy. banderowcy wiedzieli dokładnie o ruchach takich pododdziałów. Małe grupy banderowców unikały walki z dobrze uzbrojoną kompanią. Jeżeli dochodziło do walki, to przeważnie z inicjatywy banderowców. Zimą 1946 roku, w godzinach popołudniowych, przybył do Hłomczy, od strony Dobrej, jakiś oddział wojska i tu rozlokował się, po okolicznych domach, na nocleg. Ich umundurowanie nie było jednolite. Porucznik, który kwaterował w naszym domu miał długie spodnie i buty - kamasze. W tym czasie oficerowie nie nosili takich ubiorów. Obawialiśmy się, że mogą to być przebrani banderowcy, tym bardziej, że przybyli oni z drugiej strony Sanu. W naszym domu umieszczono wartę i co dwie godziny odbywały się zmiany żołnierzy na posterunkach. Na szczęście, rano okazało się, że była to grupa żołnierzy z Przemyśla, która penetrowała wioski ukraińskie. Po południu wojsko opuściło wioskę i pomaszerowało za San. Wiosną 1946 roku podjęto próbę zorganizowania w Hłomczy samoobrony. Przywieziono z Sanoka kilka skrzyń z bronią i amunicją. Zwołano zebranie wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni i wyznaczono dowódcę samoobrony. Jednak, ze względu na małą liczbę ochotników, w końcu zrezygnowano z tworzenia zbrojnego oddziału. Zorganizowano jedynie kilka nocnych posterunków wokół wioski, ale bez broni. Takie posterunki miały tylko alarmować mieszkańców o zbliżającym się niebezpieczeństwie. W nocy z 10-tego na 11-tego września 1946 roku, usłyszeliśmy gwałtowną strzelaninę. Przez okno zobaczyliśmy, że pali się sąsiednia wioska Łodzina oraz część naszej wsi od strony Łodziny. Wszyscy domownicy w pośpiechu opuścili dom. Ja zdążyłem założyć na gołe stopy buty, które stały zawsze obok łóżka, ale innego odzienia nie próbowałem nawet szukać (spaliśmy zawsze ubrani, w spodniach ale bez marynarek). Brat Alek zdążył założyć tylko jeden but i, trzymając drugi w ręce, opuszczał mieszkanie. Ojciec zdążył założyć buty i kurtkę zimową. Wybiegliśmy w trójkę. Bratu but wypadł z ręki, a ponieważ w jednym bucie źle mu się biegło, kopnięciem zrzucił i ten. Wybiegliśmy przed dom i tu ostrzelano nas serią z pistoletu maszynowego. Na szczęście, seria pocisków poszła nad nami i słyszeliśmy tylko ich odgłos, jak dziurawiły blaszane pokrycie dachu. Lokalną, wąską dróżką wybiegliśmy na główną drogę prowadzącą do Mrzyglodu. Próba ucieczki w tym kierunku nie powiodła się, bo od tej strony pozycje zajęli banderowcy. Próbowaliśmy uciekać polną drogą poza wieś, ale i tu byli banderowcy. Wieś była

okrażona. Pobiegliśmy więc, pomiędzy domami, w kierunku starej doliny Sanu. Tu również nas ostrzelano. Młodszy brat przypomniał sobie, że na skraju wioski jest piwnica po rozebranej chacie. Obaj z bratem, bez namysłu wpadliśmy do tej piwnicy. Schody do wnętrza były częściowo zasypane gruzem, toteż z trudem dostaliśmy się do środka. Na dnie piwnicy była woda, sięgająca do kostek. Po chwili, do piwnicy zsunęło się dwóch dorosłych mężczyzn, a za nimi kobieta z niemowlęciem. Nasz los w tej piwnicy mógł być tragiczny. Banderowcy mogli obserwować, jak wpadamy do tej pułapki i wystarczyło wrzucić granat, aby pozbawić nas życia. Położenie pogarszał fakt, że było z nami małe dziecko, którego płacz banderowcy mogli usłyszeć. Zналиśmy z opowiadań takie przypadki z innych napadów UPA. Na szczęście dziecko ssało pierś i nie miało powodu do płaczu. Siedząc cicho w piwnicy, widziałem przez właz nogi biegających banderowców, którzy z płonącymi pochodniami podpalali domy. Słyszał było nawoływania i rozkazy ich dowódców. Po około dwóch godzinach, usłyszeliśmy kilkakrotny, głośny rozkaz jakiegoś banderowskiego dowódcy: „*prawoje kryło wtikaj*” (prawe skrzydło uciekać). Strzelanina powoli cichła, słyszał było wybuchy granatów, rozrywających się w płonących domach - ludzie i takie przedmioty trzymali w domu. Wydawało się, że banderowcy odeszli, ale nikt z przebywających w piwnicy nie miał odwagi wyczołgać się z naszej nory i zobaczyć, co się na zewnątrz dzieje. Nad ranem usłyszałem głos naszego ojca, który nas poszukiwał. Wyszliśmy z bratem z tej przeklętej kryjówki i razem pobiegliśmy do naszego domu. Wszędzie było pełno ognia z dogorywających chat. Na głównej drodze spotkaliśmy biegnących żołnierzy z bronią gotową do strzału. Byli to żołnierze z grupy stacjonującej w odległym o 1,5 km Mrzygłodzie. W trybie alarmowym próbowali się przedostać do naszej wioski, ale zostali zatrzymani ogniem dobrze zorganizowanego, banderowskiego ubezpieczenia. Uciekając z domu w trójkę, zostawiliśmy tam matkę i siostrę Wandę. Mamę znaleźliśmy po przybyciu na miejsce, gdzie teraz dopalały się zgliszcza naszego domu. Mama ukryła się w ogrodzie. Siostra Wanda, uciekając z innymi kobietami w stronę Mrzygłodu, przeszła przez linię obrony banderowców i nacierających, a raczej leżących na polu żołnierzy polskich. Kobiety usiadły przed stojącą przed Mrzygłodem przydrożną kapliczką i tam oczekiwały końca tego dramatu. W pewnej chwili siostra zobaczyła biegnącą krowę. Była to nasza krowa, wypuszczona z obory przez naszą matkę. Dlaczego zwierzę biegło akurat w kierunku Mrzygłodu - chyba po to aby tam spotkać swoją właścicielkę.

Nikt z rodziny nie zginął, cała piątka zebrała się obok spalonego domu, mając jedynie uratowaną krowę. Zostaliśmy w tym, co zdołaliśmy na siebie włożyć, bez żadnych środków do życia. Władze powiatowe przysłały dla pogorzalców jedynie trochę odzieży z UNRA, którą rozdzielono między bezdomnych. Moja rodzina otrzymała dwie pary męskich butów, które na nikogo nie pasowały, trochę odzieży i to wszystko. Znowu poszliśmy po ratunek do krewnych na przysiółku w Mrzygłodzie. Zamieszkaliśmy na nieogrzewanym strychu. Jakimowa pożyczyła nam jeden koc a za resztę przykrycia służyła słoma. W podobnej sytuacji była nasza siostra Paulina i jej mąż Michał.

Równocześnie z Hłomczą, zostały napadnięte przez banderowców wsie Łodzina i Witryłów. Napaści dokonał kureń Bajdy w składzie czterech sotni, których dowódcami byli: Hromenko, Łastiwka, Burlak i Kryłacz. Najtragiczniejszy był bilans tej akcji we wsi Łodzina, gdzie zamordowano 13 osób, w tym męża mojej kuzynki Julii. W Hłomczy banderowcy, z zimną krwią, zastrzelili na podwórzu Ukraińca Emila Roman i jego kaleką córkę Katarzynę. W płonącym domu zginęła Cecylia Chudzikiewicz, bratowa mojego szwagra Michała. Wojsko zastrzeliło w Hłomczy jednego banderowca. W Witryłowie zginęło siedem osób. Opór banderowcom w tej wsi zorganizowała kwaterująca tam grupa 11 żołnierzy polskich. Była to, pozostawiona do ochrony zabudowań część pododdziału, który w przeddzień napaści został wysłany na akcję przeciwko UPA. Żołnierze dzielnie odparli natarcie banderowców. Do walczących żołnierzy przyłączyła się część członków samoobrony. Połowa wsi Witryłów została uratowana. Razem z sotniami UPA szła cywilna ludność ukraińska na rabunek palonych wiosek. W tych rabunkach przodowała ukraińska ludność z Ulucza. Wśród rabujących uluczian rozpoznano: Cecylię Cykłyńską, Emilię Cykłyńską, Emilię Kreczko, Marię Kułyk i wiele innych osób. Wśród atakujących banderowców rozpoznano: Romana Sowę z Jawornika, Wasyla Chomę z Ulucza, Teofila Poliwkę - syna diaka z Ulucza, Stebelskiego z Kuźminy, Jana Iwanickiego z Gruszówki oraz Piotra Charydczaka, Michała Dorockiego, Michała Serednickiego, Jana Kułyka, Mikołaja Badyrę, Wasyla Kłyma, Mikołaja Kucylę, Mikołaja Tchira, Wasyla Morajkę, Wasyla Czarneckiego – wszyscy z Ulucza. Nie jest to pełna lista ulczańskich banderowców biorących udział w napadzie na Hłomczę, Łodzinę i Witryłów w nocy z 10 na 11 września 1946 r.

Rozdział III. Zbrodnicze czyny Ukraińców z Ulucza w latach 1939-1947

W rozdziale tym zostaną przedstawione tylko te zbrodnicze czyny, które autor zna z autopsji oraz przekazane przez osoby wiarygodne. Nazwiska tych osób będę wymieniał w toku pisania tego rozdziału. Tak więc, nie będą tu przedstawione wszystkie zbrodnie jakich dokonali bandyci z UPA z Ulucza, bo jest to w tej chwili niemożliwe.

Ma rację Jan Dobrzański, były mieszkaniec Ulucza, który pisze na stronach internetowych: *„Ulucz był skazany na zniszczenie i spalenie, bo była to wieś, w której najbardziej rozwijała się świadomość kultury ukraińskiej w wyniku działania Proświty”*. Świetlicę i czytelnię Proświty zorganizował w Uluczu syn proboszcza grekokatolickiego Roman Sołtykiewicz. Proświta realizowała wytyczne tajnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), na czele której stali jej przywódcy Konowalec, Melnyk i Bandera. Taką komórkę OUN w 1930 r. zorganizował w Uluczu ww. Roman Sołtykiewicz. Ta właśnie komórka szkoliła przyszłych członków UPA w zakresie realizowania programu naczelnych władz OUN. Tu powtórzę cytaty z broszury wydanej we Lwowie w 1929 r. pod auspicjami OUN pisano: *„Trzeba krwi – dajmy morze krwi! Trzeba terroru – uczynimy go piekielnym. Trzeba poświęcić dobra materialne – nie zostawmy sobie niczego. Nie wstydzmy się mordów, grabieży, podpaleń. W walce nie ma etyki! (...) Każda droga, która prowadzi do naszego najwyższego celu, bez względu na to, czy nazywa się ona u innych bohaterstwem czy podłością, jest naszą drogą.”*

Jeszcze bardziej radykalną doktrynę OUN głosił w latach 1935-1937 inny przywódca OUN Mykoła Kołodziński: *„My chcemy nie tylko wyzwolić ukraińskie miasta, ale stratować ziemię wroga, zdobyć jego stolicę i na jej gruzach oddać salut ukraińskiemu imperium (...). Chcemy wygrać wojnę, która uczyni nas gospodarzami wschodniej Europy”*. Tak sformułowane wytyczne i doktryny były wiodącymi tematami szkoleń przez Proświtę ukraińskich nacjonalistów OUN w Uluczu. Do 1939 r. podstawowy człon tej organizacji w Uluczu był już gotowy do realizacji ww. celów. Pomocy w tych działaniach mieli udzielać Niemcy.

Wkraczające do Ulucza – 9 września 1939 r. – wojska niemieckie były przez ukraińską ludność entuzjastycznie witane. Przed żołnierzami niemieckimi sypano kwiaty i wznoszono okrzyki radości, a niektóre kobiety z zachwytem mówiły: *jakije ti Nimci ślicznyje chłopci*. Po bitwie wojsk polskich z wojskami niemieckimi w sąsiedniej

Borownicy i na Jaworniku Ruskim wielu polskich żołnierzy z rozbitego batalionu 17-go Pułku Ziemi Rzeszowskiej tułało się w lasach uluczańskich. Do likwidacji resztek tego batalionu Niemcy zorganizowali obławę. Na Krajniki w Uluczu przyjechało kilka ciężarówek z żołnierzami niemieckimi w liczbie ok. czterdziestu. Dołączyło do nich około 60 Ukraińców z Ulucza, wśród których widziałem ojca Wasyla Czarneckiego Michała i jego brata Wasyla (seniora), późniejszego komendanta żandarmerii banderowskiej w Uluczu. Rozwinięta tyraliera ruszyła w kierunku lasu, skąd wyprowadzano schwytanych, już bezbronnych, żołnierzy polskich. Kolumnę jeńców z rękami na szyi prowadzili Ukraińcy i okładali ich kijami. Żołnierze niemieccy szli z tyłu za kolumną jeńców i często interweniowali z uwagi na bestialskie zachowanie ich „sojuszników” z obławy. Tu można było zauważyć pierwsze objawy działalności Proświty. Przyprowadzonych jeńców polskich Niemcy załadowali na ciężarówki i odjechali w kierunku Sanoka. Dalsze łapanie żołnierzy polskich organizowali już sami Ukraińcy z Ulucza. Schwytanych żołnierzy mordowano i odzierano z odzienia. Często nagie ciała – dla szyderstwa – przywiązywano do leśnych drzew. Tak przywiązanego do drzewa nieszczęśnika widziałem na własne oczy w lesie niedaleko naszego pola na Dubyskach. Naoczny świadek, Wasyl Charydczak (Rusin) o przydomku Datko, nasz dobry sąsiad, przekazał mojemu ojcu relację z tego co widział w nocy 14 września 1939 r. za stodołą Panykiwskiego (Rusina). Ów Wasyl Charydczak miał zwyczaj (hobby) obserwować w nocnej porze, co działo się na polach i wśród zabudowań sąsiadów na Krajnikach. Wiedział on o kradzieżach snopków zbóż z pól, kur z kurników itp. Owej nocy w stodole Panykiwskiego (było to ostatnie zabudowanie na końcu Krajników) zanocowało czterech polskich żołnierzy, bez broni. W nocy stary Panikywski i jego trzech synowie siekierami wymordowali śpiących żołnierzy. Wasyl Charydczak obserwował, jak wynoszono nagie ciała ludzkie do wykopanego dołu i tam ich zasypano. Relację tę przekazał mojemu ojcu w ścisłej tajemnicy. Umówili się obaj, że ten, który przeżyje wojnę przekaże tę sprawę odpowiednim władzom. Losy obu wtajemniczonych potoczyły się tak, że do dnia dzisiejszego nikt tą sprawą się nie zajął. Takich morderstw na Polakach dokonywano, gdy władzę w Uluczu sprawowała ukraińska milicja. Kłamie więc Stefan Czebieniak, gdy pisze na stronach internetowych: „*Gdy Niemcy poszli na wschód, to powstała w Uluczu taaaka pustka*”. Nie było żadnej pustki. Kilkudziesięciu uzbrojonych ukraińskich milicjantów sprawowało całkowitą władzę w Uluczu, a symbolem tej władzy były wywieszone na budynku kancelarii wiejskiej dużych rozmiarów flagi ukraińska i niemiecka. Kres tej

władzy położyli, przybyli 10 października, funkcjonariusze NKWD, których ludność ukraińska witała podobnie jak Niemców we wrześniu.

Utworzona na Sanie granica państwowa między ZSRR i Niemcami uniemożliwiła polskim uciekinierom z września 1939 r. powrót do swych domów. Przeprowadzaniem takich osób przez dobrze strzeżoną granicę zajmowali się w Uluczu chciwi zysku niektórzy Ukraińcy. Za takie usługi trzeba było słono płacić. Jako opłatę pobierano przedwojenną polską walutę, która była jeszcze w obiegu u obu okupantów, biżuterię, zegarki, wartościowe odzienie (kurtki skórzane), itp. Wśród przeprowadzanych osób byli przeważnie sędziowie, adwokaci, nauczyciele. Po zapłaceniu żądanej kwoty osoby te były wyprowadzane nocą w łoziny nad Sanem i tam ich mordowano. Po zdjęciu odzienia ciała zamordowanych wrzucano do rzeki. Ilu takich nieszczęśników zamordowano w Uluczu chyba już nikt się nie dowie. Przeciaki o takich morderstwach pochodziły od osób, które o tym wiedziały i w czasie sąsiedzkich kłótni te sprawy ujawniały w formie pogrózek. Morderstw na miejscowych Polakach jeszcze w tym czasie nie było. Władze sowieckie w dość dotkliwy sposób osłabiły zbrodnicze działania OUN w Uluczu. Czego nie potrafiły wykryć do 1939 r. polskie władze, dokonało dość sprawnie NKWD. Na przełomie 1939 i 1940 r. przystąpiono do aresztowań uluczańskich członków OUN. Aresztowano m.in. Oleksego Serednickiego, Włodzinierza Poliwkę, Teodora Lewkowicza, Marka Pietruszczaka i Stefana Charydczaka. Osadzono ich w więzieniu w Samborze. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej prawie wszyscy aresztowani zostali w samborskim więzieniu zamordowani. Tylko Marko Pietruszczak w jakiś dziwny sposób się uratował. Przywódca OUN w Uluczu Roman Sołtykiewicz był sprytniejszy, bo przed przybyciem Sowietów uciekł z Ulucza za San i tam przeżył całą okupację. W latach 1940 – 1942 działalność OUN w Uluczu przycichła, co nie oznaczało, że los Polaków był łatwiejszy. W czasie okupacji sowieckiej lżono Polskę i Polaków. Śpiewano w Uluczu różne piosenki, w których szkalowano Polskę. Pamiętam część słów zwrotki takiej piosenki:

*„A w niedilu rano o szestoj hodyny
Podiłyły Polsku na dwi połowyny
Jednu połowynu забраły sy Nimci
Druhu połowynu krasnyjearmijci
A Polaki buły jak ti czorny chmary
czerwonoarmijci na Sybir забраły
A teper Polaki płazcut szczo wże Polszi*

Blisze ne zubaczut (...)”

W kwietniu 1940 r. władze sowieckie przeprowadziły akcję przesiedlenia ludności zamieszkującej nad Sanem w pasie 800 m. od granicy niemiecko-sowieckiej. Z Ulucza wysiedlono ok. 30 rodzin zamieszkujących obydwie końce wioski, gdzie San przepływa w jej pobliżu (rys. 1). Można było zabrać tyle rzeczy ile zmieściło się na dwóch lub trzech chłopskich furmankach. Reszta majątku wraz z zabudowaniami, które pozostały w Uluczu, została ograbiona przez pozostałych ukraińskich mieszkańców. W pierwszej kolejności rabowano zapasy zboża, ziemniaki z piwnic, siano i słomę ze stodół oraz sprzęt domowy. Później rozebrano wszystkie zabudowania wysiedlonych rodzin. Potem skoszono całe ozime zasiewy. Tak przebiegł w Uluczu pierwszy okres rabowania cudzego mienia. Drugi okres rabunku nastąpił po brutalnym wygnaniu z Ulucza, w roku 1942, Żydów. Deportację Żydów przeprowadziła ukraińska policja przy pomocy ukraińskiej ludności Ulucza. Już wtedy ujawniły się sadystyczne instynkty niektórych Uluczaków. Widziałem jak bez żadnego powodu Wasyl Warski (Hatała) bił po twarzy swojego sąsiada, Żyda Bułana, który opóźniał wyjście ze swojego domu. Całe majątki Żydów rozszabrowano, a ich domy zostały sprzedane za bezcen i rozebrane. Trzeci okres rabunków nastąpił 5 kwietnia 1945 r., po ucieczce z Ulucza Polaków. Tym razem Polacy zostawili cały swój dobytek i z bagażem ręcznym lub na furmankach opuścili Ulucz. Z naszego domu zrabowano wszystko, co w nim się znajdowało (zboże, ziemniaki, siano, słomę, meble domowe, sprzęt kuchenny, sprzęt gospodarczy, króliki, kury, itd.). Rozebrano nasz bróg. W żniwa skoszono nasze ozime zasiewy. Ogród zagospodarował, jak swoją własność, stryj Wasyla Czarneckiego – autora kłamliwych opowieści na stronach internetowych – Wasyl Czarnecki (senior), który pełnił w Uluczu funkcję komendanta żandarmerii banderowskiej. Czwartego rabunku ukraińska ludność Ulucza dokonała w czasie napadu i palenia przez UPA w dniu 10 września wsi Hłomcza, Łodziny i Witryłowa. Z sotniami UPA szli rabować nasi byli sąsiedzi z Ulucza. Wśród rabusiów w Hłomczy nie rozpoznano nikogo z wsi Dobra, chociaż ta wioska leży najbliżej Hłomczy. Rabowanie cudzego mienia było „przywilejem” Ukraińców z Ulucza. W Dobrej nie było przed wojną Proświty, stąd mieszkańcy tej wsi nie znali hasła Bandery. Na koniec opisu uluczańskich rabunków należy podkreślić, że w żadnej pobliskiej ukraińskiej wiosce takie rabunki nie miały miejsca. Np. w Dobrej czy w Tyrawie Solnej nie rozebrano żadnego domu po wysiedlencach z 1940 r. Niektóre z tych domów stoją do dnia dzisiejszego tuż nad brzegiem Sanu. O wyżej opisanych rabunkach Ukraińców z Ulucza ani jednym słowem nie

wspominają na stronach internetowych Stefan Czebieniak i Wasyl Czarnecki, choć tak obszernie opisują rabunki rzekomo dokonywane przez ludność polską. Jeśli takie przypadki w ogóle się zdarzały, to były one sporadyczne.

Nastał rok 1943, a wraz z nim groza masowych morderstw ludności polskiej na Wołyniu i w innych okolicach wschodniej Polski. W Sanoku pojawili się pierwsi uciekinierzy z tych ziem, którzy uszli z życiem. Jedną taką rodziną Kłopotowskich z Wołynia znalazła się w Uluczu. Zaopiekował się nią kierownik niemieckiego gospodarstwa rolnego w dworze w Uluczu. Ów kierownik o nazwisku Jaworski zatrudniał w dworze więcej takich osób. Prawdopodobnie był on członkiem tajnej podziemnej organizacji polskiej. Rodzina Kłopotowskich – ojciec, matka, syn i dwie córki – zamieszkiwała w dworze, ale popełniła błąd, bo wraz z odejściem Jaworskiego nie opuścili w porę przekłętą Ulucza. Ich los opiszę w dalszej części tego rozdziału.

Wiosną 1944 r. odbywało się wesele u naszej sąsiadki, Hanci Szahtycz, wdowy po moim kuzynie Andrzeju Szlachtyczu. Żenił się z nią Józko Białas z Dobrej. Na weselu tym była moja mama. Śpiewy zaprezentowane na tej imprezie były zapowiedzią tego, co miało spotkać Polaków w Uluczu. W treści słów piosenek była mowa, jak to Ukraińcy będą „rizaty Lachiw”. Ze szkieletów zamordowanych Polaków miano wykonywać: latarnie z czaszek, opalki (kosze) z żeber, nogi do stołów z puszczeli, itd. To już nie były żarty, lecz poważne groźby. Po wysłuchaniu części tych piosenek moja mama opuściła rozwydrzonych barbarzyńców. Moi dawni ukraińscy koledzy, którym przed wojną wynosiłem dobrze posmarowane masłem i obłożone serem pajdy chleba, grozili, że zbiją mi mordę, gdyż obecnie jem chleb z ukraińskiej ziemi.

Pierwszą ofiarą, zamordowaną 12 lipca 1944 r. przez uluczańskich bandytów, był ksiądz rzymskokatolicki z Borownicy Józef Kopeć. W tym dniu dwóch bandytów z Ulucza odwiedziło księdza. Przedstawili się jako wysłannicy z pismem od księdza z Tarnawy. Jeden z bandytów sięgnął do kieszeni, niby po list, wyciągnął pistolet i na oczach gospodyni oddał kilka strzałów do księdza zabijając go na miejscu, po czym obaj mordercy opuścili plebanie udając się w kierunku Ulucza. Na drodze spotkała tych bandytów mieszkanka Borownicy Waleria Kozłowska, która rozpoznała jednego z nich, gdyż utykał on na jedną nogę. Tymi bandytami byli Michał Serednicki i Wasyl Choma, obaj z Ulucza. Na trzeci dzień po tej haniebnej zbrodni przyjechała do Borownicy rodzina księdza z Dynowa z eskortą żołnierzy niemieckich. W czasie mszy pogrzebowej dwóch żołnierzy

leżało z karabinem maszynowym w okopie oddalonym od kościoła około 30 m osłaniając w ten sposób uczestników pogrzebu przed ewentualnym atakiem banderowców. Na mszy pogrzebowej byli wszyscy mieszkańcy Borownicy i Polacy z Ulucza, wśród których widziałem dziadka Stefana Czebieniaka Jana Polańskiego. Po mszy kondukt pogrzebowy wyruszył na furmankach w kierunku Dynowa. Konduktowi przez całą drogę towarzyszyła eskorta niemiecka. Nowy ksiądz przybył do Borownicy dopiero w końcu września 1944 r.. W tym czasie teren Borownicy i Ulucza był już zajęty przez wojska sowieckie.

Po zabójstwie księdza Kopcia szeptana propaganda w Uluczu dawała do zrozumienia, że taki sam los spotka wszystkich Polaków w Uluczu. Obawiając się powyższych gróźb, ojciec mój, już od połowy września 1944 r. organizował dyskretne noclegi dla siebie, dla mnie i młodszego brata Alka w jałowcach na zboczu góry Krzemień. Na takie noclegi wychodziliśmy z domu późnym wieczorem i wracaliśmy około czwartej rano. Jesienne przymrozki i dość wczesna zima zmusiły nas do nocowania w domu. O „wizycie”, wieczorem 23 grudnia 1944 r., bandytów w naszym domu pisałem już wcześniej. W końcu lipca przybyła do Ulucza armia sowiecka. Wydawało się, że nastąpi spokój, ale były to tylko nasze złudzenia. Po odejściu z Ulucza armii sowieckiej na zachód nastąpiła we wsi pustka. Praktycznie nie było w Uluczu żadnej władzy. Wyznaczony przez nowe władze gminy Dydnia na sołtysa Ulucza Mikołaj Polański, już 24 października został przez UPA zamordowany. Noc z czwartego na piątego kwietnia 1945 r. ja nazywam „nocą długich noży”, porównując ją do wydarzeń w Niemczech w roku 1933. W tę właśnie noc bandyci UPA postanowili zlikwidować w Uluczu wszystkich Polaków płci męskiej. Swą zbrodniczą działalność rozpoczęli od strony Gruszówki. Uprawdzili w tę noc kolejno: ojca i syna Krowiaków z Dołu, ojca i syna Kłopotowskich, Władysława Polańskiego – rodzonego brata matki Stefana Czebieniaka, Wasyla Polańskiego o przydomku „Polak” z Krajników i dwóch Polańskich z Mohylic. Swą zbrodniczą działalność uprawdzania Polaków z Ulucza zakończyli banderowcy na moim przyrodnim stryju Stanisławie Pilipie z Krajników. Stryj w porę zdołał uciec z domu przez okno. Banderowcy zabrali mu tylko konia. Uprawdzonych Polaków ukraińscy bandyci zamordowali w lesie na Krajnikach. Miejsce ich pochówku jest do tej pory nieznane. Dalszych uprawdzień banderowcy zaniechali gdyż nastał ranek. W tym okresie jeszcze ukraińscy bandyci nie dokonywali uprawdzień w dzień. Tak więc Zieleccy, Zygmunt Jasiński, Piotr Pilip i Józef Krowiak – mieszkańcy końcowej części Krajników – zostali ocaleni. Reszta ocalałych Polaków z Ulucza, w dniu 5 kwietnia 1945 r. w panice opuściła Ulucz. Na „nocy długich noży”

mordy na uluckich Polakach się nie skończyły. 20 kwietnia, równocześnie z napadem UPA na Borownicę, ukraińscy bandyci wymordowali wszystkie polskie rodziny w przysiółkach Ulucza – Czertrżu i Pasiekach – w sumie 18 osób. W maju została w nocy uprowadzona Emilia Wiśniowska (Polka) wraz z córką i synem, której mąż (Ukraińiec) przebywał w tym czasie na przymusowych robotach w Niemczech. Czym naraziła się Ukraińcom, tego nikt nie wie. Tych troje skazańców prowadzono ścieżką przez Krajniki do lasu. Mieszkańcy Krajników słyszeli głośny lament Emilii Wiśniowskiej. Płacz ten musiał również słyszeć Wasyl Czarniecki. Jego dom był na trasie ścieżki, którą prowadzono na śmierć tych troje nieszczęśników. Jednak w obszernych relacjach na stronach internetowych o Uluczu nic o tym nie wspomina. Nie wspomina też nic o dziesięcioletniej dziewczynce, córce Polki Wiktorii Urban, którą kobiety uluckie zasiekały motykami na polach Ulucza. W czerwcu 1945 r. powiesili Uluczanie Polkę, Marię Michaliczko o przydomku „Kominiarka” i jej dwie małe córeczki. Kilka dni później, w przysiółku dobrzańskim „Za lasem”, tuż obok Ulucza została powieszona Wanda Krowiak (Polka). W 1946 roku Ukraińcy pozwolili na powrót do Ulucza niektórym wygnanym Polakom. Z tego pozwolenia skorzystali: Józef Milczanowski, Teodor Polański, Piotr Pilip z synem Edwardem i inni, których żony Ukrainki pozostawały w domu. Pozwolenie na powrót wiązało się ze zobowiązaniem, że będą oni lojalni wobec banderowców i będą im pomagać w różnych sprawach. Tak np. Józef Milczanowski był wysyłany do Sanoka po zakupy lekarstw, soli, cukru, odzieży itp.. Lojalność jego była kontrolowana przez jednego banderowca, który uczestniczył przy zakupach zleconych towarów. Przeważnie tym kontrolującym był młody chłopak o nazwisku Mich. Żony lojalnych wobec UPA Polaków (Ukrainki) przenosiły brudną bieliznę banderowców do prania na Łodzinę, gdzie zaufane osoby wykonywały te czynności. Na Łodzinie dwóch szewców naprawiało banderowskie obuwie. Transportem tego obuwia obarczano również lojalnych wobec banderowców Polaków. Jak widzimy, pozwolenie na powrót do Ulucza niektórych Polaków nie było bezinteresowne. Członkowie rodzin Polaków z Ulucza wykonywali też czynności wywiadowcze. Np. żona Piotra Pilipa, Maria zjawiała się rano 11 września 1946 roku w Hłomczy, tuż po spaleniu wioski, w celu zapoznania się z wynikami napadu UPA. Członkowie takich polskich rodzin mogli swobodnie się przemieszczać po lewej stronie Sanu i w ten sposób pomagać, w różny sposób, bandytom z UPA.

Innym Polakom pozwalano odwiedzać swoje domostwa w Uluczu. Z takiego pozwolenia skorzystał Józef Krowiak z Krajników, mieszkający w tym czasie we wsi Końskie.

W czasie powrotu z Ulucza – w porze wieczornej – na Końskie został zamordowany na polu za przysiółkiem Witryłowa. Podróżujący z Krowiakiem Szuba w jakiś dziwny sposób zdołał uniknąć losu Krowiaka i o tym wypadku powiadomił rodzinę zamordowanego. Wcześniejszymi ofiarami zbrodni w Uluczu byli sołtys Wasyl Szlachtycz i jego żona. W styczniu 1946 r. Szlachtyczowie byli u sąsiada na chrzcinach, skąd zostali przez bandytów z UPA wyprowadzeni do swojego ogrodu i tu ich powieszono na jabłoni. Dla szyderstwa zdjęto z nich dolne części ubioru. Na drzewie wisieli kilka dni, po czym bandyci UPA pozwolili bratankowi zamordowanych, Mikołajowi Szlachtyczowi zdjąć wisielców. Po załadowaniu ich na sanie, nakazali bandyci zawieźć zamordowanych nad San i tu pod lód wrzucono oboje wisielców. Mieszkańcom Ulucza ogłoszono, że nie byli godni pochówku w ukraińskiej ziemi. Czym narazili się oboje Szlachtycze bandytom UPA, tego sam bratanek nie wiedział. Oboje Szlachtyczowie byli już w podeszłym wieku i znani byli jako osoby stateczne i kulturalne. Wasyl Szlachtycz dobrze gospodarował na swym dość obszernym łanie ziemi i nie miał z sąsiadami żadnych zatargów. Jego jedyną chyba „winą” było to, że zgodził się być sołtysem. Kolejnym Ukraińcem zamordowanym w Uluczu był Andrzej (Jedrunio) Charydczak z Krajników, ułan armii polskiej w 1939 r. Na krajnickim placu, zwanym Łądem, spędzono tłum mieszkańców Ulucza i tu urządzono publiczny sąd nad wymienionym ułanem. Wiekowy już mieszkaniec Ulucza Hryc (Grzegorz) Krajnik (przydomek Zarycznyj) zabrał głos mówiąc, że istniał stary zwyczaj darowania pierwszej kary. Jeden z bandytów kilka razy uderzył staruszka w twarz stwierdzając, że nie może być pobłażliwości dla zdrajców Ukrainy. Po tym „pouczeniu” dziadka wyjął pistolet i dwa razy strzelił stojącemu skazańcowi w głowę. Wśród tłumu słyszeć było kilka oklasków. Andrzej osierocił małą córeczkę i swoją narzeczoną Marysię Szlachtycz, siostrę wspomnianego już Mikołaja Szlachtycza. Na marginesie opisu tej ostatniej zbrodni dodam, że brat zamordowanego Andrzeja Charydczaka Petro (Piotr) był banderowcem w sotni UPA, który zginął podczas napadu na Birczę. Chcę jeszcze wyjaśnić, na czym polegała zdrada Ukrainy przez Andrzeja Charydczaka. Wracając pewnego wieczoru z Sanoka zanocował Andrzej w Hłomczy u Ukraińca Hołyzny. W rozmowie z gospodarzem domu powiedział coś nieprzychylnego o banderowcach. Rozmowie tej przysłuchiwał się syn Hołyzny i poinformował o tym banderowców w Uluczu. W ten sposób los Andrzeja Charydczaka został przesądzony. Donosiciel za swój czyn nie poniósł żadnej kary. Relację o bestialskim morderstwie małżeństwa Szlachtyczów przekazał mi mój kuzyn Mikołaj Szlachtycz, bratanek zamordowanego sołtysa. O przebiegu zaś sądu i morderstwa Andrzeja Charydczaka opowiedział mi mój kuzyn

Edek Pilip, syn mojego przyrodniego stryja Piotra. Edek był uczestnikiem tłumu spędzonego na tę pokazową egzekucję. Na placu, na którym odbyła się egzekucja Wasyl Czarnecki organizuje corocznie wielki piknik uluczańskich Ukraińców z okazji święta Wniebowstąpienia (Wozniesienia), dawnego odpustu grekokatolickiego w Uluczu. Na stronie internetowej Wasyl Czarnecki w swojej relacji podaje: „... *Następnie udaliśmy się na Łąd koło Sanu, gdzie palono ognisko, trochę śpiewano*”. Nawet i teraz nie zachowują uluczańscy Ukraińcy elementarnej przyzwoitości, urządzać zabawne imprezy w miejscu, gdzie wsiąka krew ich rodaka Andrzeja Charydczaka i gdzie wrzucono pod lód oboje Szlachtyczów. Więcej szacunku dla tego miejsca panie Czarnecki i państwo Uluczanie !!!

Za drobne przewinienie powieszono w Uluczu mieszkańca tej wioski, Ukraińca Oleksego Kłysza. W wewnętrznych banderowskich porachunkach zginęło wielu Ukraińców, wśród nich mąż mojej kuzynki Hani Piotr Czebieniak. Zemsta bandytów z UPA nie ominęła Ukraińca Piotra Bałki. W okresie władzy UPA w Uluczu Bałka zajmował się sprzedażą na targowisku w Brzozowie kradzionych przez banderowców koni. Po jednej takiej sprzedaży kilku koni przywłaszczył sobie całą sumę pieniędzy, którą miał obowiązek przekazać bandytom UPA. Wraz z żoną i dziećmi uciekł on na ziemie zachodnie Polski i osiedlił się w rejonie Środy Śląskiej, gdzie po pewnym czasie został nawet wójtem gminy. W 1949 roku niedobitki UPA odnalazły go tam i zamordowały. W roku 1946 został w bestialski sposób zamordowany, schwytyany w Uluczu dowódca pododdziału Wojska Polskiego. Przedstawiona, niepełna panorama mordów na Polakach w Uluczu była pokłosiem działania Proświty, w ramach której przeszkolono przyszłych morderców ludności polskiej według wskazań i wytycznych centralnych przywódców OUN Melnyka, Konowalca i Bandery. Realizując te wytyczne, cztery sotnie UPA, w dniu 20 kwietnia 1945 r., napadły i spaliły polską wieś Borownicę oraz zamordowały 63 osoby. Miejskowa milicja złożona z 24 mężczyzn pod dowództwem plut. Jana Kotwickiego obroniła tylko część wioski w rejonie kościoła i plebanii. Plut. Jan Kotwicki, żołnierz Pierwszej Armii Wojska Polskiego, po utracie jednego oka w walkach z Niemcami pod Dęblinem, został przez władze polskie w Przemyślu skierowany, jesienią 1944 r. do zorganizowania posterunku milicji w Borownicy. Po spaleniu wsi plut. Kotwicki objął dowództwo samoobrony w Birczy. W czasie napadu całego kurenia (4 sotnie) w dniu 7 stycznia 1946 r. na Birczę, dzielny dowódca samoobrony wraz z pododdziałem WP rozgromili napastników. Poległo dość dużo banderowców wraz z dowódcą kurenia Konykiem. Po objęciu władzy w Polsce przez rząd solidarnościowy zezwolono na ekshumację ciał bandytów UPA poległych pod

Birczą i ponowny ich pochówek z udziałem kilku księży grekokatolickich. Tej poniesionej przez UPA klęski pod Birczą nie mogą przeboleć, gloryfikujący banderowców, Stefan Czebieniak i Wasyl Czarnecki. Na stronach internetowych pastwią się szczególnie nad plut. Janem Kotwickim. Stefan Czebieniak pisze: *„Moskale nie zakładali sielsowiet. Nie dociekali, jakim sposobem młynarz Czebieniak ozdrowiał. Tylko zostawili w polskiej wsi Borownicy faceta nazwiskiem Jan Kotwicki, który praktycznie był bandytą, gdzieś tam przeszkolony przez NKWD, a w Birczy plk Kotwicki zorganizował oddział samoobrony, żeby bronić, jak i Moskale, okoliczne wsie przed bandami UPA. O UPA nikt u nas nie miał pojęcia. A jak nastąpiła władza ludowa. I znowu piekło. Ta samoobrona np. przyszła na Święto Jordana (święcenie wody) 19 stycznia 1945 r. do wsi Polukoma i wyrznęła w pień 360 ludzi.”*

Faktycznie wieś nazywała się Pawłokoma, a napad na nią miał miejsce 1-3 marca 1945 r.. Do dnia dzisiejszego nie ustalono ilu ludzi tam zginęło, ale na pewno nie 360. Kim był plut. Jan Kotwicki już wspomniałem, ale Czebieniak awansował go do stopnia pułkownika. Ileż trzeba mieć cynizmu i hipokryzji, żeby napisać, że w Uluczu nikt nie miał pojęcia o istnieniu UPA? Cała struktura władzy UPA mieściła się w Uluczu. Tu w krajnickich lasach pobudowano szereg bunkrów, na które użyto materiały budowlane z rozebranego dworu i należących do niego budynków gospodarczych. Ojciec Wasyla Czarneckiego – jako fachowiec budowlany – był kierownikiem tej budowy. Na czym miała polegać władza ludowa w Uluczu w latach 1944-1947 nie mówi Stefan Czebieniak. Żadnej władzy Polski Ludowej w Uluczu w tym czasie nie było! Dwóch kolejnych sołtysów Ulucza bandyci UPA zamordowali. To oni decydowali w tym okresie o życiu i śmierci uluczańskich Polaków. Cała władza w Uluczu była w rękach UPA. Nawet za morderstwa dwóch urzędników państwowych (sołtysów) władza ludowa nie mogła przeprowadzić żadnych dochodzeń, bo nad Uluczem władzy nie miała. Pacyfikacji Pawłokomy dokonali partyzanci polscy pod dowództwem porucznika Józefa Bissa (ps. „Wacław”), działający w rejonie Dynowa. Był to prawdopodobnie odwet za uprowadzenie i zamordowanie jedenastu Polaków przez Ukraińców z Pawłokomy w styczniu 1945 r., a także za wymordowanie Polaków we wsiach Jabłonicy, Wołodzi i Gruszówce. Naoczny świadek morderstw w tych wioskach, Szulc, zeznał, że Polacy z tych wsi zostali utopieni w Sanie. Wcześniej każdemu z nich, także jemu, obcięto ręce. Mimo takiego okaleczenia chłopak ten dotarł do wsi polskiej Temeszowa, gdzie po wyleczeniu zamieszkał. W obcinaniu rąk i topieniu Polaków brali udział także mieszkańcy Pawłokomy. Milicja

z Borownicy, ani żadna inna samoobrona z prawej strony Sanu nie brała udziału w pacyfikacji Pawłokomy. Osobiście potępiam wszelkie takie mordy i odwety, ale w tym okresie przodowali w nich Ukraińcy. Za wydarzenia w Pawłokomie NKWD spacyfikowała kilka wiosek polskich w okolicy Dynowa i aresztowała ponad sto osób, które zesłano na Sybir. Należy pamiętać, że był to jeszcze okres toczącej się wojny i NKWD niepodzielnie panowało nad tym obszarem. Na temat Jana Kotwickiego *dorino* (24.03.08) pisze na stronach internetu: *„Niestety brak materiału na jego temat, ale przypuszczalnie enkawudzista. Jego banda wymordowała wielu Ukraińców, a ponosi też pośrednio winę za śmierć wielu Polaków i spalenie Borownicy, jako pokłosie jego działalności. Pojawił się nagle i tak samo zniknął. Ciekawe gdzie realizował następne zadanie?”* To już nie cynizm, ale supercynizm nazywać obrońców przed morderstwami UPA bandą. Mieszkałem w Uluczu do 5 kwietnia 1945 r., tj. do chwili ucieczki z tej wioski Polaków zagrożonych wymordowaniem przez bandytów z UPA. Do tej daty nigdy w Uluczu nie pojawiła się milicja z Dydni, której Ulucz formalnie podlegał. Nie było również nigdy w Uluczu milicji z Borownicy, której komendantem był plut. Jan Kotwicki. Borownica podlegała władzom powiatowym w Przemyślu. Kotwicki nie mógł się pojawić w Uluczu także po 5 kwietnia, bo już 20 kwietnia Borownica przestała istnieć. Kuriozalne jest twierdzenie, że dowódca obrońców przed zagładą ponosi winę za wymordowanie Polaków w Uluczu, którego dokonali bandyci z tej wioski oraz za spalenie Borownicy i wymordowanie 63 jej mieszkańców. Autora tych supercynicznych i kłamliwych wypowiedzi informuję, że Jan Kotwicki nigdzie nie zniknął. Mieszkał na ziemiach zachodnich Polski i co roku przyjeżdżał do Borownicy na zjazdy jej mieszkańców w dniach odpustów w tej parafii. Byłem dwa razy w Borownicy na takich odpustach i rozmawiałem z Janem Kotwickim o dziejach z przeszłości. Wasyl Czarnecki, orędownik band UPA, pisze na stronach internetowych: *„Bandyci Kotwickiego, wspólnie z tym ruskim pułkiem, łącznie z ludźmi z sąsiedniego Witryłowa i Temeszowa napadali na naszą wieś nieraz (...) Kogo zastali w domu to zastrzelili, zadźgali, rzucali w ogień (...)”* W operacjach w obronie ludności polskiej w latach 1944-1946 brały udział pododdziały z polskiego zapasowego pułku, stacjonującego w Przemyślu. W pułku tym był formowany jeden z pułków 6 Dywizji Piechoty, która w kwietniu 1945 r. w składzie Pierwszej Armii Wojska Polskiego brała udział w zdobywaniu Kołobrzegu. Za zasługi w tej bitwie dywizja otrzymała zaszczytne miano 6 Pomorska Dywizja Piechoty, a jej pułki miano „kołobrzeskich”. W jednym z takich pułków, tj. w 23 Kołobrzeskim Pułku Artylerii Lekkiej miałem zaszczyt, w latach 1953-1955, dowodzić baterią haubic. Żadnego ruskiego pułku w Przemyślu nie było.

Jeszcze raz powtórzę: Kotwicki nigdy nie był w Uluczu! Co się tyczy dalszej części cytowanego tekstu Czarneckiego, należy stwierdzić że coś mu się pomieszało, bo wymienionych tam ohydnych czynów dokonali bandyci UPA na polskiej ludności w Borownicy. To w Borownicy pobratymcy Stefana Czebieniaka i Wasyla Czarneckiego mordowali całe bezbronne rodziny. To w Uluczu stary Kułyk kazał posypywać solą rany dziesięcioletniego syna Marii Zimoń, postrzelonego przez bandytów z Ulucza w czasie palenia Borownicy. Oskarżanie żołnierzy polskich o niegodziwe czyny, to specjalność uluczańskich piewców band UPA. Od takich kłamstw i niedorzeczności aż roi się w opisach o Uluczu na stronach internetowych. A oto jeszcze jeden z takich cytatów pióra Stefana Czebieniaka: *„Trzecie umieranie Ulucza zaczęło się w lipcu 1944 r., gdy wrócili Moskale. Zamienili Niemców w okopach. Ale katusze nie wiedziały o tym i biły swoich”*. Konia z rzędem temu, kto coś z tego zrozumie. Owszem, był taki fakt użycia przez Rosjan jednej katuszy w Uluczu do zniszczenia niemieckiego działu pancernego w lesie za wsią Końskie, które ostrzeliwało rejon dworu w Uluczu i Dobrą. W Dobrej pocisk z tego działu trafił i zniszczył wieżę cerkiewną. Sowieccy artylerzyści dobrze rozpoznali i namierzyli ww. działo i jedną salwą z katuszy je zniszczyli. Na własne uszy słyszałem świst rakietowych pocisków i głośny huk w konieńskim lesie. Chyba o tym przypadku chciał poinformować nas Stefan Czebieniak? Np. podaje on, że Micha w Uluczu aresztował jakiś Niemiec i wysłał go do Oświęcimia. Tymczasem aresztowania dokonała ukraińska policja z Ulucza i ona wysłała go do Oświęcimia. Żadnego Niemca już w tym czasie w Uluczu nie było. W opisach Ulucza obaj piewcy bandytów UPA, tak Czebieniak jak i Czarnecki, nigdy nic nie mówią, że kiedykolwiek władzę w Uluczu sprawowali Ukraińcy. Nic nie słyszeli i nie wiedzieli o ukraińskiej milicji w 1939 r., nic nie wiedzą o istnieniu w Uluczu ukraińskiej policji, która w latach 1941-1944 niepodzielnie sprawowała tu władzę. Nie wiedzą o tym, jak ich własna policja zabierała z domów, w nocnej porze, mieszkańców Ulucza i wysłała ich na przymusowe roboty do Niemiec. Nie słyszeli nic o tym, jak ukraiński policjant bił po twarzy Ukraińca Mikołaja Krajnika, za nieterminowe przyprowadzenie ostatniej jego krowy na kontyngentowy spęd.

Po odejściu we wrześniu 1944 r. wojskowych władz sowieckich i po morderstwach na dwóch kolejnych sołtysach, rzeczywistą władzę w Uluczu sprawowali bandyci UPA, a nie władza ludowa – jak pisze Stefan Czebieniak. W innym miejscu autor ten pisze, jak to jego uczeń w szkole zawodowej dla dorosłych chwalił się *„...że był przy akcji Wisła i że za każdego zabitego banderowca dostawali 50 tys. złotych nagrody”*. Kłamca nie podaje

nawet nazwiska nagrodzonego, bo jest to po prostu nieprawda. Píše tak sobie, aby oczernić żołnierzy polskich. Drugi ukraiński nacjonalista Wasyl Czarnecki na siłę przypisuje różne dzieje historyczne jako ukraińskie. O tym, że król polski Jan Sobieski miał w bitwie pod Wiedniem 20 tysięcy Kozaków wspominałem już poprzednio. Tu tylko dodam, że w czasie bitwy pod Wiedniem ataman Kozaków Doroszenko był na usługach sułtana tureckiego. W innym miejscu Wasyl Czarnecki pisze: *„Stanął tam krzyż ku czci tysiąclecia chrztu Ukrainy”*. Pojęcie „Ukraina” pojawiło się dopiero w XVI wieku. W X wieku, za panowania na Rusi Kijowskiej kniahini Olgi, odbył się chrzest Rusi, a nie Ukrainy. Inny – najbardziej kłamliwy – domorosły „historyk” z Ulucza, Mykoła Kowalski pisze w swoich wspomnieniach: *„Z wojennej tragedii ocalała tylko cerkiew św. Mikołaja, stara cerkiew na Dubniku i chata Petra Zileckiego”*. W Uluczu po wysiedleniu jego mieszkańców w 1947 r., pozostało wiele niespalonych domów. Tylko na samych Krajnikach pozostało 5 domów. Żadnego Petra Zileckiego w Uluczu nigdy nie było. Ten sam autor pisze na stronach internetowych: *„Przed wojną mieszkało tu ponad cztery tysiące ludzi”*. Wasyl Czarnecki podaje zaś: *„Do 1946 roku Ulucz był wielką wsią. Mieszkało w niej 2,5 tysiąca ludzi”*. Dokumenty źródłowe zaś mówią, że w 1939 r. w 400-stu domach Ulucza zamieszkiwało 2040 osób. W innym opisie Stefan Czebieniak podaje, że ksiądz grekokatolicki z Połukomy Łemcio zginął w dniu 19 stycznia 1945 r., zaś tenwyrobest (16.02.09) pisze: *„(...) Spis pomija już np. księdza Włodymiera Łemcia, proboszcza Pawłokomy, który zginął 3 marca 1945 r.”*. Nie zgadzają się tu ani data śmierci Łemcia, ani miejscowość jego parafii, ale chodzi o tę samą osobę.

Wybrane – tylko niektóre – kłamstwa i nedorzeczności ukraińskich autorów w opisach dziejów Ulucza świadczą, że świadomie kłamią, albo brak im wiedzy w tematach, o których piszą. Po pobieżnym przeglądzie opisów ukraińskich autorów na stronach internetu można stwierdzić, że za nieszczęścia wioski winę ponoszą tylko Polacy, Moskale i Niemcy. To Proświta, która wychodowała w Uluczu tak wielu bandytów jest winna i to oni ponoszą odpowiedzialność za los, który spotkał Ulucz. Ludność polska znacznie więcej doznała krzywd niż ludność ukraińska, choć żadnych krzywd nie wyrządziła uluczańskim Ukraińcom. W opowiadaniach uluczańskich autorów o krzywdach wyrządzonych Ukraińcom nie znalazłem żadnych zarzutów pod adresem zamieszkujących tam Polaków. Jednak to oni byli przez bandytów UPA uprowadzani i w nieznanym miejscu mordowani, a reszta musiała Ulucz opuścić, często na zawsze. Muszę z przykrością stwierdzić, że moja rodzinna wieś Ulucz była najbardziej bandycka w tej

okolicy. Piewcom zaś UPA, Wasylowi Czarneckiemu, Stefanowi Czebieniakowi i innym przypominę jedną zwrotkę piosenki, którą sotnie UPA śpiewały w Uluczu:

*„My ukraińscy partyzanci,
Następcy sławnych Kozaków,
Aby naród wyzwolić z kajdanów,
Bijemy komunistów i Polaków”.*

W najpopularniejszej pieśni śpiewanej w SS Galizien refren brzmiał:

*„Smert, smert Lachom, smert,
Smert moskowsko-żydowskiej komuny,
W bij krywawyj OUN nas wede,
My bijem komunu i Lachiw...”*

Na przełomie lat 1943-1944, wykorzystując melodię kolędy „Wśród nocnej ciszy”, kolędnicy ukraińscy wędrując z szopką po domach śpiewali rodzinom polskim w Lutowiskach, Moryńcu, Terce, itd.:

*„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi,
Uciekajcie Lachy, UPA nadchodzi,
Czem prędzej się wybierajcie i do Polski i na Węgry
Uciekajcie, śmierć wasza będzie.”*

W Wołkowyi bandyci UPA urządzili Ukraińcom pokaz, jak należy mordować Polaków. Związanego miejscowego Polaka ułożyli na stojaku do przecinania drewna między dwie deski i piłą, żywcem go przecięli. W Wołkowyi chyba też działała Proświta.

Na szczególną pamięć zasługuje czyn haniebnej zbrodni dokonanej przez bandytów z Ulucza na pilocie amerykańskiego bombowca B-24 Liberator, poruczniku Josephie Gorczy. Samolot ten, uszkodzony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą nad Śląskiem, zdołał przelecieć nad linią frontu w rejonie Jasła i znalazł się nad Uluczem 2 grudnia 1944 r. Miałem wówczas 15 lat i na własne oczy, razem z moim rodzeństwem – 17 – letnią Wandą i 12 – letnim bratem Alkiem oraz wieloma sąsiadami na Krajnikach obserwowałem przelot tego bombowca nad Uluczem. Samolot zrobił oblot po kręgu w kierunku Mrzygłodu, Krecowa i Birczy, ponownie znalazł się nad Uluczem i tu rozpoczęła się ewakuacja załogi na spadochronach. Prawie wszyscy mieszkańcy Krajników wybiegli na podwórza domów i obserwowali to zjawisko. W zasięgu mojego

wzroku naliczyłem sześć opadających spadochronów, po czym samolot zniknął za horyzontem. Jeden spadochroniarz zbliżał się do zabudowań. Gdy znalazł się na wysokości około 50 metrów widziałem, jak zaczął sterować linkami i oddalił się, obok góry Dziwina, w kierunku północnym. Spora grupa dzieciaków i dorosłych, w tym ja i moje rodzeństwo, pobiegła w ślad za spadochronem. Zatrzymaliśmy się na naszym polu o nazwie Podporóbka i nadal obserwowaliśmy opadającego spadochroniarza. Nikt wtedy nie wiedział czyj to jest samolot i kim byli spadochroniarze. Spadochroniarz wylądował na polu u podnóża góry Czerteż. W jego kierunku pobiegło trzech mieszkańców Krajników. Byli to nasi sąsiedzi Ukraińcy: Wasyl Czarnecki, Józef Białas i trzeci sąsiad, którego nazwiska nie pamiętam. Wasyl Czarnecki był w Uluczu komendantem żandarmerii banderowskiej (UPA), a Józef Białas był w sotni UPA. Obserwowałem jak ci trzej podbiegli do stojącego już na nogach spadochroniarza i pomogli mu wypłatać się ze spadochronowej uprzęży. Widziałem jak zwinęli spadochron, po czym jeden z nich wziął zwinięty spadochron na plecy i razem ze spadochroniarzem powędrowali do pobliskiego lasu. Wracając do domu zauważyłem leżącą na naszym polu, zrzuconą z samolotu i wbitą w ziemię, taśmę z dużymi nabojami. Po około dwóch godzinach przybyło na Krajniki czterech polskich milicjantów z Mrzygłodu. Wypytywali oni mieszkańców, gdzie wylądował spadochroniarz. Wskazano im tylko kierunek, gdzie poleciał spadochron. Ja powiadomiłem ich o taśmie z nabojami. Prosili mnie, abym wskazał im to miejsce, co oczywiście uczyniłem. Milicjanci taśmę zabrali i odjechali. Po opuszczeniu Ulucza 5 kwietnia 1945 r. przez 70 lat nic nie wiedziałem o losie spadochroniarza uprowadzonego do lasu przez krajnickich bandytów. Dopiero w lutym 2014 r. mój syn Mietek znalazł w internecie wiadomość, że ów spadochroniarz jest poszukiwany, zarówno przez Polaków jak i Amerykanów. Na temat miejsca pochówku amerykańskiego pilota napisano wiele bzdurnych artykułów w podkarpackiej prasie i w innych naukowych rozprawach. Nawet dokonano ekshumacji w ogrodzie dworu w Dąbrówce Starzeńskiej, ale niczego nie znaleziono. W artykule „Gdzie jesteś, Józefie Gorczyco?” opublikowanym w „Życiu Podkarpackim” przez Mariusza Godosa podano: *„(...) 2 grudnia 1944 r. w okolicy Sufczyzny rozbił się amerykański bombowiec B-24 Liberator. Jedenastoosobowa załoga zdążyła się wcześniej ewakuować w okolicach Ulucza oraz Birczy i Korzeńca. Dziesięciu pilotów przeżyło katastrofę, jedenasty zaginął gdzieś na Pogórzu Dynowskim.”* Dalej M. Godos pisze: *„W styczniu br. do pana Jana przyjechali przedstawiciele Stowarzyszenia Lotników 460. Grupy Bombowej 15. Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych, którzy zajmują się poszukiwaniami zaginionych podczas II wojny światowej amerykańskich*

lotników. – Byli już drugi raz. Wypyтали mnie o wszystko. Powiedziałem, co wiedziałem. Byli zadowoleni, bo potwierdziłem to wszystko, co o młodym Gorczycy wiedzieli. Przyjadą tutaj po raz trzeci. Prawdopodobnie w lipcu. Przyjadą po swojego lotnika – kończy opowieść Jan Hniłka.”

Z artykułu „Ostatni lot z Ditney Hill” (to inna nazwa Liberatora) pióra M. Godosa dowiadujemy się, kim był zaginiony jedenasty członek załogi tego bombowca: „(...) Niepisane porozumienie między wspomnianymi sojusznikami mówiło, że uszkodzone podczas bombardowań samoloty, które nie mogły wrócić przez Tatry do Włoch, powinny kierować się na wschód. Jednym z nich był Ditney Hill, na pokładzie którego znajdowało się 11 lotników. Drugim pilotem był porucznik Joseph Gorczyca, Polak spod Kielc, którego rodzice w latach 20 ubiegłego wieku wyemigrowali do USA. Uratowało się 10 z nich. Przewiezieni zostali do Połtawy, a stamtąd do Włoch. Jedenasty – 23-letni porucznik J. Gorczyca – zaginął w rejonie Pogórza Dynowskiego, między Borownicą, Jawornikiem Ruskim, a Dąbrówką Starzeńską.”

Takich informacji z prasy umieszczono w internecie dość dużo. Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego Andrzej Olejko sformułował dwie wersje zaginięcia porucznika Gorczycy, obie oparte na zeznaniach jakiegoś oszusta Jana Hniłka, który w 1944 r. miał osiem lat. Można się tylko dziwić, że profesor wyższej uczelni i dziennikarze uwierzyli w te fałszywe zeznania. Prawdą jest natomiast, że porucznik Joseph Gorczyca został zamordowany w uluczańskim lesie przez bandytów UPA z Ulucza, podobnie jak wielu uluczańskich Polaków, którzy też zostali pomordowani i zakopani w tym samym uluczańskim lesie. Jednym z dowodów zamordowania J. Gorczycy w Uluczu jest fakt, że jeden z dowódców sotni UPA paradował po Uluczu ubrany w jego mundur. O tym fakcie, po wielu latach, opowiedziała mi Maria Pilip, która w okresie działania UPA mieszkała Uluczu. Mówiła mi również, że żona Wasyla Czarneckiego (seniora) Stefania sprzedawała sąsiadom tkaninę ze spadochronu. Prawdopodobną przyczyną śmierci por. Gorczycy było to, że ze swoimi mordercami rozmawiał w języku polskim. Swoją dziką nienawiść do Polaków bandyci UPA z Ulucza przenieśli również na amerykańskiego pilota mówiącego po polsku. O miejscu pochówku por. Josepha Gorczycy może coś wie bratanek Wasyla Czarneckiego, autor wielu artykułów o Uluczu. Może w młodości był świadkiem rozmów stryja Wasyla ze swym ojcem o tej sprawie. W swoich artykułach zamieszczanych w internecie Wasyl Czarnecki nic nie wspomina o znanym przez wszystkich Uluczanie fakcie lądowania amerykańskiego pilota. Szkoda, że żaden dziennikarz nie udał się do Ulucza, gdzie mógłby

od naocznych świadków dowiedzieć się całej prawdy o losie por. J. Gorczycy. Szkoda też, że do tej pory nikt nie przeprowadził wywiadu z Wasylem Czarneckim (juniozem) na powyższy temat.

Byli w Uluczu również ludzie uczciwi i z tym co robili ich rodacy nie zawsze się zgadzali. Jako przykład uczciwości mogą posłużyć moi kuzyni Szlachtyczowie, dzieci siostry mojej mamy, Marceli. Najstarszy z nich Mikołaj, ten, który musiał zawieźć i wrzucić pod lód na Sanie swojego stryja i stryjenkę powieszonych przez bandytów UPA, został przesiedlony w 1947 roku na ziemie zachodnie Polski do wsi Bogaczów. Będąc u niego w 1973 r. w odwiedzinach miałem okazję wysłuchać jego relacji o bestialskich czynach jego rodaków. Znając go jeszcze z okresu, gdy mieszkałem w Uluczu wiem, że był on prawdziwym ukraińskim patriotą, ale nie nacjonalistą. Kochał swoją grekokatolicką religię, tęsknił za „samostijną Ukrainą”, a równocześnie szanował Polaków. Tak samo postępowali jego bracia i siostry oraz ich rodzice. Pamiętam jak kiedyś przed wojną, w rozmowie z moim ojcem powiedział: *„Niechby ta Ukraina była taka jak grządka na rozsadę”*. Nie doczekał tego czasu, jak powstała wolna Ukraina i to znacznie większa niż marzył. Moim zdaniem, każdy naród ma prawo do posiadania własnego niezależnego państwa, ale nie kosztem mordowania innych nacji.

Rozdział IV. Samodzielne życie

Praca w Wałbrzychu

Po spaleniu naszego całego dobytku w Hłomczy los mojej rodziny był tragiczny. Nie było mieszkania, żywności, ubioru i innych podstawowych środków. Zebrane latem zboże i pasza dla krowy spłonęły w Hłomczy. W polu zostały niewykopane ziemniaki i to one uratowały nam życie. W październiku 1946 przyjechał, na krótki urlop brat Władek. W wojsku zebrał od kolegów trochę ubrań i dwie pary butów. Trochę nas tym poratował. Ja, doraźnie, zarabiałem przy omłocie zbóż u bogatych mrzygłodzian, ale taka praca nie mogła zapewnić mi bytu na zimę. Brat Władek, odjeżdżając po urlopie, zabrał mnie ze sobą i zawiózł do siostry Pauliny, która wraz z mężem mieszkała w pobliżu Duszników Zdroju. Przybyli tam oni we wrześniu, po utracie całego dorobku w spalonej Hłomczy. Tam mnie brat zostawił. Szwagier i siostra mieszkali w poniemieckim domu, całkowicie wyszabrowanym. Żywność zdobywał szwagier u zagospodarowanych już mieszkańców. Szwagier był kowalem, ale pozostały mu tylko narzędzia do podkuwania koni - tymi narzędziami zarabiał na życie. Mnie zatrudnił miejscowy, bogaty sołtys, który wcześniej

będąc parobkiem u bauera, zajął po nim gospodarstwo rolne. Pracowałem od rana do wieczora. Podawałem paszę krowom i koniom, wywoziłem obornik i poilem cały inwentarz. Około godziny ósmej gospodyni dawała mi śniadanie, które składało się z pajdy suchego chleba i kubka maślanki lub mleka. Masła u sołtysa nigdy nie jadłem. Obiad składał się z zupy i kromki chleba, zaś kolacja była podobna do śniadania. Któregoś dnia, po wykonaniu wszystkich czynności w oborze, wszedłem do kuchni i poprosiłem o coś do picia. Od gospodyni zamiast napoju, otrzymałem pouczenie, że moje miejsce jest w oborze. Nadmieniam, że za moją pracę oprócz jedzenia, żadnej innej zapłaty nie otrzymywałem. Takie postępowanie sołtysa i jego żony było tym bardziej niezrozumiałe, że oboje byli poprzednio przymusowymi pracownikami w tym gospodarstwie. Po incydencie z żoną sołtysa poczułem się upokorzony i więcej do pracy u sołtysa nie poszedłem. Szwagier nie był z tego zadowolony, ale do powrotu do tej pracy mnie nie zmuszał. Boże Narodzenie spędziłem u siostry i szwagra. Zaraz po świętach spakowałem swoje manatki i wyjechałem pociągiem do Wałbrzycha. Siostra dała mi na drogę kawałek świątecznego placka, a szwagier ćwiartkę bimbru.

W Wałbrzychu pracowało dwóch znajomych z Ulucza, Staszek Krowiak i Michał Polański. Adres do nich otrzymałem od ciotki Staszka Krowiaka, która mieszkała w Dusznikach Zdroju. Do Wałbrzycha przyjechałem 27 grudnia 1946 r. ok. godziny 18.00. Było już ciemno. Wiedziałem, że pod wskazany adres należy jechać tramwajem i wysiąść na czwartym przystanku. Szkopuł w tym, że nigdy wcześniej tramwaju nie widziałem na oczy i nawet nie wiedziałem gdzie należy kupić bilet na przejazd. Chodziłem po dworcu kolejowym i szukałem kasy, w której mógłbym kupić bilet tramwajowy. Ktoś mnie pouczył, że bilet kupuje się w tramwaju, u konduktora. Przed dworzec zajechał jakiś pojazd na gumowych kołach, z ramionami ślizgającymi się po rozwieszonych na słupach drutach. Myśląc że to tramwaj, wsiałem do tego pojazdu (oczywiście trolejbusu) i zaraz poszukałem konduktora aby wykupić bilet. Ten kazał mi usiąść i poczekać, aż on do mnie przyjdzie. Trolejbus ruszył, a ja liczę kolejne przystanki, bo na czwartym mam wysiąść. Całe szczęście, że trolejbus jechał tą samą trasą, co tramwaj, ale jego czwarty przystanek nie pokrywał się z przystankami tramwajowymi. Traf chciał, że trolejbus zatrzymał się na przystanku „na żądanie” i w ten sposób wysiadłem we właściwym miejscu. Pytałem przechodniów o adres - Przeskok 6 - i dopiero czwarty wiedział, gdzie to jest i mnie tam zaprowadził. Numeru mieszkania nie znałem. W mrocznym korytarzu zapukałem do pierwszych drzwi i, o dziwo, trafiłem dobrze. Znajomi, Staszek i Michał, zaraz mnie

poznali i byli bardzo zdziwieni, skąd się tu wziąłem. Z obu znajomymi mieszkał jeszcze trzeci, nie znany mi facet. Przyjęto mnie dość dobrze. Dostałem kolację, a ja ich poczęstowałem przywiezionym plackiem i bimbrem. W pokoju było jeszcze jedno wolne łóżko, na którym się rozgościłem. Spałem na gołym materacu, okryty jakąś derką. Wszyscy trzech lokatorzy zatrudnieni byli w kopalni „Mieszko”. W tym tygodniu pracowali na pierwszej zmianie. Do pracy wyszli przed szóstą, ja wstałem nieco później. Od nich dowiedziałem się, jak należy załatwić przyjęcie do pracy. Najpierw trzeba było zgłosić się do pośrednictwa pracy. Tam dostałem propozycję pracy przy wyrębie drzew. Propozycji tej nie przyjąłem. Chciałem koniecznie dostać się do kopalni, gdzie już pracowali koledzy, ale tam nie było zapotrzebowania. Pojechałem więc do kopalni i tam dostałem zaświadczenie, że kopalnia może mnie do pracy przyjąć. Z takim dokumentem wróciłem do „pośredniaka” ale tu pojawił się kolejny problem. Po sprawdzeniu dokumentu tożsamości okazało się, że nie mogę być przyjęty ze względu na zbyt młody wiek (miałem wtedy 16 lat i 10 miesięcy a wymagano pełnoletniości). Wróciłem na kwaterę z niczym i tu postanowiłem „poprawić” w dokumencie tożsamości, rok urodzenia - z 1930 na 1929. Najpierw dobrałem kolor atramentu, następnie z małego zera zrobiłem dziewiątkę (wystarczyło dodać ogonek), a z trójki „wykombinowałem” dwójkę. Była trochę koślawa, ale była. Z takim dokumentem w dzień sylwestrowy 1946 roku poszedłem ponownie do pośredniaka. Młoda urzędniczka nie zwróciła uwagi na koślawe cyfry i formalne skierowanie do pracy w kopalni „Mieszko” otrzymałem. Dzień po nowym roku, już bez żadnych innych formalności, rozpocząłem pracę. Skierowano mnie na nadszybie, do popychania wózków z węglem od windy, do specjalnego transportera łańcuchowego. Otrzymałem stawkę 74 zł za dniówkę, a ponadto kartkę na artykuły żywnościowe i drugą, z kuponami na obiady w zakładowej stołówce. Pamiętam, że na kartkę żywnościową otrzymywałem 18 kg chleba na miesiąc. Oprócz tego były tam kupony na mąkę, cukier, tłuszcze, mięso i wędliny. Część tych kuponów oddawałem w stołówce, a resztę wykupywałem w sklepie. Zostałem więc prawdziwym, najemnym robotnikiem.

Pracę w kopalni „Mieszko” rozpocząłem już 3 stycznia 1947 r. Tego dnia obudziłem się przed piątą. Po śniadaniu udałem się pieszo do kopali. W markowni poprosiłem o przydzieloną mi markę o numerze 2536. Każdy pracownik kopalni miał taką markę. Była to mosiężna blaszka z wygrawerowanym numerem. Kształt takiej marki był różny dla każdej zmiany - okrągły (o średnicy 40 mm) dla zmiany pierwszej, sześciokątny dla drugiej i trójkątny dla trzeciej. Z pobraną marką zgłosiłem się do nadszybia i w kantorku

oddalem ją brygadziście. Moim brygadzystą był Niemiec - autochton - który już potrafił rozmawiać po polsku. Ów brygadzysta zapisał moje nazwisko do zeszytu obecności, markę powiesił na tablicy po czym zaprowadził mnie na stanowisko pracy. Tu przedstawił mnie brygadzie nadszybia i pouczył mnie, jaką pracę będę wykonywał. Brygada składała się z siedmiu osób. Czterech z nas pracowało przy transportowaniu wózków z węglem. Wypchnięty mechanicznie z windy wózek, należało ręcznie przetransportować po torach do specjalnego transportera łańcuchowego. W szybie pracowały dwie maszyny wyciągowe, z których każda napędzała, wahadłowo, dwie windy. Tak więc, od wind prowadziły cztery tory. Częstotliwość kursowania wind z wózkami była dość duża. Niektóre wózki poruszały się z dużymi oporami i trzeba je było pokonywać siłami całej brygady. Taką pracę wykonywałem przez pięć miesięcy.

W nadszybiu było bardzo zimno a ja nie miałem odpowiedniego odzienia. Szczególnie marzły mi stopy. Stalowa podłoga nadszybia jeszcze potęgowała to zimno. Często opuszczałem, na kilka minut, stanowisko pracy i biegłem na poddasze, gdzie biegły rury z gorącą parą. Na tych rurach ogrzewałem zmarznięte stopy. W czasie, gdy ja się ogrzewałem, pozostali trzej koledzy musieli popychać wózki sami. Czasem protestowali, ale nie skarżyli się naszemu sztygarowi, za co byłem im wdzięczny. Przy tak ciężkiej pracy nasze stawki były zbyt niskie (74 zł za dniówkę), toteż postanowiliśmy zaprotestować. Poszliśmy wszyscy do gabinetu dyrektora powierzchni i zagroziliśmy, że jeśli nie dostaniemy podwyżki i kartek żywnościowych dla ciężko pracujących (takich, jakie mieli górnicy dołowi), to zastrajkujemy. Nasz protest poskutkował - dostaliśmy wyższą stawkę (84 zł za dniówkę) i żądane kartki żywnościowe. Pamiętam, że na te kartki dostawałem 23 kg chleba na miesiąc. Bywało, że i tej ilości chleba było mi za mało. Niektórzy koledzy z brygady oddawali mi czasem swoje kupony na wykup chleba. Do końca stycznia mieszkalem u kolegów z Ulucza. W połowie miesiąca zgłosiłem się do urzędu mieszkaniowego, z prośbą o przydział małego, samodzielnego mieszkania. W każdą środę tygodnia, zbierali się w tym urzędzie wszyscy poszukujący mieszkań. Jeden z urzędników prowadził nas do miasta, przeważnie na ulicę Świdnicką, i tam wskazywał wolne mieszkania, które można było zająć od ręki. Wskazywane mieszkania były przeważnie duże, trzy i czteropokojowe, w pełni umeblowane. Mnie takie nie interesowały - chciałem mieć jeden pokój, ale takich mieszkań nie było. Postanowiłem poszukać wolnego pokoju na własną rękę. Jeden z pracujących w kopalni chłopaków odstąpił mi swój pokój, gdyż sam wyjeżdżał do swojej rodziny mieszkającej koło Tarnowa. Załatwianie przydziału tego

pokoju trwało godzinę. W pokoju tym było jedno metalowe łóżko z materacem, komoda i dwa krzesła oraz kaflowy piec z wnęką do gotowania stawy. Piec opalany był węglem. Cóż to była za radość, gdy zamieszkałem w samodzielnym pokoju, bez innych lokatorów. Początkowo, węgiel do opalania przynosiłem z kopalni codziennie, w torbie. Nikt w kopalni tego nie zabraniał. Później otrzymałem przydział węgla i trzeba było go przetransportować do domu. Do każdego mieszkania przydzielona była komórka na węgiel. W kopalni można było wypożyczyć specjalny wózek do ręcznego transportu małej ilości węgla. Jego transport z kopalni do domu był stosunkowo łatwy, gdyż droga biegła z góry w dół. Gorzej było odtransportować pusty wózek z powrotem ale, dzięki pomocy kolegi, jakoś się z tym uporałem. Teraz miałem już mieszkanie, węgiel w komórcie i pod dostatkiem chleba. Kawy zbożowej też mi nie brakowało. Nie miałem natomiast żadnej pościeli i przykrycia. Spałem na gołym materacu, pod głowę wkładałem część odzienia i przykrywałem się kurtką. Pracując w ciężkich warunkach, przeziębilem się i wylądowałem na tygodniowym zwolnieniu lekarskim. Wykorzystując zwolnienie z pracy, pojechałem do siostry Pauliny i ta dała mi poduszkę i koc. Teraz spałem już na poduszce i przykryty kocem, ale nadal na gołym materacu. Mimo, że nie miałem zegara, nigdy nie spóźniłem się do pracy. Pracowałem na pierwszej i na drugiej zmianie. Śniadania i kolacje przygotowywałem sobie sam, natomiast obiady miałem zapewnione w stołówce. Mimo ciężkiej pracy i spartańskich warunków zamieszkania, czułem, że jest mi dobrze. Często chodziłem do kina.

Już w połowie lutego otrzymałem od dyrekcji kopalni, polecenie zgłoszenia się do Szkoły Zawodowej, która mieściła się przy ul. Pankiewicza 5. W oznaczonym dniu zgłosiłem się do ww. szkoły, gdzie takich jak ja przybyło już więcej. Tu, niespodziewanie, zrobiono nam egzamin z języka polskiego i matematyki. Przypomnę, że moja dotychczasowa edukacja zakończyła się w Kremerówce, w marcu 1942 roku, na etapie czwartej klasy. Do żadnej innej szkoły więcej nie uczęszczałem. Języka polskiego uczyłem się tylko w klasie drugiej (elementarz) i czwartej, stąd moja wiedza w zakresie gramatyki i ortografii była żadna. Z matematyki miałem większą wiedzę. Z takim „naukowym” doświadczeniem przystąpiłem do egzaminu wstępnego do szkoły zawodowej. Cały egzamin z polskiego polegał na napisaniu na tablicy dwóch wyrazów: „elektrownia” i „szczotka” - oba napisałem poprawnie. Z matematyką nie miałem żadnego problemu. Na podstawie takiego egzaminu, przydzielono mnie do drugiej klasy szkoły zawodowej o profilu mechanicznym. Zważywszy, że był to luty, program nauczania był już na etapie ponad połowy roku

szkolnego. Do dziś nie mogę zrozumieć, na jakiej podstawie przydzielono mnie do drugiej klasy. W sekretariacie szkoły otrzymałem trzy skierowania, jedno do wychowawcy klasy, drugie do dyrekcji kopalni „Mieszko” i trzecie do kierownika szkolenia warsztatowego. Dwa pierwsze skierowania oddałem we właściwe ręce, zaś trzecie zatrzymałem przy sobie, bo nie wiedziałem, gdzie te warsztaty się znajdują. Ktoś z sekretariatu zaprowadził mnie do wychowawcy, który w tym czasie prowadził lekcję z matematyki. Po przedstawieniu mnie całej klasie, kazano mi usiąść na wyznaczonym miejscu. Po skończeniu lekcji, wychowawca zabrał mnie do jakiegoś wolnego pokoju, gdzie przeprowadził ze mną wywiad, po czym polecił zapisać sobie trzydniowy plan lekcji. Pierwsze trzy dni tygodnia przeznaczone były na lekcje w szkole, w pozostałych zaś odbywało się szkolenie warsztatowe. W szkole wydano mi zeszyty i przybory do pisania. Z tymi akcesoriami zacząłem uczęszczać do szkoły, gdzie nauczano nas różnych przedmiotów. Po trzech tygodniach zaczęto mnie odpytywać. Z arytmetyki otrzymywałem dobre oceny, gorzej było z geometrią. Tego działu matematyki nigdy się nie uczyłem. Podobnie było z moimi wiadomościami w zakresie fizyki i chemii. Z pomocą przyszli mi koledzy z klasy. Dwóch z nich przyjeżdżało wieczorami do mnie i tu wyjaśniali mi zawilości przerabianego w szkole materiału. Byli to koledzy, którzy przybyli do Polski z Francji, gdzie ich rodzice pracowali jako przedwojenni emigranci w kopalniach węgla. Po drugiej wojnie światowej wrócili oni do Polski jako repatrianci. Wiedzę z zakresu przedmiotów ścisłych wynieśli owi koledzy ze szkół francuskich. Mimo, że byli urodzeni we Francji, biegle posługiwali się językiem polskim. Po takich dodatkowych lekcjach, szybko nadrabiałem wiedzę w zakresie nauczanych przedmiotów, trochę gorzej było z językiem polskim, bo w tej sprawie koledzy ci pomóc mi nie mogli. Muszę się tu pochwalić, że po dwóch miesiącach, czułem się jak pełnoprawny uczeń.

Na zajęcia warsztatowe nadal nie uczęszczałem. W wyznaczonym na ten cel czasie pracowałem nadal w kopalni na swoim stanowisku pracy. Tak więc, trzy dni w tygodniu uczęszczałem do szkoły na zajęcia teoretyczne, a trzy dni pracowałem w kopalni. Chcę w tym miejscu podkreślić, że w omawianym czasie, uczniowie szkół podległych resortowi górnictwa, otrzymywali wynagrodzenie jak zwykli pracownicy, przy czym stawka dla ucznia była najniższa i wynosiła 64 zł za dniówkę. Ja w tym czasie zarabiałem w kopalni 84 zł. Tak więc, za trzy dni w tygodniu otrzymywałem wynagrodzenie w kopalni, zaś w szkole pobierałem wynagrodzenie za sześć dni w tygodniu. W sumie zarobek był znacznie wyższy niż w okresie gdy do szkoły nie uczęszczałem. Taka „zabawa” trwała do

połowy maja. W końcu zorientowano się, że nie chodzę na zajęcia warsztatowe. Polecono mi przerwać pracę w kopalni i zgłosić się natychmiast na szkolenie warsztatowe. Od tej pory wynagrodzenie pobierałem tylko w szkole. Mój zarobek znacznie się obniżył, tak że nie mogłem się za te pieniądze utrzymać. Postanowiłem więc zwolnić się ze szkoły i wrócić do dawnej pracy w kopalni „Mieszko”. Decyzję o zwolnieniu ze szkoły musiał podjąć dyrektor Zjednoczenia. W sekretariacie dyrektora cierpliwie tłumaczono mi, abym szkoły nie porzucił. Ja jednak troskliwego tłumaczenia nie usłuchałem. Był jeszcze inny powód mojej nierozważnej decyzji. Z listu od mamy dowiedziałem się, że ojciec otrzymał od swego brata Władysława, zamieszkałego w USA, „papiery” na wyjazd całej rodziny do niego. Byłem przekonany, że wyjazd do USA jest pewny i w tej sytuacji uczęszczanie do szkoły jest zbyteczne. To był mój pierwszy życiowy błąd. Ojciec z otrzymanymi dokumentami udał się do Ambasady USA w Warszawie, gdzie należało się zarejestrować. Okazało się, że pod amerykańską ambasadą stały tłumy ludzi, oczekujących w kolejce do zarejestrowania. Z kolejkowego numeru wynikało, że oczekiwanie ojca na rejestrację, będzie trwało cztery dni. Bez zasobów finansowych, tak długo w Warszawie ojciec czekać nie mógł. Wrócił więc do domu z niczym.

W kopalni „Mieszko” pracowałem do 26 maja 1947 roku. W tym dniu, zjawił się w kopalni podporucznik WP, który werbował młodocianych pracowników do Szkoły Przysposobienia Przemysłowego (SPP). Prawdopodobnie był odgórny nakaz dla dyrektorów kopalń, aby odesłać młodocianych robotników do tej szkoły. W ciągu dwóch dni rozliczyłem się z kopalnią, zdałem mieszkanie urzędowi kwaterunkowemu i 28 maja zgłosiłem się na dziedziniec Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Poznańskiej. Zebrało się tam około stu chłopaków w moim wieku. Po sprawdzeniu listy obecności, ustawiono nas w dwuszeregu, podzielono na plutony i w szyku czwórkowym pomaszerowaliśmy na dworzec kolejowy, gdzie stały już, przygotowane dla nas, wagony towarowe z ławkami do siedzenia wewnątrz. Pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Przez dolnośląskie miasta i miasteczka dojechaliśmy do Wrocławia, gdzie pociąg na krótko się zatrzymał. W tym czasie cały Wrocław był wielkim gruzowiskiem. Z Wrocławia pociąg ruszył w kierunku wschodnim. W wagonach panował wesoły nastrój. Całą drogę chłopcy śpiewali różne piosenki. Tak dojechaliśmy, w godzinach popołudniowych, do Zabrza. Tu nastąpił rozładunek i w szyku czwórkowym pomaszerowaliśmy, ze swoimi bagażami, ulicami miasta do koszar mieszczących się przy ul. Roosevelta. Rozmieszczono nas w pokojach z piętrowymi, wojskowymi łózkami. Każdemu przydzielono łóżko, na którym był siennik

wypełniony słomą, poduszka oraz dwa prześcieradła i dwa koce. Pościel była nowa. Polecono złożyć bagaże w pokojach i po umyciu się pod kranami z zimną wodą, wprowadzono nas na stołówkę. Stały tam ustawione w rzędach czteroosobowe stoliki zasłane śnieżnobiałymi obrusami, na których ułożone były nakrycia obiadowe, wazy z zupą oraz kompot. Na komendę „siad” zajęliśmy miejsca. Zupę każdy nalewał sobie sam a drugie danie podały nam kelnerki ubrane w eleganckie, śląskie stroje. W takich warunkach spożywałem posiłek po raz pierwszy w życiu. Po obiedzie ostrzyżono nas a następnie zaprowadzono do łaźni. Po kąpeli każdemu wydano nowiutką bieliznę oraz specjalnie uszyte dla nas drelichowe mundury i buty ze spinaczami. Przywiezione bagaże i zdjętą z siebie odzież polecono włożyć do specjalnych worków, które po przypięciu kartek z nazwiskami zmagazynowano na strychu budynku. Oprócz naszego transportu z Wałbrzycha przybyło dużo chłopaków z różnych stron Polski. Razem zebrało się nas w szkole około trzystu osób. Na zarządzonej ogólnej zbiórce podzielono nas na kompanie, plutony i drużyny. Każda kompania liczyła około stu junaków (tak nas nazwano), podzielonych na trzy plutony po trzy drużyny w plutonie. Dowódcami kompanii byli oficerowie, plutonów - podoficerowie, a na dowódców drużyn wyznaczono junaków spośród nas. Na czele szkoły (SPP nr 4) stał dyrektor - cywil. Jego zastępcą do spraw wychowawczych był oficer w stopniu porucznika. Na zarządzonej zbiórce szkoły przedstawiono nam naszych dowódców. Dowódcą pierwszej kompanii, w której się znalazłem, został por. Grycan, doświadczony przedwojenny oficer. Dowódcą mojego pierwszego plutonu został sierżant (nazwiska nie pamiętam) a na jego pomocnika wyznaczono junaka Dusia. Ponadto, był w szkole oficer do spraw kulturalno-oświatowych.

Mój pobyt w Zabrze

Od pierwszych dni czerwca rozpoczęło się szkolenie wojskowe oraz nauka matematyki i języka polskiego. Przedmiotów tych nauczali nauczyciele cywilni. Na początku lipca otrzymałem tygodniowy urlop. Zabrałem więc swoje cywilne ciuchy i pojechałem do rodziców, którzy w tym czasie mieszkali w wynajętym domu w Mrzygłodzie. Urlop przedłużyłem sobie samowolnie o tydzień, ale po powrocie nie zastosowano wobec mnie żadnych sankcji. Nauka praktyczna zawodu górnika odbywała się w pobliskiej kopalni „Sośnica”. Poziom nauczania przedmiotów ogólnych, w porównaniu do szkoły w Wałbrzychu, stał na niskim poziomie, z czego nie byłem zbyt zadowolony.

W drugiej połowie lipca 1947 roku junacy z naszej szkoły wyjechali na zlot szkół zawodowych w Szczecinie. Załadowano nas do krytych wagonów towarowych i z wielkim entuzjazmem wyruszyliśmy do Szczecina. Na kolejnych stacjach do pociągu dołączano następne wagony załadowane młodzieżą, przez co stawał się on coraz dłuższy. W Szczecinie całą naszą szkołę poprowadzono na pole namiotowe, gdzie zostaliśmy zakwaterowani. Posiłki wydawano w stołówkach zorganizowanych również w namiotach. Na drugi dzień ustawiono całą przybyłą młodzież na ogromnym placu, gdzie przemówienie do nas wygłosił Prezydent RP Bolesław Bierut. Obok prezydenta stał na trybunie Marszałek Polski Michał Żymierski. W ciągu tygodniowego pobytu w Szczecinie organizowano nam liczne wycieczki po mieście, w tym do zamku szczecińskiego. Szczecin w tym czasie był bardzo zniszczony przez lotnictwo alianckie. Niektóre ulice były jeszcze zamknięte z powodu min. W kolejnym dniu pobytu zorganizowano nam wycieczkę statkami do Świnoujścia. Po obu stronach Zatoki Szczecińskiej leżały zatopione statki i okręty wojenne. W Świnoujściu zaprowadzono nas nad brzeg morza. Dla mnie był to niesamowity widok, gdyż po raz pierwszy w życiu zobaczyłem prawdziwe morze. Na zakończenie pobytu odbyła się defilada młodzieży na Wałach Chrobrego. Defiladę odbierali członkowie rządu z Bolesławem Bierutem. Następnego dnia odjechaliśmy do Zabrza. W połowie sierpnia wytypowano spośród junaków całej szkoły sześćdziesięciu chłopaków do zdawania egzaminu wstępnego do Gimnazjum Górniczego w Zabrzu. Wśród wytypowanych znalazłem się i ja. Egzamin prowadzili nauczyciele z Gimnazjum. Zdawaliśmy z matematyki i języka polskiego. Z obu przedmiotów był egzamin pisemny i ustny. Udało mi się zdać wszystkie egzaminy. Do gimnazjum przyjęto połowę zdających, tj. 30 junaków. Sformowano z nas samodzielny pluton gimnazjalny. Od 1 września 1947 roku nasz pluton, w szyku zwartym, maszerował codziennie do nowej szkoły pod dowództwem jednego, wyznaczonego junaka.

W gimnazjum stanowiliśmy oddzielną klasę o profilu górniczym. Zaczęła się nauka w prawdziwej szkole. Oceniając dzisiaj tę szkołę należy stwierdzić, że poziom nauczania w niej był bardzo wysoki. Uczyli nas nauczyciele pochodzący głównie z Kresów Wschodnich (Lwów, Tarnopol, Stanisławów). Wszyscy nauczyciele mieli wyższe wykształcenie, a jedna nauczycielka nawet stopień doktora. Jedynie nauczyciel przedmiotu „górnictwo” był studentem czwartego roku Politechniki Gliwickiej. Wychowawcą naszej klasy został Pan Blidy. Był to człowiek o wyjątkowych cechach. Nasza klasa składała się z uczniów z różnych części Polski, z Kresów Wschodnich, repatriantów z Francji oraz

autochtonów. Najbardziej rozrabiali chłopaki z Kresów. Przypadki niewłaściwego zachowania zdarzały się także na lekcjach prowadzonych przez naszego wychowawcę. Wystarczyło wtedy tylko jedno łagodne jego spojrzenie, a klasa milkła natychmiast. Nigdy nie karmił słownie swoich wychowanków, a jego lekcje z „wychowania” były prawdziwie wychowawcze. Uczniowie bardzo Go kochali. Ciekawe, że On jako jedyny z nauczycieli nie miał przydomku nadawanego przez uczniów. Szkoda, że nie pamiętam nazwisk pozostałych nauczycieli. Cóż za wspaniały był nauczyciel języka polskiego z przydomkiem „Apis”. Bardzo szanowany był nauczyciel historii i języka rosyjskiego, starszy pan nazwany przez uczniów



Rys. 4 Autor w mundurze ucznia SPP w roku 1947

„Ghandim”. Przybył on do Zabrza z Tarnopola. Wspaniałym nauczycielem religii w pierwszej klasie był ksiądz, który do Zabrza przybył z Kresów. Na jego lekcje przychodzili nawet niewierzący uczniowie. Również wspaniali byli pozostali nauczyciele.

W pierwszej klasie miałem duże trudności z opanowaniem gramatyki i ortografii języka polskiego, toteż często z dyktand i opracowań tematycznych dostawałem oceny niedostateczne. Z pozostałymi przedmiotami żadnych problemów nie miałem. Dla porównania podam oceny na świadectwie ukończenia pierwszej klasy, z trzech nauczanych języków: polski - „dostateczny”, angielski - „dobry”, rosyjski - „bardzo dobry”. W drugiej i trzeciej klasie z polskiego miałem już oceny bardzo dobre. Duże trudności w opanowaniu języka polskiego i rosyjskiego mieli uczniowie z rodzin miejscowych autochtonów i repatrianci z Francji. Natomiast te dwie grupy dobrze się uczyły z przedmiotów ścisłych i technicznych. Najslabszymi uczniami byli chłopaki pochodzący z Małopolski (Tarnów, Kielce, Bochnia) oraz z Kresów Wschodnich. Do ukończenia klasy pierwszej zakwaterowani i żywieni byliśmy w SPP. Później nasza klasa została przeniesiona do internatu przy Gimnazjum Górniczym. Wszyscy uczniowie naszej szkoły otrzymywali, od

1949 roku, stypendia w wysokości (zależnie od zamożności rodziców) od dwóch do czterech tysięcy złotych. Ja otrzymywałem w trzeciej klasie najwyższe stypendium. Oprócz stypendium miałem zapewnione w szkole zakwaterowanie i wyżywienie. Stypendium przeznaczałem na zakup odzienia i obuwia, przyborów szkolnych, itp. Zajęcia teoretyczne odbywały się cztery dni w tygodniu. W pozostałych dwóch dniach odbywały się zajęcia praktyczne w warsztatach (pierwsza klasa) i w kopalni (na powierzchni i na dole). Warsztaty szkolne były bardzo dobrze wyposażone w różne maszyny i urządzenia. W warsztatach uczniowie produkowali, pod nadzorem nauczycieli, różne proste narzędzia. Tak np., z osi zużytych wózków kopalnianych wyrabialiśmy młotki. Odkuwki młotków wykuwaliśmy w kuźni, młotami pneumatycznymi a ostateczny kształt był nadawany w ślusarni za pomocą pilników. Oprócz zajęć praktycznych, w ramach roku szkolnego odbywaliśmy obowiązkową miesięczną praktykę podczas wakacji. Z okazji wystawy przemysłu Ziemi Odzyskanych, został zorganizowany, w lipcu 1948 roku we Wrocławiu, zlot młodzieży z całej Polski. Na ten zlot wyjechała szkoła SPP, a w jej składzie samodzielny pluton gimnazjalny. Zakwaterowano nas we Wrocławiu w namiotach, podobnie jak podczas zlotu w Szczecinie. Miałem okazję zobaczyć produkty wytworzone przez zakłady przemysłowe ziem zachodnich. Tu odbyły się także duże igrzyska sportowe, w których rywalizowali również sportowcy z naszej szkoły.



Rys. 5 Moja legitymacja szkolna z Gimnazjum Górniczego

Po wakacjach w 1948 roku, rozwiązano pluton gimnazjalny, a uczniów, jak już wcześniej wspomniałem, przeniesiono do internatu przy Gimnazjum Górniczym. W taki sposób zostaliśmy podporządkowani dyrekcji gimnazjum i staliśmy się uczniami „cywilnymi”. Warunki zakwaterowania i wyżywieni znacznie się pogorszyły. Całą naszą trzydziestoosobową klasę umieszczono w jednym pokoju, w którym stały piętrowe łóżka, a przy nich szafki nocne oraz jeden duży stół, na którym można było odrabiać lekcje. Pokój był ogrzewany piecem węglowym. Na stołówce trzeba było pobierać posiłki w okienku kuchennym. Na stołach nie było obrusów, jak w SPP. Nie wydano nam do prac pod ziemią ubrań roboczych i odpowiednich butów. Własne buty szybko się zużyły, więc do praktyki pod ziemią musiałem sobie poszukać butów na, mieszczącym się na terenie kopalni, składowisku zużytej odzieży. Był okres, że oberwane podeszwy butów wiązałem drutem. Na żadną pomoc z domu nie mogłem liczyć, gdyż rodzice sami nic nie mieli. W tej sytuacji postanowiłem pracować w kopalni w niedzielę. W dni świąteczne zatrudniano w kopalni każdego, kto się tam zgłosił przed szóstą rano. Takie osoby zatrudniano do prac porządkowych, a po skończonej zmianie szło się do kasy i tam, od ręki, otrzymywało się zapłatę. Zapłata była podwójna. Za zarobione w ten sposób pieniądze mogłem już kupić sobie jakieś odzienie i buty. Był to najtrudniejszy pod względem materialnym rok szkolny. Sytuacja moja znacznie się poprawiła w 1949 roku, gdy otrzymałem stypendium. Trzecią klasę gimnazjum ukończyłem w 1950 roku, z promocją do dalszej nauki w Liceum Górniczym. Liceum to mieściło się w tym samym budynku co gimnazjum. Po ukończeniu dwóch klas liceum zdawało się maturę, która otwierała drogę na wyższą uczelnię.

Wróć jeszcze do roku 1947. W pierwszej klasie gimnazjum wstąpiłem do OMTUR. Opiekunką tej organizacji była nauczycielka historii (nazwiska nie pamiętam). Była ona bardzo ideową działaczką PPS. To ona uświadomiła mi, co to jest ruch robotniczy i o co robotnicy na całym świecie walczą. Nigdy nie powoływała się na naukę Marksa i Engelsa, a tym bardziej na Lenina i Stalina. Komunizm był jej obcy. Przekonywała nas, członków OMTUR, że należy walczyć o zbudowanie w Polsce socjalizmu. Licniejszą organizacją w naszej szkole był Związek Walki Młodych (ZWM), którym opiekował się członek PPR. Na różnych manifestacjach OMTUR-owcy nosili niebieskie koszule i czerwone krawaty, zaś ZWM-owcy, białe koszule z czerwonymi krawatami. Ciekawe, że przywódcami ZWM byli przeważnie autochtoni, którzy w okresie hitleryzmu należeli do Hitlerjugend. Byli oni zdolnymi organizatorami ruchu młodzieżowego, stąd też szybko znaleźli się w szeregach

ZWM, bo tu mogli budować swoje kariery. Po tzw. zjednoczeniu organizacji młodzieżowych utworzono w 1948 roku Związek Młodzieży Polskiej (ZMP). Od tej pory stałem się jego członkiem. W strukturach ZMP w naszej szkole nie pełniłem żadnych funkcji. Z nauki w liceum zrezygnowałem, gdyż nie odpowiadała mi praca w górnictwie, do której byłbym zobowiązany po otrzymaniu, jako absolwent, nakazu pracy. Był to mój drugi błąd (pierwszym była rezygnacja z nauki w Wałbrzychu). W końcowym okresie nauki, w trzeciej klasie gimnazjum, zjawiała się w naszej szkole grupa „werbowników” do szkół oficerskich. W tej grupie był oficer i dwóch podchorążych. Na ogólnym zebraniu uczniów naszej szkoły przedstawiono nam „światłą” przyszłość po ukończeniu szkoły oficerskiej. Ja zgłosiłem chęć nauki w Oficerskiej Szkole Artylerii. O artylerii wiele się dowiedziałem od starszego brata Władka, który w czasie wojny walczył w Pierwszej Brygadzie Artylerii Ciężkiej im. gen. Bema na froncie wschodnim. Po załatwieniu niezbędnych formalności w WKR w Gliwicach otrzymałem skierowanie do Oficerskiej Szkoły Artylerii Nr 2 w Olsztynie. Termin zgłoszenia do OSA Nr 2 wyznaczony był na 9 września 1950 r. Po wakacjach, które spędziłem u rodziców, udałem się do Olsztyna. Takich jak ja zgłosiło się w OSA 380 osób.

Oficerska Szkoła Artylerii w Olsztynie

Oficerską Szkołę Artylerii Nr 2 otwarto w 1949 roku. Była to druga tego typu szkoła, po toruńskiej Oficerskiej Szkole Artylerii Nr 1. Olsztyńska OSA kształciła oficerów w okresie dwuletnim, zaś starsza OSA w Toruniu była szkołą trzyletnią. OSA Nr 2 mieściła się w nowoczesnych, jak na owe czasy, koszarach poniemieckich. Budynki koszarowe posiadały trzy kondygnacje i były przewidziane na zakwaterowanie po jednym batalionie w każdym. Na każdej kondygnacji był korytarz, a po jego obu stronach pokoje do zakwaterowania po jednej drużynie oraz umywalnia z ceramicznymi korytami, nad którymi były rozmieszczone krany z zimną wodą. Ponadto znajdowały się tam pomieszczenia kancelaryjne i magazynowe. Na parterze każdego budynku koszarowego znajdowała się łazienka z prysznicami. Na korytarzach, przy każdym pokoju żołnierskim, była wnęka w ścianie z gniazdami na 10 karabinów. We wszystkich pokojach były podłogi z dębowego parkietu. Korytarze były wyłożone terakotą z poprzecznymi rowkami. Oprócz budynków koszarowych, znajdowały się bloki szkoleniowe, administracyjne i magazynowe oraz kasyno oficerskie i podoficerskie. Stołówka dla podchorążych mieściła się w parterowym budynku. Była też duża hala sportowa oraz garaże dla samochodów i dział. Cały kompleks koszarowy rozmieszczony był na obrzeżach Olsztyna, w dzielnicy

Kortowo, nad jeziorem o tej samej nazwie. Obok koszar mieściła się Wyższa Szkoła Rolnicza.



Rys. 6 Legitymacja podchorążego w OSA w latach 1950 - 1952

Po przybyciu do OSA zostaliśmy ostrzyżeni na „zero”, wykąpani w łaźni i umundurowani. Przybyłych chłopaków podzielono na działony, plutony, baterie i dywizjony. OSA składała się z trzech dywizjonów, w każdym po trzy baterie. W baterii były trzy plutony, w każdym po trzy działony. Mnie przydzielono do pierwszej baterii, pierwszego dywizjonu. Dowódcą mojej baterii w okresie rekruckim był por. Stukan a dowódcą plutonu ppor. Heigelman. Po sformowaniu pododdziałów rozpoczęło się intensywne szkolenie rekruckie oraz prace porządkowe na terenie koszar. Rozkład dnia był następujący: O godz. 6.00 pobudka, po czym wyprowadzano nas na poranną dwudziestominutową zaprawę (gimnastykę). Po powrocie z zaprawy odbywało się ścielenie łóżek, toaleta, apel i wymarsz na śniadanie. Po śniadaniu zapoznawano nas z najnowszymi wiadomościami prasowymi, po czym odbywały się szkolenia z musztry i regulaminów. Nie zaniedbywano też szkoleń politycznych. Obiad był o godz. 14.00 a po nim półgodzinne leżakowanie w łózkach. Po takim leżakowaniu trzeba było zasłać łóżka, doprowadzając je do stanu pierwotnego. Następnie wyprowadzano nas do prac porządkowych na terenie koszar. Gdy już cały teren koszar był uporządkowany, zatrudniano nas do wydłubywania trawy rosnącej między kostkami brukowymi na wewnętrznych drogach koszarowych. Była to praca nikomu nie/potrzebna, ale dawała zajęcie. Trzymano się pruskiej zasady, że rekrut nie może mieć czasu wolnego. Kolacja była o godz. 19.00, po czym tzw. czas wolny, który trwał 30 minut. W tym czasie można było pisać listy do rodzin. Następnie była praca świetlicowa, w czasie której najczęściej się drzemało. Capstrzyk był o godz. 23.00. W okresie rekruckim spaliliśmy na łózkach piętrowych. Pidżam nie było. Spało się w samych

koszulach. Całość umundurowania układana była na taboretach, w kostkach o wymiarach 40x40 cm. Wyczyszczone buty ustawiane były na baczność, przy taboretach. Buty były okute podkówkami na obcasach i gwoździami z główkami na podeszwach. Cały spód butów musiał być dokładnie oczyszczony i wypastowany. O godz. 23.00 gaszono światła. Między godz. 23.00 i 24.00 często bywały kontrole porządku w sypialniach. Kontrolujący oficer sprawdzał wymiary kostek umundurowania ułożonego na taboretach, osady kurzu na drzwiach, czystość podłogi, itp. Następnie sprawdzał czystość nóg. Na komendę podnosiło się do góry odsłonięte nogi. Zawsze znaleziono rzekomo brudne stopy. Niewymiarowe kostki umundurowania rozrzucone były po podłodze. Wszyscy, którzy mieli rozrzucone kostki lub brudne stopy musieli, na komendę, wstać. Nierównoczesne wstawanie trzeba było powtarzać, w ciągu dwóch minut należało ponownie ułożyć mundur lub umyć „brudne” nogi. Brało się wtedy buty do ręki i biegło do umywalni, gdzie po umyciu, a raczej zamoczeniu nóg, nakładało się buty na nogi i biegiem wracało do sali. Kto nie zdążył musiał cały tryb powtarzać. Po ułożeniu się w łóżku, kontrolowano czystość podeszew butów. Na mokrej posadzce w umywalni podeszwy się zamoczyły, co było powodem kolejnego wstawania celem oczyszczenia butów. Czasami takie kontrole trwały do pierwszej w nocy. Było to zwykle dręczenie ludzi. Po pewnym czasie zabroniono kontroli dłuższych niż pół godziny. Okres szkolenia rekruckiego trwał do końca września. W tym czasie przygotowywano nas do złożenia wojskowej przysięgi. Pod koniec września wydano nam, na uroczystej zbiórce, broń (karabiny). Broń wręczał dowódca baterii. Następnie wydano nam wyjściowe umundurowanie



Rys. 7 Autor w mundurze podchorążego w 1951 roku

należne podchorążym. W skład takiego umundurowania wchodziły: kurtka sukienna z obszytymi pagonami a na nich odznaki podchorążego, granatowe spodnie z czerwonymi lampasami, bukatowe trzewiki (kamasze) i garnizonowa czapka z okutym daszkiem. 30 września 1950 roku odbyła się przysięga. Przed przysięgą przeniesiono nas do budynków dla podchorążych. Sale były ośmioosobowe z parterowymi łózkami. Przy każdym łóżku był taboret i nocna szafka. Ubranie wyjściowe zmagazynowane było na wieszakach w specjalnym pomieszczeniu. Po przysiędze odczytano rozkaz o mianowaniu na stopień

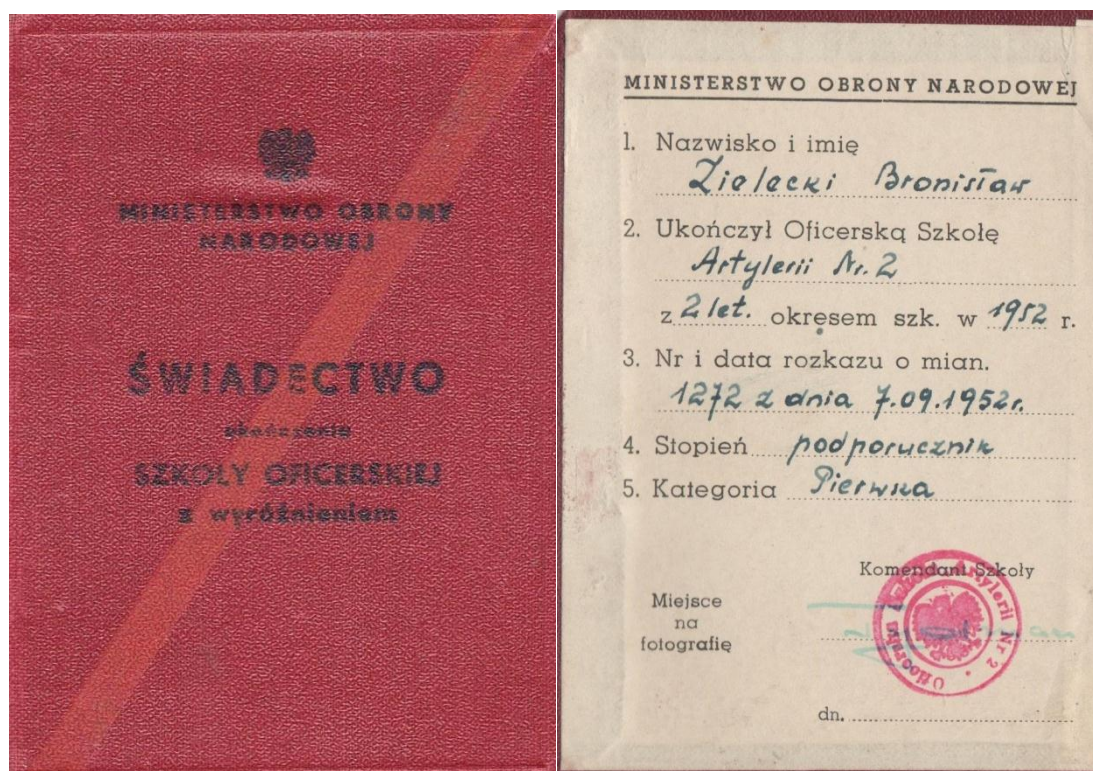
podchorążego. Od 1 października rozpoczął się okres szkolenia według programu przygotowującego nas na przyszłych oficerów. W dni powszednie rozkład czynności do śniadania był taki sam jak w okresie rekruckim. Dzień szkoleniowy rozpoczynał się o godzinie ósmej i trwał osiem godzin lekcyjnych. Godzina lekcyjna trwała 45 minut, z przerwami na przemian po 5 i 15 minut. Po czwartej lekcji przerwa trwała 20 minut i w tym czasie spożywaliśmy, w swoich pokojach, drugie śniadanie składające się z białego pieczywa i kawałka kielbasy. Pozostałe posiłki spożywaliśmy w stołówce przy sześciuosobowych stołach nakrytych białymi obrusami. Posiłki podawały kelnerki. Należy tu stwierdzić, że posiłki były smaczne i kaloryczne. W czasie przerw zmienialiśmy sale wykładowe, które często znajdowały się w różnych budynkach. Sale były dość dobrze wyposażone w różne eksponaty. Część przedmiotów prowadzona była w terenie lub na strzelnicy. Nauczano łącznie 19 przedmiotów. Głównymi były: teoria strzelań artyleryjskich, terenoznawstwo, budowa różnych typów dział i sprzętu optycznego oraz łączność kablowa i radiowa. W połowie pierwszego roku zmieniono czas trwania lekcji na 50 minut, z przerwami dziesięciominutowymi. Każda lekcja w takim układzie rozpoczynała się o pełnej godzinie. Na drugim roku nauki przywrócono „stary” układ lekcyjny. Po nauce wracaliśmy do swoich pokoi, zostawialiśmy swoje przybory szkolne, myliśmy ręce i udawaliśmy się na obiad. Po obiedzie obowiązywało półgodzinne leżakowanie. Na czas leżakowania zdejmowało się buty i kurtkę. Początkowo, ten punkt rozkładu dnia był dla nas uciążliwy, gdyż po leżakowaniu trzeba było zasłać łóżko zgodnie z wymogami porządku wojskowego. Po kilku tygodniach jednak przyzwyczailiśmy się i bardzo szybko w tym czasie zasypialiśmy. Po pobudce i słaniu łóżek pobieraliśmy z magazynu broń osobistą i w specjalnej sali odbywało się jej czyszczenie. W dniach, w których broni nie używało się do szkolenia czyszczenie jej było zwykłą fikcją i nikt tej czynności nie wykonywał. Następnie był czas wolny. Na ogół w tym czasie pisało się listy do rodzin. Następnie odbywała się nauka własna - czas na odrobienie zadań poleconych przez wykładowców. Po nauce własnej wychodziliśmy na kolację a następnie odbywała się tzw. praca świetlicowa. Można było w tym czasie poczytać książki, które były dostępne w świetlicy, zabawiać się grą w szachy lub w warcaby. Niektórzy podchorążowie wykorzystywali ten czas na naukę. Pewnego razu, przeglądając zbiór książek bibliotecznych, natrafiłem na broszurę opisującą bitwę „Cudu nad Wisłą” wraz z odpowiednimi schematami tej bitwy. Książkę tę przeczytałem przy osobnym stoliku, tak aby nikt nie widział jej tytułu. Był to przypadek dość osobliwy, jeśli się zważy, w jakim czasie i w jakim miejscu ta broszura się znalazła. Po jej przeczytaniu (oczywiście bez

świadków), włożyłem ją na poprzednie miejsce i nikomu o tym zdarzeniu nie opowiedziałem. Przypuszczam, że broszurę tę ktoś położył na półkę nielegalnie. W tym miejscu pragnę nadmienić, że w kwietniu 1952 roku, został zlikwidowany przedmiot „łączność specjalna”, w ramach którego uczono nas szyfrowania i rozszyfrowywania treści nadawanych i odbieranych tajnymi kodami. Przedmiotu tego uczył przedwojenny oficer w stopniu podpułkownika. Cichaczem mówiono, że został on aresztowany. Razem z nim aresztowano także wykładowcę łączności kablowej. Był też przypadek „zniknięcia” jednego podchorążego z mojego plutonu. Został on wywołany ze świetlicy przez dyżurnego baterii. Po powrocie z pracy świetlicowej, na jego łóżku zastaliśmy już tylko siennik. Co się z nim stało - nikt nas nie powiadomił. Był to chłopak z Warszawy. Opowiadał nam, że w jego kamienicy, na Pradze mieszkała przed wojną i w czasie wojny, siostra marszałka Rokossowskiego. Po zdobyciu Pragi przez Wojsko Polskie, Rokossowski odwiedził swoją siostrę. Tajemniczych „zaginięć” podchorążych w naszej szkole było więcej. Wracając do naszego rozkładu dnia, po tzw. pracy świetlicowej i wieczornej toalecie, punktualnie o godzinie 23.00 ogłaszano capstrzyk. Pobudka była o godzinie szóstej. Dowódcy działonów (wyznaczeni podchorążowie) byli budzeni piętnaście minut wcześniej. W soboty szkolenie trwało sześć godzin lekcyjnych. Po zajęciach, w godzinach popołudniowych odbywały się prace porządkowe w obrębie zakwaterowania. Czyszczono i pastowano parkietowe podłogi, myto okna oraz czyszczono korytarz. Terakotę na korytarzu polewano wodą a następnie wysypywano na nią trociny. Każdy podchorąży miał wyznaczoną odpowiednią powierzchnię do czyszczenia. Wysypanymi trocinami szorowało się terakotę wzdłuż rowków, aż do uzyskania pierwotnego koloru. Była to najbardziej uciążliwa praca. Jedna sobota w miesiącu była przeznaczona jako dzień gospodarczy. W tym dniu czyszczono i konserwowano działa i inny sprzęt artyleryjski. Niedziele i święta były dniami wolnymi i wtedy można było wychodzić na przepustki.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1950 roku. Żadnych urlopów nie było. Kolacja wigilijna była nieco obfitsza niż zazwyczaj. Dano nam nawet po sto gram czystej wódki. Kolęd nikt nie śpiewał. Dwa dni świąteczne były wolne od zajęć. Na święta Wielkanocne 1951 roku otrzymaliśmy tygodniowy urlop. Spędziłem go u rodziców w rodzinnym Uluczu. W lipcu tego roku cała szkoła wyjechała na poligon artyleryjski, który znajdował się koło Torunia. Tam odbyły się ostre strzelania z różnych typów dział (45, 57 i 76 mm) do celów stałych i ruchomych (atrapy czołgów). Ja osobiście strzelałem, jako celowniczy, z działa kalibru 45 mm do tarczy i z działa kalibru 76 mm do celu ruchomego. Oprócz

tego, podchorążowie naszego - młodszego rocznika obsługiwali działa w czasie strzelań z zakrytych stanowisk ogniowych. Były to strzelania promocyjne (egzaminacyjne) prowadzone przez podchorążych starszego rocznika, do celów stałych wskazanych przez egzaminatora. Mnie ponownie przypadło obsługiwanie działa jako celowniczy. W czasie jednego dnia oddałem 75 strzałów z armaty 76 mm. W czasie tego strzelania utraciłem częściowo słuch. Niektórym z podchorążych obsługujących działa zaczęła się sączyć krew z uszu. Przed ostrymi dźwiękami dział 76 mm nie było żadnego zabezpieczenia, nawet waty do zatkania uszu. Po zakończeniu pierwszego roku szkolenia otrzymaliśmy miesiąc urlopu (wrzesień), który spędziłem u rodziców, pomagając ojcu w pracach polowych.

Tok szkolenia na drugim roku był podobny do pierwszego. W czasie nauki, już na pierwszym roku, zaczęto organizować ruch współzawodnictwa w nauce. Ponieważ otrzymywałem bardzo dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów, nadano mi tytuł pierwszego przodownika nauki w pierwszej baterii podchorążych. Oprócz akcji przodownictwa w nauce, organizowano pomoc w nauce słabszym kolegom. Oczywiście, brałem w tej akcji czynny udział. Pisano o mnie artykuły w prasie wojskowej. Do moich rodziców wysłano pismo z podziękowaniem za dobre wychowanie. Jesienią 1951 roku, podczas akcji sprawozdawczo-wyborczej, wybrano mnie na przewodniczącego dywizjonowej organizacji ZMP (dziewięć kół). Spełnianie nałożonych na mnie różnych, dodatkowych obowiązków, wymagało czasu i wysiłku. Ponadto wyznaczono mnie na dowódcę działonu podchorążych. Awansowałem na bombardiera (starszy szeregowy), a następnie na kaprała (w tym czasie był to najwyższy stopień wojskowy nadawany podchorążym). W lipcu 1952 roku wytypowano mnie do grupy przodowników nauki, która wzięła udział, 22 lipca, w Zlocie Młodych Przodowników Pracy i Nauki w Warszawie. Tu, na Placu Zwycięstwa, spotkałem mojego młodszego brata Alka, który przybył na Zlot jako przodownik w nauce w liceum sanockim. Po powrocie ze zlotu wyjechałem z całą szkołą na poligon artyleryjski w Orzyszu. W sierpniu tego roku wykonałem promocyjne, ostre strzelanie z armaty 76 mm do celu wskazanego przez egzaminatora. W czasie tego strzelania, aby trafić w cel, zużyłem o jeden pocisk za dużo i otrzymałem ocenę „dobrze”. Była to jedyna taka ocena na moim świadectwie ukończenia OSA Nr 2 - z pozostałych przedmiotów miałem piątki.



Rys. 8 Świadectwo ukończenia Oficerskiej Szkoły Artylerii Nr 2 w Olsztynie

Pod koniec sierpnia 1952 roku odbyła się uroczysta promocja na pierwszy stopień oficerski. Na promocję przyjechali mój starszy brat z żoną Bronką oraz szwagier Michał, mąż siostry Pauliny. Po odczytaniu rozkazu, rozdano nam świadectwa ukończenia OSA. Ja otrzymałem świadectwo z wyróżnieniem. Następnie odbyła się defilada przed przełożonymi i przybyłymi rodzinami, po czym wydano uroczysty obiad dla nowo mianowanych oficerów i ich rodzin. Wieczorem odbyła się zabawa taneczna w hali sportowej. Noclegi dla gości zorganizowano w namiotach, a posiłki wydawano bezpłatnie w specjalnie zorganizowanej stołówce. Następnego dnia otrzymałem pierwszą pensję oraz niezbędne dokumenty podróży i, po spakowaniu otrzymanych sortów mundurowych, udałem się wraz z rodziną na miesięczny urlop, który spędziłem w Uluczu u rodziców. Oficerowie, którzy ukończyli szkołę z wyróżnieniem mieli prawo wyboru jednostki wojskowej do dalszej służby. Wybrałem 23 Kołobrzeski Pułk Artylerii Lekkiej w Bielsku-Białej. Po urlopie udałem się do wybranej jednostki. Do Bielska-Białej przyjechałem rano i tramwajem pojechałem do miejsca przeznaczenia. Razem ze mną przybyło do 23 pal jeszcze czterech młodych oficerów - dwóch artylerzystów i dwóch oficerów z poznańskiej szkoły kwatermistrzowskiej (mundurowiec i kwaterunkowy). Wartownik w bramie skierował nas do oficera dyżurnego pułku. Tam zostawiliśmy swoje bagaże i poszliśmy na śniadanie do kasyna oficerskiego. Po posiłku oczekiwaliśmy na dowódcę pułku. Po jego

przybyciu, oficer dyżurny zameldował o naszym przybyciu. Po godzinie zostaliśmy zaproszeni do gabinetu dowódcy. Tu czekali na nas nasi przyszli przełożeni. Wszyscy trzej artylerzyści zostaliśmy przydzieleni do dywizjonu szkolnego, w którym szkolono podoficerów do służby w artylerii dla całej 29 dywizji piechoty.

Służba w 23 Kołobrzeskim Pułku Artylerii Lekkiej w Bielsku-Białej

Dywizjon szkolny składał się z sześciu samodzielnych plutonów. Ja zostałem wyznaczony na dowódcę pierwszego plutonu, w którym szkoleni byli zwiadowcy i topografowie. Aktualny dowódca tego plutonu był w tym czasie na urlopie a zastępował go jego zastępca w stopniu plutonowego. Przed frontem plutonu przedstawił mnie dowódca dywizjonu. Formalnie przejąłem pluton po powrocie mojego poprzednika, który odchodził na stanowisko dowódcy baterii. Zastępca dowódcy plutonu odszedł wkrótce do cywila. Mnie już zastępcy nie przydzielono. Pluton składał się z dwóch drużyn zwiadowców, po czternastu elewów oraz drużyny topografów w składzie dziesięciu, elewów. Na dowódców drużyn przydzielono mi trzech kaprali z poprzedniego turnusu szkoły podoficerskiej. Wszyscy podoficerowie posiadali średnie wykształcenie. W toku dalszej z nimi współpracy, okazali się świetnie wyszkolonymi podoficerami i wychowawcami. Zнали oni dobrze swoje rzemiosło, zatem następny turnus szkolonych elewów miał doskonałych przełożonych.

Pułk w którym rozpoczynałem pracę składał się z dywizjonu haubic 122 mm, dywizjonu armat 76 mm, dywizjonu szkolnego (szkoła podoficerska) oraz samodzielnej baterii dowodzenia. Oficjalna nazwa pułku to 23 Kołobrzeski Pułk Artylerii Lekkiej. Pułk ten, w składzie 6 Pomorskiej Dywizji Piechoty, brał udział w zdobywaniu Wału Pomorskiego, Kołobrzegu, forsował Odrę i dotarł w 1945 roku do Łaby. Oficerowie, od dowódcy dywizjonu do dowódcy pułku, byli żołnierzami frontowymi. Pułk był odznaczony wysokimi orderami bojowymi. Za ciężkie walki w zdobywaniu Kołobrzegu otrzymał miano „Kołobrzeski”. Po kilku dniach od mojego przybycia, dowództwo jednostki zorganizowało uroczyste przedstawienie przybyłych młodych oficerów całej kadrze zawodowej. Nowoprzybyłych przedstawił, w sali odpraw, szef sztabu pułku. Po naszej prezentacji zaproszono wszystkich zebranych do kasyna na wspólną kolację. Muszę przyznać, że kwatermistrz pułku stanął na wysokości zadania. Na nakrytych białymi obrusami stołach stały pięknie przygotowane posiłki z wszelkiego rodzaju jadłem oraz różne napoje chłodzące i alkohol. Ja, w imieniu przybyłych do pułku młodych oficerów,

podziękowałem za tak miłe przyjęcie oraz wyraziłem przekonanie, że w dalszej służbie nie zawiedziemy swoich przełożonych, w wykonywaniu nałożonych na nas obowiązków. W tak miłej atmosferze spędziliśmy kilka godzin. Nas, trzech artylerzystów, zakwaterowano w lokalu, który składał się z pokoju i kuchni bez łazienki. Sanitariaty mieściły się w oddzielnym pomieszczeniu, do użytku przez wszystkich lokatorów mieszkających na piętrze. Meble otrzymaliśmy z magazynu kwaterunkowego pułku. Była to kwatera tymczasowa. Na normalne zakwaterowanie proponowano nam, każdemu oddzielnie, pokoje przy rodzinach cywilnych w różnych częściach miasta. Były to pokoje w dyspozycji zarządu kwaterunkowego, jako nadmetraż. Takiego krępującego pokoju nie przyjąłem i mieszkalem nadal, z dwoma kolegami, w tymczasowym lokalu. Po pół roku jeden z kolegów został przeniesiony do innego garnizonu i w ten sposób w lokalu zostaliśmy we dwóch. Całodzienne wyżywienie miałem zapewnione w kasynie oficerskim. W drugiej połowie października 1952 roku, wszystkich elewów szkoły podoficerskiej awansowano do stopnia kaprała i rozesłano do macierzystych jednostek wojskowych. Jak już wcześniej wspomniałem, szkoła nasza szkoliła podoficerów dla artylerii całej 29 dywizji piechoty. Po przeszkoleniu rekruckim, poszczególne jednostki kierowały do naszej szkoły swoich żołnierzy, a po jej ukończeniu z powrotem ich zabierano. Pod koniec października przybyła nowa grupa elewów. Poszczególne plutony szkolne szkoliły zwiadowców, topografów, łącznościowców przewodowych i radiowych, artylerzystów dział różnych kalibrów (122, 76 i 45 mm) oraz moździerzystów.

Mój pierwszy pluton został, do końca października, całkowicie skompletowany. Od 1 listopada rozpoczął się dla naszej szkoły, nowy rok szkolny. Na każdy tydzień trzeba było opracować rozkład zajęć, według szczegółowego rocznego programu. W wytycznych do tego programu wymagano, aby np. po zajęciach polowych nie planować musztry lub wychowania fizycznego, i odwrotnie. Niekiedy było to niemożliwe do zrealizowania. Zajęcia polityczne musiały być planowane w każdy poniedziałek, środę i piątek na pierwszych dwóch lekcjach. Zajęcia te prowadziłem osobiście. Tematy z przedmiotów wojskowych prowadziłem ja lub moi podoficerowie. W każdym dniu tygodnia było osiem lub siedem lekcji. W sobotę szkolenie trwało sześć godzin. Jedna sobota w miesiącu przeznaczona była na dzień gospodarczy. W dniu tym, pod nadzorem szefa dywizjonu i dowódców drużyn, wykonywane były prace porządkowe a oficerowie mieli szkolenie na szczeblu dywizjonu. Pewnego dnia przeprowadzono w godzinach wieczornych, w każdym plutonie szkolnym, kontrolę rozkładów zajęć. Kontrolę przeprowadzali oficerowie

ze sztabu dywizji. Dowódców plutonów ściągnięto do sztabu dywizjonu. Tu, nad naszymi rozkładami zajęć pastwili się kontrolerzy. W moim rozkładzie zajęć dopatrzyli się szeregu niedociągnięć. Znalezione, następujące po sobie zajęcia z musztry i WF. Stwierdzono, że niektóre zajęcia, zamiast podoficerów powinienem prowadzić osobiście, przy czym nie zauważono, że w tym czasie miałem planowane zajęcia z trudniejszych przedmiotów. Cały mój rozkład zajęć został pomazany czerwonym ołówkiem i, jak stwierdzono, nadaje się do wyrzucenia. Nakazano do rana opracować nowy rozkład zajęć. Posadziłem więc „pisarza” i kazałem mu przepisać pokreślony rozkład na nowym arkuszu, bez żadnych poprawek. Na drugi dzień, kontrolujący stwierdził, że teraz rozkład zajęć jest prawidłowo opracowany. Największe trudności sprawiały zajęcia ze szkolenia fizycznego. Obowiązywały w tym czasie zestawy ćwiczeń numerowane od 1 do 10, Do następnego zestawu można było przejść po opanowaniu przez elewów poprzedniego zestawu. Dla przykładu, zestaw nr 1 obejmował: podciąganie się na drążku (3 razy), uginanie ramion na końcach poręczy (3 razy) oraz skok przez krótkiego „konia”. To, co zobaczyłem na pierwszych zajęciach z WF postawiło mnie w stan osłupienia. Tylko pięciu elewów potrafiło wykonać pierwsze ćwiczenie. Młodzi ludzie wisieli na drążku jak flaki. Nawet małego „konia” połowa plutonu nie potrafiła przeskoczyć. Systematyczne ćwiczenia (nie tylko podczas lekcji) doprowadziły do tego, że już po dwóch miesiącach był wyraźny postęp, z czego i ja i moi elewi byliśmy bardzo zadowoleni. Jeszcze podczas mojego pobytu w OSA, któryś z przedwojennych oficerów tej szkoły namawiał nas, podchorążych, aby w przyszłej służbie szczególną uwagę zwrócić na szkolenie fizyczne, wychowanie patriotyczne oraz dyscyplinę. Powiadał, że jeśli to będzie dobrze opanowane, z pozostałymi przedmiotami nie będzie problemu. Dobre rady doświadczonego oficera starałem się stosować w swojej pracy z podległymi żołnierzami. Po kilku miesiącach, mój pluton był wyróżniającym się pododdziałem w pułku. Jako dobrze prezentujący się pododdział, został wyznaczony na pluton sztandarowy pułku. Pluton sztandarowy to



Rys. 9 Autor w mundurze służbowym w czasie służby w 23 Kołobrzesckim Pułku Artylerii Lekkiej w Bielsku-Białej

Na drugi dzień, kontrolujący stwierdził, że teraz rozkład zajęć jest prawidłowo opracowany. Największe trudności sprawiały zajęcia ze szkolenia fizycznego. Obowiązywały w tym czasie zestawy ćwiczeń numerowane od 1 do 10, Do następnego zestawu można było przejść po opanowaniu przez elewów poprzedniego zestawu. Dla przykładu, zestaw nr 1 obejmował: podciąganie się na drążku (3 razy), uginanie ramion na końcach poręczy (3 razy) oraz skok przez krótkiego „konia”. To, co zobaczyłem na pierwszych zajęciach z WF postawiło mnie w stan osłupienia. Tylko pięciu elewów potrafiło wykonać pierwsze ćwiczenie. Młodzi ludzie wisieli na drążku jak flaki. Nawet małego „konia” połowa plutonu nie potrafiła przeskoczyć. Systematyczne ćwiczenia (nie tylko podczas lekcji) doprowadziły do tego, że już po dwóch miesiącach był wyraźny postęp, z czego i ja i moi elewi byliśmy bardzo zadowoleni. Jeszcze podczas mojego pobytu w OSA, któryś z przedwojennych oficerów tej szkoły namawiał nas, podchorążych, aby w przyszłej służbie szczególną uwagę zwrócić na szkolenie fizyczne, wychowanie patriotyczne oraz dyscyplinę. Powiadał, że jeśli to będzie dobrze opanowane, z pozostałymi przedmiotami nie będzie problemu. Dobre rady doświadczonego oficera starałem się stosować w swojej pracy z podległymi żołnierzami. Po kilku miesiącach, mój pluton był wyróżniającym się pododdziałem w pułku. Jako dobrze prezentujący się pododdział, został wyznaczony na pluton sztandarowy pułku. Pluton sztandarowy to

pododdział, który asystuje przy wyprowadzaniu sztandaru na plac zbiórki pułku podczas różnych uroczystości wojskowych oraz maszeruje za pocztem sztandarowym podczas defilady. Mnie też uważano za wyróżniającego się oficera. Z okazji Nowego Roku 1953 otrzymałem od dowódcy 29 dywizji nagrodę pieniężną. Po roku pracy awansowano mnie do stopnia porucznika. Wzbudziło to zawiść innych oficerów, co nie ułatwiało mi życia w pułku.

Pod koniec kwietnia 1953 roku, pułk przygotowywał się do wyjazdu na poligon. Mnie wyznaczono na zastępcę komendanta transportu kolejowego (czarna robota). Do moich obowiązków należał nadzór nad załadunkiem, na wagony kolejowe, pojazdów mechanicznych, dział i innego sprzętu wojskowego oraz ich zamocowanie. W pierwszym wagonie krytym rozlokowany był sztab pułku oraz komendant transportu z zastępcą. W drugim, mieściła się wartownia z pododdziałem wartowniczym. Posterunki rozmieszczone były przy maszyniście w lokomotywie, na wagonach z działami, cysternami paliwa oraz w ostatnim wagonie. Wszystkie posterunki miały łączność telefoniczną z wartownią. Telefony zainstalowane były także w sztabie i u dowódców dywizjonów. Tak przygotowany pociąg ruszył drugiego maja do stacji docelowej Dęba-Rozalin. Na tym skończyła się moja funkcja zastępcy komendanta transportu - pod moją opieką był mój pluton szkolny. Po oczyszczeniu wagonów, przekazałem protokolarnie cały pociąg władzom kolejowym. Od tej pory zajmowałem się tylko swoim plutonem. Cały pułk rozlokował się na przygotowanym wcześniej obozowisku w lesie, w pobliżu poligonu artyleryjskiego. Mój pluton otrzymał do zakwaterowania dwa dwudziestoosobowe namioty. Oficerów zakwaterowano w barakach. Po zorganizowaniu podstawowych warunków do bytowania żołnierzy, przystąpiono do szkolenia elewów w warunkach polowych. Szkolenie trwało do 6 października. Tu, na poligonie obarczono mnie dodatkowymi obowiązkami. Ponieważ dowódca pierwszej baterii haubic pozostał w garnizonie, baterią na poligonie dowodził jeden z dowódców plutonu tej baterii. Na ostre strzelania artyleryjskie jednak wyznaczono mnie, jako dowódcę baterii. Było to coś nienormalnego. Baterię do wymarszu przygotowywał dowódca etatowy a ja przychodziłem przed front ustawionej baterii i przyjmowałem meldunek, o gotowości baterii do wykonania zadania. Był to oficer o dwa lata starszy stażem ode mnie i mógł wykonać zadanie sam. Dowództwo pułku jednak zdecydowało inaczej. Okazało się, że strzelanie, które mam wykonać, będą obserwowali oficerowie artylerii całego korpusu. Wyznaczono mi strzelanie tzw. „pod dużym kątem”, które uznawane było w artylerii za jedno

z trudniejszych. Zadanie wykonałem na ocenę „dobrze”. Ze szkoleniem mojego plutonu nie miałem żadnych problemów.

Po powrocie z poligonu, odbyła się defilada pułku przed dowództwem dywizji oraz notablami władz Bielska-Białej. Pułk defilował na pojazdach mechanicznych wraz z działami. W godzinach popołudniowych odbył się, w sali teatru bielskiego, koncert artystyczny na cześć powracających z poligonu żołnierzy. W koncercie wystąpił zespół artystyczny „Beskidy”. Jedną z piosenek dedykowano mojej osobie. Przed występami artystycznymi wręczono oficerom pułku nagrody rzeczowe „od społeczeństwa” miasta. Ja otrzymałem radioodbiornik „Pionier”. Radia w tym czasie można było kupić tylko na talony. Po tych uroczystościach rozpoczęła się praca w koszarach. Przygotowywałem swój pluton do egzaminów końcowych, które pluton zdał na ogólną ocenę „bardzo dobrze”. Większość elewów mojego plutonu otrzymało awanse na stopień kaprała. Po egzaminie nastąpiło rozwiązanie plutonu. Dowódcy drużyn odeszli do cywila, a mianowani podoficerowie zostali przydzieleni do innych pododdziałów w naszym pułku i w innych jednostkach dywizji. Najzdolniejszych trzech podoficerów pozostawiłem w plutonie, jako przyszłych dowódców drużyn.

Z jesienno-poborowego sformowałem nowy pluton szkolny, ale już go nie szkoliłem. Przekazałem go nowemu dowódcy, który przybył ze szkoły oficerskiej. Mnie wyznaczono na dowódcę skadrowanej baterii haubic 122 mm w rodzimym pułku. W baterii takiej stan osobowy był zmniejszony. Oprócz dowódcy baterii, było dwóch dowódców plutonów, szef baterii oraz dowódcy drużyn i działonów z dwoma kanonierami w każdej drużynie i działonie. Do konserwacji pojazdów mechanicznych był jeden kierowca. Bateria składała się w owym czasie z plutonu dowodzenia i dwóch plutonów ogniowych. W skład plutonu dowodzenia wchodziły: drużyna zwiadowców, drużyna topografów, drużyna łączności kablowej i drużyna łączności radiowej. Plutony ogniowe składały się z dwóch działonów każdy. Dla oficerów takiej baterii, pracy z żołnierzami było niewiele, stąd też obarczano nas innymi obowiązkami.

Jesienią 1953 roku został zorganizowany w pułku kurs kierowców samochodowych dla całej 29 dywizji piechoty. Wszystkich żołnierzy kursu zakwaterowano w obu skadrowanych bateriach pierwszego dywizjonu. Na dowódcę kursu wyznaczono mnie. Uczestników kursu (90 żołnierzy) podzielono na trzy plutony a na ich dowódców wyznaczono oficerów z baterii skadrowanych. Szkolenie liniowe prowadzili moi dowódcy

plutonów, zaś szkolenie specjalistyczne - oficerowie i podoficerowie służby samochodowej. Zimą 1953/54 podporządkowano mi sporą grupę sportowców wojskowych, biorących udział w zawodach narciarskich w pobliskim Szczyrku. Trzeciego maja 1954 roku nastąpił wyjazd pułku na poligon znajdujący się niedaleko miasta Końskie. Latem uzupełniono skadrowane baterie rezerwistami powołanymi do wojska na dwa miesiące. Byli to ludzie w różnym wieku, nawet czterdziestolatkowie. Szkolenie takiej zbieraniny było niemałym wyczynem. Poziom obycia tych ludzi był wprost katastrofalny. O tym, czego ich nauczono w czasie służby zasadniczej dawno już zapomnieli. Podstawowego rzemiosła artyleryjskiego trzeba ich było uczyć od zera. Nawet strzelanie z broni ręcznej sprawiało im duże trudności. Po dwumiesięcznym szkoleniu odbyła się inspekcja, prowadzona przez oficerów ze sztabu dywizji. Najwięcej wyżywali się na rezerwistach oficerowie polityczni. Pamiętam, jak w czasie egzaminowania żołnierzy jednego z moich plutonów, egzaminator zapytał rezerwistę, kim jest osoba na portrecie wiszącym na ścianie świetlicy. Który? - spytał rezerwista - ten z wąsami? Chodziło oczywiście o prezydenta Bieruta. Po potwierdzeniu, że o niego chodzi, rezerwista odpowiedział, że jest to Stalin. Wybuchła z tego afera. Oficerowie wydziału politycznego pułku stwierdzili, że to ja niczego rezerwistów nie nauczyłem. Zapowiedzieli, że po powrocie do koszar, pomogą mi w szkoleniu politycznym moich podwładnych. Nie orientowali się nawet, że rezerwiści zostaną zwolnieni z wojska przed wyjazdem pułku z poligonu. W końcu września odbyłem jeszcze ostre strzelanie baterią do celów stałych. W pierwszych dniach października pułk powrócił do Bielska-Białej. Po dwóch tygodniach zostałem wyznaczony na stanowisko dowódcy pierwszej baterii, która miała pełny skład etatowy: pięciu oficerów, dziesięciu podoficerów i pięćdziesięciu siedmiu kanonierów (szeregowych). Dowodzenie taką baterią nie sprawiało mi żadnych trudności. Trochę kłopotów miałem z szefem baterii, który był podoficerem zawodowym w stopniu plutonowego. Nie podobał mi się jego styl pracy, a szczególnie bałagan w gospodarce materiałowej. Postanowiłem sprawdzić ilościowo stan materiałowy. Stwierdziłem poważne braki mundurów, bielizny i sprzętu technicznego. Na pytanie, co się z tymi rzeczami stało, nie umiał odpowiedzieć. Sprawa była poważna. W razie kontroli zewnętrznej, odpowiedzialność finansową ponosiłem ja i szef baterii. Przy stwierdzeniu braków przez dowódcę baterii, odpowiedzialność spadała wyłącznie na szefa baterii. Trzeba było tę sprawę jakoś załatwić. W pierwszej kolejności udałem się do szefa służby mundurowej, z którym się przyjaźniłem. Bieliznę osobistą i pościelową obiecał uzupełnić ze swoich nadwyżek. Gorzej było z brakami płaszczy i mundurów sukiennych. Część obiecał mi

uzupełnić z zapasów magazynowych, pozostałość musiał uzupełnić szef baterii. Narzędzia do prac ziemnych uzupełniłem z nadwyżek u innych dowódców baterii. Z moich prywatnych dochodzeń dowiedziałem się, że żona szefa baterii wymuszała od męża dodatkowe pieniądze. Chcąc zaspokoić żądania żony, sprzedawał paserom kradzioną bieliznę i umundurowanie. Trzeba było jak najszybciej pozbyć się takiego szefa. Za zgodą dowództwa, na stanowisko szefa baterii wyznaczyłem obrotnego podoficera służby zasadniczej. Ten zaprowadził ład i porządek na swoim gospodarstwie. Na koniec opisu tej sprawy podam, że według wojskowego cennika jeden płaszcz sukienny szeregowca w owym czasie kosztował 600 zł, a moja pensja wynosiła 480 zł. Samych płaszczy brakowało sześć, nie mówiąc już o mundurach i bieliźnie. Szkoleniem pododdziałów baterii zajmowali się dowódcy plutonów, których w baterii było trzech. Etat przewidywał stanowisko zastępcy dowódcy baterii do spraw politycznych, ale mnie takiego zastępcy nie przydzielono. W związku z tym zajęcia polityczne z żołnierzami baterii prowadziłem osobiście (sześć godzin w tygodniu). Ponadto prowadziłem szkolenie dowódców plutonów z całego dywizjonu. Z dowódcami baterii zajęcia prowadził dowódca dywizjonu lub jego szef sztabu.

Po rozpoczęciu pracy w pułku zacząłem sobie zdawać sprawę, że z moim wykształceniem (3 klasy gimnazjum) nie będę mógł zajmować wyższych stanowisk w wojsku. Sztab dywizji zorganizował w Bielsku-Białej, dla oficerów nie posiadających średniego wykształcenia, specjalną klasę w liceum ogólnokształcącym. Były to wieczorowe wykłady w zakresie X i XI klasy. Rozpocząłem ten kurs w roku szkolnym 1953/54. Nauka trwała od listopada do połowy kwietnia. W mojej klasie rozpoczęło naukę 23 oficerów z całego garnizonu. Warunki do nauki były dość trudne. Po całodzienniej pracy w pułku udawałem się do szkoły. Po skończeniu zajęć sam przygotowywałem sobie kolację (kasyno było już nieczynne), a po niej odrabiałem tzw. pracę domową, w tym czytanie lektur. Często praca ta trwała do trzeciej nad ranem. Część uczniów mojej klasy nie podołała takim warunkom i po prostu rezygnowała ze szkoły. Niektórzy rezygnowali tylko dlatego, że nie mieli ochoty na doksztalcenie. Do końca X klasy dotrwało ośmiu oficerów. W połowie roku szkolnego w klasie XI pozostało nas tylko trzech. Szczególnymi leniami byli oficerowie polityczni. Było mi niekiedy wstyd za poziom ich odpowiedzi na pytania wykładowców. W jednostkach wojskowych nie byli oni szczególnie obciążeni pracą. Oficerowie liniowi uważali ich za zwykłych nierobów. Dla przykładu, do X klasy uczęszczał kierownik biblioteki pułkowej. W bibliotece prawie nic nie robił, a ze

znajomości lektur otrzymywał oceny niedostateczne. Takich oficerów politycznych w pułku było więcej. Na jednym z zebrań organizacji partyjnej pułku, omawiany był temat szkoleń politycznych w pododdziałach. Oficerowie z wydziału politycznego krytykowali oficerów liniowych za niewłaściwy, ich zdaniem, poziom szkolenia politycznego w ich pododdziałach. Zabierając głos w dyskusji, przypomniałem im ich wypowiedzi na poligonie, jak to pomogą mi w szkoleniu politycznym moich żołnierzy. Wytknąłem im, że pół roku od powrotu z poligonu, nikt z nich nie zjawił się w mojej baterii, aby przyrzeczenie spełnić. Moja wypowiedź wywołała burzę oskarżeń o moim ataku na wydział polityczny pułku. W mojej obronie stanął zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych por. Ziętek. Byli wśród oficerów politycznych także odpowiedzialni ludzie, do których zaliczam zastępcę dowódcy mojego dywizjonu. Był to solidny oficer, który na co dzień pomagał, w różnych sprawach, swoim podwładnym.

Maturę zdawaliśmy w trójkę w ostatnich dniach kwietnia (na początku maja pułk wyjeżdżał na poligon). W tamtym czasie maturę zdawało się z sześciu przedmiotów, w tym z języka polskiego i z matematyki był egzamin pisemny. Dwóch moich kolegów nie zaliczyło egzaminu pisemnego z języka polskiego, tak więc do egzaminu ustnego przystąpiłem sam. W skład komisji egzaminacyjnej wchodziło osiem osób - sześciu nauczycieli egzaminowanych przedmiotów, dyrektor szkoły oraz przedstawicielka wojewódzkiego kuratorium, jako przewodnicząca komisji. Przed tak szacownym gronem stanąłem w pojedynkę. Wszystkie egzaminy zdałem na ocenę „dobrze”. Mając maturę „w kieszeni” napisałem raport o skierowanie mnie na studia do Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Raport został rozpatrzony pozytywnie. Należało jeszcze przejść badania lekarskie i odbyć rozmowę kwalifikacyjną w sztabie okręgu wojskowego. Na badanie lekarskie skierowano mnie do Krakowa, gdzie komisja lekarska wydała werdykt - zdolny do studiowania w WAT. Na rozmowę kwalifikacyjną udałem się do sztabu dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. W wydziale politycznym okręgu przepytывali mnie wyżsi oficerowie polityczni. „Namaszczenie” polityczne było pozytywne. Mogłem więc już udać się na egzamin wstępny do WAT.

Drugiego maja 1955 roku wyjechałem z pułkiem na poligon, niedaleko miasta Końskie. Podobnie jak w latach ubiegłych rozpoczęło się szkolenie baterii w warunkach polowych. W drugiej połowie czerwca wyznaczono moją baterię do zawodów w strzelaniu artyleryjskim. W zawodach brały udział po dwie baterie z każdego pułku artylerii dywizyjnej i korpusnej (w owym czasie istniały jeszcze korpusy piechoty). Były to zawody

dość trudne. W miejscu ześrodkowania baterii rozjemca wręczał dowódcy baterii mapę, na której zaznaczono miejsca stanowisk ogniowych dział i punktu obserwacyjnego dowódcy baterii. Od chwili wręczenia mapy do czasu otwarcia ognia liczył się wyznaczony czas. W tym czasie należało trafić do wskazanego na mapie miejsca stanowiska ogniowego, wskazać oficerowi ogniowemu miejsce pierwszego działu i określić kierunek zasadniczy. Następnie udałem się samochodem terenowym na miejsce punktu obserwacyjnego. Na stanowisku ogniowym pozostawiłem trzech telefonistów z aparatem telefonicznym oraz radiostację z dwoma radzistami. Jednemu telefoniście wskazałem kierunek rozwijania kabla i z resztą plutonu dowodzenia jechałem na punkt obserwacyjny. Co czterysta metrów wysadzałem po jednym telefoniście z bębniem kabla. Każdy pozostawiony telefonista, oczekiwał na swego kolegę, który rozwijał swój bęben z poprzedniego miejsca. Po przybyciu na miejsce punktu obserwacyjnego, dowódca plutonu dowodzenia organizował obserwację przyrządami optycznymi i nawiązywał łączność ze stanowiskiem ogniowym. Rozjemca w tym czasie, wskazał mi cel do zniszczenia i po mojej odpowiedzi „cel widzę” liczył czas przygotowania danych do otwarcia ognia. Czas ten wynosił trzy minuty na ocenę dostateczną, dwie i pół minuty a ocenę dobrze i dwie minuty na ocenę bardzo dobrze. Za wszystkie elementy zawodów otrzymałem ocenę „dobrze”. Było to moje ostatnie strzelanie artyleryjskie w wojsku i ostateczne pożegnanie się z artylerią. Pod koniec czerwca przyszło wezwanie do stawienia się w WAT. Do końca tego miesiąca zdałem obowiązki nowemu dowódcy baterii i 1 lipca 1955 roku stawilem się w WAT. Tu zorganizowano dla przybyłych oficerów kurs, na którym douczano nas przedmiotów zdawanych na egzaminach wstępnych (matematyka, fizyka, chemia i język rosyjski). Uważam, że było to mądre posunięcie komendy WAT. Bez tego kursu, wielu oficerów nie zdało by egzaminów wstępnych. W pierwszej połowie września odbyły się egzaminy wstępne z wyżej wymienionych przedmiotów. Razem z oficerami zdawali egzamin wstępny do WAT absolwenci średnich szkół cywilnych. Wszystkie egzaminy zdałem pozytywnie i zostałem zaliczony w poczet słuchaczy pierwszego roku studiów. Przyjętym do WAT oficerom udzielono po kilka dni urlopu celem załatwiania swoich spraw rodzinnych.

Rozdział V. Życie z własną rodziną

Założenie własnej rodziny

Od chwili opuszczenia, w 1946 roku, rodziców byłem zdany w życiu na własne siły, walcząc w tak trudnym powojennym okresie o swój byt. Na pomoc rodziny w tym okresie nie mogłem już liczyć. Bardzo odczuwałem brak ciepła rodzinnego. Po ukończeniu, w 1952 roku, szkoły oficerskiej zacząłem myśleć o założeniu własnej rodziny. Moja pensja na stanowisku dowódcy plutonu, choć jeszcze skromna, pozwalała mi już prowadzić życie na własny rachunek. Mogłem sobie raz w tygodniu pozwolić na niektóre rozrywki. Chodziłem do teatru, kina i na niektóre zabawy taneczne. Do roku 1953 nie miałem nigdy stałej dziewczyny. Dopiero jesienią 1953 r. na jednej z zabaw tanecznych zapoznałem piękną dziewczynę o cudownych blond włosach, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia. Stefania, bo tak miała na imię, była na zabawie w towarzystwie siostry i szwagra. Postanowiłem poprosić ją do tańca, w czasie którego stwierdziłem, że nie jestem jej obojętny. Do domu wróciła już w moim towarzystwie. Od tej pory zaczęły się nasze randki. Po trzech tygodniach znajomości zaprosiła mnie do domu swoich rodziców. Tu przedstawiła mnie całej swojej rodzinie. Po dwóch miesiącach oświadczyłem się jej i oświadczyny zostały przyjęte. Tak zaczęło się nasze narzeczeństwo. Nasze częste spotkania odbywały się w mieszkaniu jej rodziców. Wspólnie chodziliśmy na spacer, do kina i teatru, którego była wielką fanką. Wiosną 1954 r. postanowiliśmy się pobrać. W tym celu zwróciłem się do mojej rodzinnej gminy w Dydni o przysłanie mi mojego aktu urodzenia. Byłem przekonany, że tam znajduje się moja metryka. Przekonanie to wynikało stąd, że już raz, w 1947 r., taką metrykę otrzymałem z tej gminy, gdy zażądała tego dokumentu moja szkoła w Zabrze. Tym razem na moją prośbę gmina nie odpowiadała. Nasz ślub się odwlekał. Całe zamieszanie w tej sprawie wynikało z tego, że księga metrykalna z mojej parafii Borownicy została zabrana przez księdza tej parafii w nieznane mi miejsce, po tym jak wieś Borownica została w 1945 r. spalona przez bandę UPA. Minęło kilka miesięcy do czasu zlokalizowania przeze mnie miejsca przechowywania tej księgi. Okazało się, że znajduje się ona w Urzędzie Stanu Cywilnego w Przemyślu. Moje poszukiwania metryki urodzenia utrudniał fakt, że od 2 maja 1954 r. przebywałem na poligonie wojskowym.

W tym czasie, tj. 22 listopada 1954 r., urodził się nasz synek Zbysio. Dopiero w maju 1955 r. odbył się nasz ślub cywilny w Bielsku-Białej. Razem z moją małżonką i synkiem stworzyliśmy nową rodzinę. Od jesieni 1954 r. zamieszkiwaliśmy w tymczasowym mieszkaniu składającym się z jednego pokoju i kuchni. Po moim wyjeździe, w maju 1954 r. na poligon wojskowy, żona z synkiem zamieszkiwali przeważnie u teściów. Po zakończeniu krótkiego urlopu, 28 września 1955 r. udałem się do WAT, gdzie 1 października rozpocząłem studia na fakultecie wojsk inżynieryjnych, na specjalności maszyny inżynieryjne. Nauka nie sprawiała mi większych trudności, ale tęsknota za pozostawioną w Bielsku-Białej rodziną bardzo mi dokuczała. Doszło nawet do tego, że rozważałem możliwość zwolnienia się z WAT i powrót do Bielska-Białej. Po poważnej rozmowie z żoną postanowiliśmy, że okres studiów nie będzie przeszkodą w trwaniu



Rys. 10 Autor z żoną Stefanią i synkiem Zbyskiem.
Rok 1957

naszego małżeństwa. Rodzinę odwiedzałem raz w miesiącu, a niekiedy częściej. Z Warszawy wyjeżdżałem pociągiem pospiesznym w sobotę po zajęciach i wieczorem byłem już przy rodzinie. Powracałem do Warszawy nocnym pociągiem w niedzielę, tak aby zdążyć w poniedziałek na zajęcia. Były to podróże dość męczące, ale widzenia z rodziną rekompensowały tę niedogodność. Ta rozłąka z rodziną trwała do października 1956 r. Po znanych wydarzeniach październikowych tego roku nastąpiła reorganizacja WAT, w wyniku której zmniejszono stan osobowy słuchaczy akademii. W ten sposób opróżniony został jeden blok internatowy. Wolne pokoje zostały przydzielone żonatym słuchaczom, którzy wyrazili na to chęć. Z takiej okazji skorzystałem

i ja. Pod koniec października 1956 r. sprowadziłem moją rodzinę do Warszawy. Przydzielono mi jeden pokój o powierzchni 22 m kwadratowych. Do pokoju przylegał mały przedpokój i WC z umywalką, wspólne dla dwóch lokatorów. Na dziesięć rodzin przydzielono wspólną kuchnię z dziesięcioma gazowymi kuchenkami. W takim pomieszczeniu kuchennym był jeden zlewozmywak z ciepłą wodą. W drugim podobnym pomieszczeniu było kilka kabin prysznicowych i jedna kabina z wanną kąpielową.

W przydzielonym mi pokoju urodziło nam się jeszcze dwoje dzieci (synów). Tak więc tworzyliśmy już rodzinę pięcioosobową.

Studia i praca w Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego

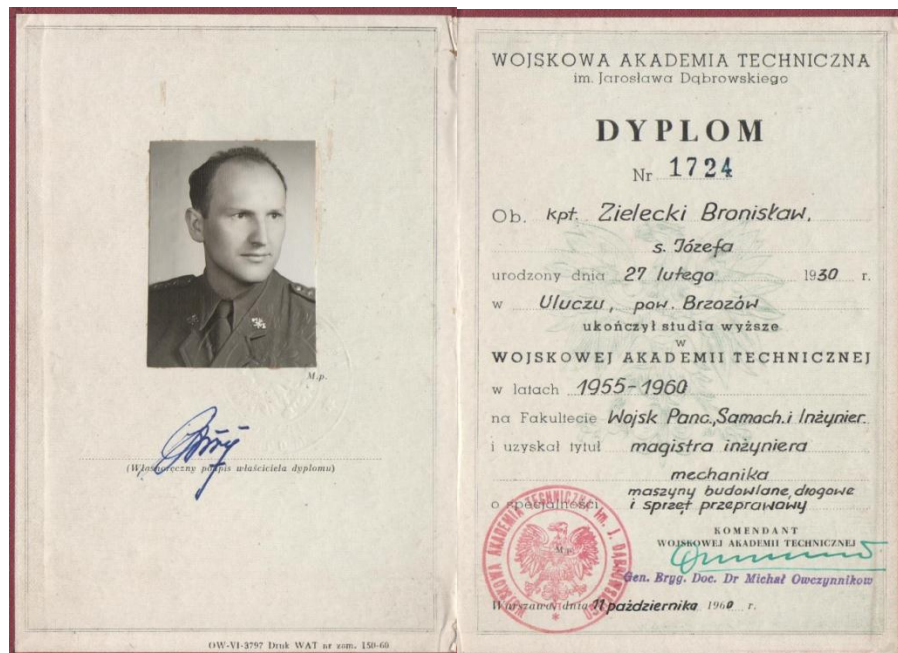
W chwili gdy rozpoczynałem studia, tj. 1 października 1955 r. WAT liczyła sześć fakultetów (wydziałów: uzbrojenia, wojsk pancernych, wojsk inżynieryjnych, łączności, lotniczy i samochodowy) i kilka samodzielnych katedr ogólnoakademickich (matematyki, fizyki, chemii, języków obcych i in.). Na czele akademii stał (w tym czasie) komendant, gen. dyw. Leoszenia. Fakultetami kierowali również komendanci w stopniach generalskich. Wszyscy generałowie byli Rosjanami. Wykładowcami wielu specjalistycznych przedmiotów byli również Rosjanie, ale dość dobrze władający językiem polskim. Komendantem Fakultetu Wojsk Inżynieryjnych, na którym rozpocząłem studia, był gen. bryg. Trochimczuk. Był to bardzo przyzwoity człowiek, dbający zawsze o swych podwładnych. W czasie rozruchów październikowych w 1956 r. był zakaz opuszczania przez żołnierzy swoich garnizonów. W tym czasie zaszła konieczność mojego wyjazdu do żony, która mieszkała w Bielsku-Białej. W tej sprawie zgłosiłem się do gen. Trochimczuka z prośbą o pozwolenie wyjazdu, lecz w tym okresie taką decyzję mógł podjąć tylko Komendant WAT, gen. Laoszenia. Gen. Trochimczuk zabrał mnie do Komendanta Akademii i tam przedstawił moją sprawę. Prośba moja została załatwiona pozytywnie. Kto zna stosunki wojskowe wie, że załatwienie sprawy porucznika przez dwóch generałów jest osobiliwością. Taki właśnie był gen. Trochimczuk. Jego żoną była Polka wychowana w sierocińcu w Rosji. Jako mała dziewczynka, wraz z bratem i ojcem została ewakuowana w czasie pierwszej wojny światowej do Rosji. W czasie postoju na jednej ze stacji ojciec i brat udali się na poszukiwanie żywności. Po ich powrocie, pociągu na stacji już nie było. Po wojnie wszelkie poszukiwania dziewczynki nie dały rezultatu. W 1954 r. zgłosił się do domu gen. Trochimczuka w Warszawie kolejarz polski i poprosił o rozmowę z panią generałową. W czasie tej rozmowy oboje stwierdzili, że są rodzeństwem. Tym sposobem brat odnalazł zagubioną w 1914 r. siostrę. Może z tego powodu był generał tak pozytywnie nastawiony do Polaków?

W 1957 r. wszyscy rosyjscy oficerowie WAT wyjechali do ZSRR. Pozostał tylko komendant WAT gen. bryg. Owczynnukow. Po kilku latach i on wyjechał do ZSRR. Wszyscy oficerowie radzieccy skierowani do WAT na stanowiska wykładowców byli

dobrymi fachowcami technicznymi i wnieśli oni duży wkład w zorganizowanie WAT oraz wyszkolenie młodych kadr technicznych wojska. Wielu zdolnych pierwszych absolwentów WAT było już wcześniej zatrudnionych na stanowiskach starszych asystentów przy wykładowcach radzieckich i to oni zajmowali po nich stanowiska. Na wykładowców najważniejszych przedmiotów technicznych powołano profesorów i docentów z politechnik cywilnych. Po krótkim przeszkoleniu wojskowym nadano im stopnie oficerskie. Profesorowie otrzymali stopnie majora, a docentów i osoby z tytułem doktora mianowano kapitanami. Stanowiska szefów katedr ogólnoakademickich, od początku istnienia WAT, zajmowali profesorowie cywilni. W tym dość burzliwym październiku byłem na drugim roku studiów i z wykładowcami radzieckimi nie miałem styczności. Przedmioty techniczno-wojskowe zaczynały się w drugim semestrze drugiego roku. Po reorganizacji WAT zmieniono nazwę fakultetów na wydziały. Powstał Wydział Mechaniczny, Wydział Inżynierii i Geodezji, Wydział Chemii i Fizyki Technicznej oraz Wydział Łączności. W Wydziale Mechanicznym znalazła się moja profilowa Katedra Maszyn Inżynieryjnych. W tej katedrze ukończyłem w roku 1960 studia i otrzymałem stopień magistra inżyniera mechanika.

Zanim jednak ukończyłem studia trzeba było pokonać pięć lat mozolnej pracy w nauce, jak i pokonywać trudności w obowiązkach rodzinnych. W 1958 r. urodził się nam drugi syn Mieczysław. Główny ciężar w wychowywaniu dzieci spoczywał na mojej żonie, ale i moja pomoc w tych obowiązkach była niezbędna. Przez cały czas studiów pobierałem uposażenie z etatu, z jakim przyszedłem do WAT. Płace w wojsku były niskie i nie zawsze starczało pieniędzy na wszystkie potrzeby, ale dzięki zaradności żony standard życia naszej rodziny utrzymywał się na średnim poziomie. W okresie letnim żona wraz z dziećmi przebywała na wsi u moich rodziców lub u swojej starszej siostry. Ja dołączałem do nich w czasie urlopu. W grudniu 1956 r. – w rocznicę utworzenia WAT – otrzymałem awans do stopnia kapitana. Oprócz obowiązków rodzinnych, głównym moim zadaniem była nauka. Najtrudniejszy był pierwszy rok studiów, w którym dominowała matematyka, fizyka, chemia oraz rysunek techniczny i geometria wykreślna. Rok ten zaliczyłem bez poprawek. Po każdym roku studiów odbywała się miesięczna praktyka w zakładach przemysłowych. Po pierwszym roku nauki praktykę taką odbyłem w Zakładzie Remontowym Maszyn Inżynieryjnych w Dęblinie. Po praktyce wyjeżdżało się na sześciotygodniowy urlop. Od 1957 r. rok akademicki w WAT rozpoczynał się 15 września. Drugi rok studiów przebiegł również bez żadnych problemów. Praktykę technologiczną

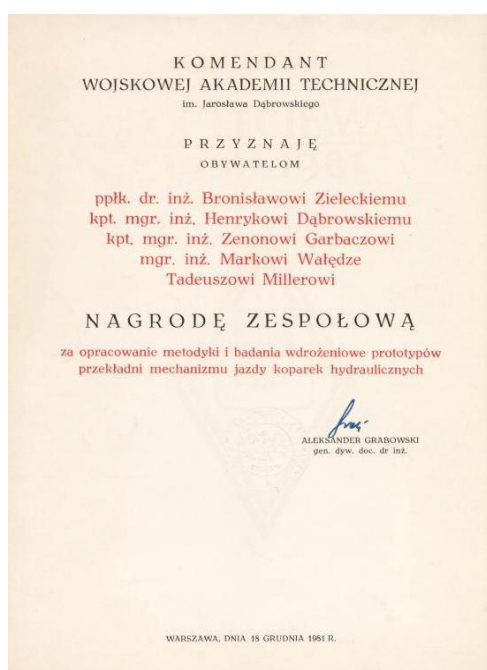
odbyłem w Zakładach Mechanicznych im Nowotki w Warszawie, gdzie produkowane były silniki do czołgów. Na trzecim roku studiów – jedyny raz – nie zdałem egzaminu z przedmiotu elektrotechnika. W drugim terminie zaliczyłem ten przedmiot na ocenę „bardzo dobrze”. Po trzecim roku studiów odbyłem praktykę w Wojskowych Zakładach Remontu Samochodów w Głownie. Po czwartym roku skierowano moją grupę na praktykę do Zakładów Mechanicznych w Łabędach, gdzie produkowano czołgi.



Rys. 11 Dyplom ukończenia Wojskowej Akademii Technicznej. Rok 1960



Rys. 12 Komendant WAT gen. Sylwester Kaliski wręcza autorowi nagrodę za pracę naukową



Rys. 13 Jedna z wielu nagród zespołowych za pracę naukową

Kierownikami wszystkich praktyk byli wykładowcy z Katedry Maszyn Inżynieryjnych. Drugi semestr piątego roku był przeznaczony do wykonania pracy dyplomowej. Tematem mojej pracy był projekt konstrukcji 10-tonowego dźwigu samochodowego na podwoziu samochodu „Żubr”. Przed rozpoczęciem pracy dyplomowej skierowano mnie na dwutygodniową praktykę w biurze konstrukcyjnym w Zakładzie Mechanicznym w Bielsku-Białej, gdzie produkowano żurawie na podwoziu samochodu „Star”. Kierownikiem mojej pracy dyplomowej był starszy wykładowca Katedry Maszyn Inżynieryjnych kpt. mgr. inż. Bogusław Szafranek. Za wykonaną pracę otrzymałem od kierownika ocenę „bardzo dobrze”. Dyplom ukończenia studiów w WAT otrzymałem z oceną średnią „dobrze”. Jeszcze przed obroną pracy dyplomowej nastąpił przydział wszystkich absolwentów do pracy w różnych jednostkach wojskowych. Ja otrzymałem przydział do 2 Brygady Saperów w Kazuniu koło Modlina. Po obronie pracy dyplomowej udałem się do dowódcy Brygady, aby zapoznać się z przyszłą pracą i warunkami mieszkaniowymi. Dowódca Brygady zapewnił mnie, że ma dla mnie czteropokojowe mieszkanie w nowo wybudowanym bloku. Po tzw. rozliczeniu się z WAT udałem się do głównej kancelarii, gdzie oddałem przepustkę wejściową do WAT. Po wyjściu z kancelarii spotkałem na

korytarzu Komendanta Wydziału Mechanicznego, który polecił mi zabrać z powrotem przepustkę. W rozmowie poinformował mnie, że na naradzie z Komendantem WAT zostałem przydzielony do pracy w Katedrze Maszyn Inżynieryjnych na stanowisko

starszego asystenta. Gdybym nie spotkał w sztabie WAT Komendanta Wydziału Mechanicznego, to wyjechałbym do Kazunia i już do WAT bym nie powrócił. Czasami w życiu rządzą zwykłe przypadki. Tak więc zostałem pracownikiem dydaktycznym w WAT. Po roku wyznaczono mnie na adiunkta, a po następnych dwóch latach zostałem starszym wykładowcą. W roku 1961 awansowałem do stopnia majora. Do końca pobytu w WAT wykładałem przedmiot „Organizacja mechanizacji prac

inżynierskich”. Tu nadmienię, że w Wojsku Polskim saperów nazywano wojskami inżynierskimi i stąd taka nazwa przedmiotu, który wykładałem. W 1970 r. wyznaczono mnie na stanowisko Kierownika Zakładu Konstrukcji Maszyn Inżynierskich. Na tym stanowisku, oprócz wykładów i kierowania pracami dyplomowymi słuchaczy, prowadziłem badania prototypów koparek hydraulicznych na zlecenie Warszawskich Zakładów Mechanicznych im Ludwika Waryńskiego. Były to prace naukowo-badawcze. Komendant WAT upoważnił mnie do zawierania wieloletnich umów z ww. zakładami na wielomilionowe sumy. Były to tzw. prace zlecone, za które otrzymywałem odpowiednie wynagrodzenie. Dodatkowe zarobki znacznie powiększały budżet domowy mojej rodziny. W latach 1978-1981 wykonywałem pracę doktorską. Promotorem tej pracy był Szef Katedry płk prof. dr hab. inż. Tadeusz Przychodzień. W roku 1981 obroniłem pracę doktorską i otrzymałem stopień doktora nauk technicznych. Na stanowisku Kierownika Zakładu pracowałem do 1991 r., tj. do chwili odejścia na emeryturę. Do ćwiczeń laboratoryjnych zbudowałem kilka stanowisk, a jako pomoc dla słuchaczy, opracowałem trzy skrypty do ćwiczeń. Ponadto napisałem trzy skrypty wykładów z przedmiotu „Organizacja mechanizacji prac inżynierskich”. Wszystkie skrypty zostały wydane przez Wydział wydawniczy WAT.

W roku 1961 urodził się nam trzeci syn Dariusz. Moja pięcioosobowa rodzina w tym czasie mieszkała nadal w jednym internatowym pokoju. W 1962 r. otrzymałem dwupokojowe mieszkanie o powierzchni 58 m. kw. W 1970 r. przydzielono mi mieszkanie



Rys. 14 Dyplom nadania autorowi stopnia doktora nauk technicznych

czteropokojowe o powierzchni 82 m. kwadratowych. Czas mijał, dzieci dorastały, a mnie przybywało coraz więcej siwych włosów. W wychowywaniu synów większy ciężar spoczywał na żonie. To Ona chodziła na wszystkie szkolne wywiadówki, to Ona pomagała dzieciom w odrabianiu lekcji i troszczyła się o zaopatrzenie domu w środki żywności w trudnych „kartkowych” latach. Najstarszy syn Zbyszek, po ukończeniu szkoły rozpoczął pracę w przemyśle. Średni syn Mieczysław, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim na kierunku Zarządzanie podjął pierwszą pracę w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Najmłodszy syn Dariusz po ukończeniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich został skierowany do 10 Pułku Samochodowego w Warszawie na stanowisko Szefa Zaopatrzenia Żywnościowego. Tu po ukończeniu zaocznych studiów w Akademii Ekonomicznej w Poznaniu zdobył tytuł magistra. Karierę wojskową zakończył w 1998 r. w Sztapie Generalnym WP w stopniu majora, a następnie podjął pracę w Najwyższej Izbie Kontroli. Po dwuletniej pracy w NIK został mianowany na stanowisko wicedyrektora departamentu.

Stan wojenny

W dniu 13 grudnia 1981 r. o godzinie 4.30 usłyszałem dzwonek do drzwi mieszkania. Po otwarciu drzwi zobaczyłem dwóch podchorążych w mundurach polowych z plecakami i bronią na ramieniu. Podali tylko hasło „wyrzutnia” i odeszli. Było to hasło ustalone w WAT, oznaczające alarm bojowy. Szybko się ubrałem i udałem do swojej katedry. Przy bramie wejściowej do WAT zauważyłem wzmocniony posterunek składający się z dwóch żołnierzy. Już wiedziałem co oznacza ten alarm. W Katedrze szybko się przebrałem w mundur polowy (tu była moja walizka „alarmowa” z niezbędnymi akcesoriami wojskowymi) i udałem się do oficera dyżurnego Wydziału, gdzie pobrałem swoją broń osobistą. Po przybyciu wszystkich oficerów i podoficerów odbyła się odprawa, którą prowadził szef Katedry. Szef właśnie wrócił z odprawy u Komendanta Wydziału. Poinformował nas o ogłoszeniu stanu wojennego. Odpowiednie służby WAT dostarczyły do Katedry łóżka polowe oraz po dwa koce dla każdego żołnierza. Od tej pory wszyscy wojskowi zostali skoszarowani w swoich pokojach pracy. Raz dziennie można było odwiedzać swoją rodzinę. Bezpłatne posiłki otrzymywaliśmy w stołówkach WAT. Trzy kompanie podchorążych z pełnym uzbrojeniem przebywały w autokarach gotowych w każdej chwili do wyjazdu. Wykłady i ćwiczenia odbywały się zgodnie z rozkładem dnia. W dniu 15 grudnia 1981 r. mój przełożony poinformował mnie, że zostałem wraz z grupą oficerów wyznaczony na komisarza wojskowego w jednej z kopalń węgla kamiennego na

Śląsku. Termin wyjazdu wyznaczono na 17 grudnia. W tym dniu rano pożegnałem się z żoną i synami i udałem się na plac przed budynkiem Komendy WAT. Tam czekał gotowy do wyjazdu autokar. W autokarze, w kilku skrzyniach był przygotowany suchy prowiant. Do tej podróży wszyscy wyznaczeni oficerowie (w liczbie 24 osób) mieli być ubrani w mundury służbowe (nie polowe) z bronią osobistą. Każdy oficer miał przygotowany odpowiedni zestaw różnych niezbędnych rzeczy (zapasowy mundur, bieliznę osobistą, przybory do higieny, itp.). Wraz z bagażem zajęliśmy miejsca w autokarze. Przed wyjazdem pożegnał nas Komendant Akademii. Autokar ruszył w drogę. Na jednym z placów w Warszawie autokar się zatrzymał by zabrać oczekującego tam oficera ze Sztabu Generalnego WP. W czasie dalszej jazdy po zaśnieżonej szosie ów oficer wręczył każdemu z nas Pełnomocnictwa Komitetu Obrony Kraju podpisane przez Ministra Górnictwa i Energetyki gen. dyw. Czesława Piotrowskiego. W moim pełnomocnictwie była wymieniona kopalnia „Piast”, do której mam się udać jako komisarz pełnomocny.

Kopalnia „Piast”

Autokarem dojechaliśmy do Katowic pod budynek Ministerstwa Górnictwa i Energetyki. Było to drugie - po Warszawie – lokum tego ministerstwa. Tu wiceminister tego resortu mgr inż. Marian Gustek przedstawił nam sytuację w poszczególnych kopalniach. Najgorsza sytuacja była w kopalniach „Piast” i „Ziemowit”. Podał on, że w kopalni „Piast”, do której miałem się udać, strajkuje pod ziemią 1850 górników na 8145 pracowników kopalni. Moja sytuacja była dość ponura. Do jednego z hoteli górniczych skierowano nas na nocleg. Rano rozdzielono nas do poszczególnych Zjednoczeń Kopalń. Kopalnia „Piast” należała do Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Mysłowicach. Dalszą podróż z Katowic do Mysłowic odbyłem z grupą oficerów, pod opieką komisarza wojskowego przy dyrektorze ww. Zjednoczenia płk. Wesołowskiego. W Mysłowicach z-ca Dyrektora Zjednoczenia mgr inż. Szewczyk przedstawił nam szczegółową informację o kopalniach, do których mamy się udać. Oprócz kopalń „Piast” i „Ziemowit” pozostałe kopalnie pracowały normalnie. W normalnych warunkach w kopalni „Piast” wydobywano 17470 ton węgla na dobę. Docelowo zdolność wydobycia miała wynieść 24000 ton na dobę. W owym czasie Kopalnia „Piast” była najnowocześniejszym zakładem wydobywczym w Polsce. Następnie wicedyrektor Szewczyk przedstawił kadrę kierowniczą poszczególnych kopalń Zjednoczenia. W kopalni „Piast” główna kadra kierownicza składała się z następujących osób: Dyrektor naczelny –

mgr inż., Czesław Gelner, pierwszy zastępca dyrektora ds. technicznych, naczelny inżynier – mgr inż. Zygmunt Skimina, Zastępca Dyrektora ds. Pracowniczych – mgr Jan Jędrzejczak. Zastępca Dyrektora ds. Ekonomicznych – mgr Michał Śniadek, Główny Inżynier Górniczy – mgr inż. Alfred Łogiewa. Dalej wicedyrektor Szewczyk przedstawiał pozostałą kadrę kierowniczą, której tu nie będę już wymieniał. W kopalni „Piast” wydobywano węgiel z dwóch poziomów, tj. z poziomu 500 m i 650 m. Strajk rozpoczął się 14 grudnia na poziomie 650 m. W tym dniu nie wyjechała na powierzchnię pierwsza zmiana. W tej sytuacji nie należało wpuszczać pod ziemię drugiej zmiany. Naczelny inżynier postąpił nierozważnie i zezwolił na zjazd drugiej zmiany, co spowodowało, że liczba strajkujących górników się podwoiła. Trzecia zmiana nie została już wpuszczona pod ziemię. taki stan zastałem, gdy 18 grudnia przybyłem do kopalni. Dyrektorowi Gelnerowi przedstawił mnie płk Wesołowski. W tym czasie w gabinecie dyrektora był biskup Janusz Zimniak z dwoma pomocnikami. Biskup był zatroskany o los strajkujących pod ziemią górników i w tej sprawie przybył do kopalni. Po przywitaniu z dyrektorem i biskupem udałem się do przygotowanego dla mnie gabinetu. Biskup i jego pomocnicy odjechali, a ja natychmiast przystąpiłem do pracy. Dyrektor Gelner przedstawił mi sytuację w kopalni. Strajkujący zablokowali windy i bez ich zgody nikt nie mógł zjechać na poziom 650. Od dyrektora dowiedziałem się, że do mojego przybycia rodziny strajkujących dostarczały im pod ziemię różne niekontrolowane środki żywnościowe. W strajku nie brali udziału sztygarzy. Kierowanie strajkiem przejęli działacze „Solidarności”. Nie potrafili oni jednak kierować sprawami technicznymi kopalni. W dniu 15 grudnia zgłosił chęć zjazdu na dół nadsztygar mgr inż. Zbigniew Bogacz, który obiecał dyrektorowi, że spowoduje zakończenie strajku. Dyrektor wyraził zgodę na jego zjazd na poziom 650. Zamiast spełnić obietnicę, sam objął kierownictwo strajku. Może i dobrze, że tak się stało, bo przynajmniej był na dole doświadczony fachowiec górniczy. W kopalni „Piast” węgiel był urabiany systemem ścianowym, przez kosztowne kombajny i transportowany przenośnikami taśmowymi. Strop był podpierany przez hydrauliczną obudowę, która była przesuwana etapami po każdym przejściu kombajnu. W czasie strajku kombajny nie pracowały, w związku z czym obudowa była nieruchoma. Groziło to jej zaciśnięciem, a wtedy nie można by jej już uruchomić. O tym dokładnie wiedział mgr inż. Bogacz i dlatego zarządził, aby raz na dobę kombajny wykonywały po jednym cięciu ściany, po czym można było przesunąć do przodu hydrauliczną obudowę. Żeby kopalnia mogła istnieć, musiał bez przerwy działać system odwadniający, wentylacyjny, elektryczny, itp. W razie awarii jakiegось maszyny, np. pompy, nadsztygar Bogacz prosił „górze” o przysłanie części

zamiennych. W przewidywaniu możliwego strajku, w dniu 13 grudnia z polecenia dyrektora kopalni, wywieziono z podziemnego magazynu wszystkie materiały wybuchowe używane do robót górniczych. Tego nie zrobiono w kopalni „Ziemowit”, co spowodowało niebezpieczną sytuację w obu sąsiadujących kopalniach. Kopalnie „Piast” i „Ziemowit” były połączone pod ziemią chodnikiem i w czasie strajku obie załogi porozumiewały się. Na polecenie dyrektora Gelniera wykonano zawał tego chodnika, chcąc w ten sposób uniemożliwić przetransportowanie materiałów wybuchowych z „Ziemowita”. Strajkujący górnicy obu kopalni wykonali w zawale przejście i do „Piasta” dostarczono materiały wybuchowe. Tymi materiałami górnicy „Piasta” zaminowali chodniki do szybu wydobywczego (skipu) i do szybu wentylacyjnego, uniemożliwiając w ten sposób wejście innych osób w rejon strajku. Do ewentualnej inicjacji eksplozji ładunków wybuchowych użyto zapalarek, pobieranych na powierzchni przez górników strzałowych. Zostały tu złamane wszelkie procedury, które w kopalni są szczególnie zaostrome. Takie „zabawy” z materiałami wybuchowymi trwały przez cały okres strajku.

Do chwili mojego przybycia do kopalni „Piast” zgromadzono na dole sporo żywności dostarczanej przez rodziny. Całą żywność zmagazynowano i wydawano do wspólnego spożycia. W tym magazynie znalazło się dość sporo alkoholu. Pierwszym moim działaniem było zorganizowanie kontroli paczek dostarczanych strajkującym. Polecilem dyrektorowi, aby powołał grupy sztygarów, którzy na zmianę przeglądali by zawartość dostarczanych paczek. Wszelkie napoje, papierosy i leki miały być zatrzymane. Po dwudniowej takiej kontroli zgromadzono dziesiątki butelek alkoholu, setki paczek papierosów i różnego rodzaju leki. Wszystkie zatrzymane artykuły były znakowane nazwiskami osób, do których były adresowane. Przepisy bezpieczeństwa kategorycznie zabraniały wnoszenia pod ziemię takich artykułów. Po zakończeniu strajku wszystkie zarekwirowane produkty miały wrócić do adresatów. W końcowej fazie strajku magazyny zatrzymanych artykułów były całkowicie wypełnione. Ile ich wcześniej dostarczono pod ziemię nikt się nie orientował. Część strajkujących opuszczała codziennie podziemne korytarze i wyjeżdżała na powierzchnię. Taką decyzję podejmowali górnicy pod wpływem prośb rodzin. Służba łączności kopalni uruchomiła cztery linie telefoniczne z powierzchni do strajkujących górników. Cztery aparaty telefoniczne zainstalowano w poczekalni kopalnianego dworca autobusowego. Dniem i nocą tłumy ludzi z rodzin strajkujących gromadziły się przed kopalnią, oczekując w kolejkach na możliwość rozmowy z bliskimi im górnikami. Wszystkie rozmowy prowadzone przez te linie były na podsłuchu

zorganizowanym przez SB, a niektóre z nich były nagrywane na taśmach magnetofonowych. Często zapraszano mnie do posłuchania ciekawszych rozmów. Wszystkie nagrane taśmy zabierali funkcjonariusze SB. O ile na początku strajku rodziny akceptowały ten protest, to już po trzech dniach poparcie to osłabło, a po tygodniu wręcz wrogo odnoszono się do tego strajku. Przywódcy strajku głosili na dole, że wyjeżdżający górnicy są na powierzchni rozstrzeliwani. W rozmowach telefonicznych żony i dzieci prosiły swych bliskich, aby wrócili do domu, tłumacząc, że ci co wrócili są w domu i nic im się nie stało. Niektórzy hardzi górnicy odpowiadali rodzinom, że są one zmuszane żeby im tak mówić. Te prośby rodzin przynosiły efekty, bo codziennie 20 do 40 górników opuszczało strajk i wyjeżdżało na powierzchnię. Na nadszybiu przyjmowali wyjeżdżających sztygarzy i proponowali im (na moją prośbę), że jeżeli ktoś chce to może pójść na rozmowę do komisarza. Po każdym takim wyjeździe z dołu, dwóch – trzech górników przychodziło do mnie na rozmowę. Opowiadali mi oni, jak wyrażający chęć wyjazdu na powierzchnię górnicy są szykanowani, a nawet opluwani przez współtowarzyszy. Mówili, jak są na dole żywieni, jak wygląda sprawa spania, higieny osobistej, itp. W ostatnich dniach strajku otrzymywali do jedzenia (z własnych magazynów) po kawałeczku chleba i po 5 dkg kielbasy.

Od początku strajku dyrekcja kopalni zorganizowała gotowanie, w kuchni kopalnianej, wysokokalorycznej zupy. Zupa ta była dostarczana w dużych termosach na nadszybie. Ponieważ windy były zablokowane przez strajkujących, nie można było tej zupy dostarczyć na dół. Wielokrotnie rozmawiałem z jakimś anonimowym członkiem komitetu strajkowego, aby pozwolili uruchomić windy i dostarczyć zupę i chleb. Odpowiedź była zawsze taka sama: nie chcemy waszej zupy i chleba, bo chcecie nas tymi pokarmami potruć. Po kilkukrotnej takiej odmowie brygadę pracowników kopalni, która dostarczała żywność na nadszybie zwolniono do domu. Zgodnie z przepisami, zupa była podgrzewana tylko raz, po czym wylewano ją do ścieków. Zupę gotowano nadal, aż wreszcie strajkujący zgodzili się na przyjęcie posiłku. Nie można było jej jednak dostarczyć na nadszybie, bo zabrakło ludzi do jej przenoszenia. Zaproponowano przywódcom strajku, aby przysłali do tego swoich ludzi. Odpowiedź była ordynarna: „*niech ten ch... dyrektor nosi termosy*”. Któregoś dnia, niespodziewanie wyjechała na powierzchnię spora grupa strajkujących górników i dosłownie opanowała cały budynek dyrekcji. Do gabinetu dyrektora, w którym i ja przebywałem, wpadło sześciu umorusanych młodych górników i zażądało wydania żywności. Podeszedłem do nich i spytałem, dlaczego w taki brutalny sposób opanowali

dyrekcję. Przecież was tu nikt nie zatrzymuje. Jestem tu jedynym uzbrojonym w mały pistolet człowiekiem i pokazałem ręką na kaburę mojej broni. Moja postawa wyraźnie ich speszzyła i po zlustrowaniu gabinetu wyszli na korytarz. W podobny sposób spenetrowali gabinety całej dyrekcji. Bez żadnych ekscesów zabrali wszystkie termosy z zupą oraz cały skład chleba i udali się do wind. Część z tych górników podeszła do wejść na teren kopalni i tu spotkała się z tłumem rodzin. Jedna kobieta rozpoznała swego męża i chwyciła go za szyję, chcąc go wyprowadzić poza teren kopalni. Ów górnik odepchnął żonę i razem ze swoimi kolegami udał się na nadszybie i zjechał na dół. Może ktoś nie uwierzyć, ale wśród tłumu rodzin usłyszałem bardzo liczne głosy: „*wykurzyć ich gazem spod ziemi*”. Co drugi dzień z dołu żądano naładowanych lamp górniczych. Lampy te na nadszybie wynosili sztygarzy, bo innych osób nie było. Po trzech dniach sztygarzy odmówili dostarczania lamp na nadszybie. Zawiadomiono strajkujących, żeby po lampy przysyłali swoich ludzi. Ja zagwarantowałem, że ludzi tych nikt nie będzie zatrzymywał. Od tej pory kilku górników wyjeżdżało z dołu i to oni wymieniali w lampowni lampy wyładowane na naładowane. Wyjaśniam tu, że każda osoba udająca się na dół pobierała, każdorazowo, naładowaną lampę i zwracała ją do lampowni po wyjeździe. W lampowni akumulatory lamp były stale ładowane. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia a strajk trwał nadal. W dniu 23 grudnia przybył do kopalni biskup Janusz Zimniak z kilkoma pomocnikami i poprosił dyrektora o umożliwieniu mu spotkania ze strajkującymi. O taką zgodę zwrócił się dyrektor kopalni do mnie. Po krótkim namyśle zgodziłem się. Do ekipy biskupa dołączył miejscowy proboszcz parafii w Bieruniu. Całą grupę księży ubrano w górnicze uniformy i zaprowadzono na nadszybie. O zgodę na uruchomienie windy poproszono kierownictwo strajku. Windę uruchomiono i biskup ze swoją świtą zjechał na dół. Pobyt księży pod ziemią trwał 6 godzin. Łudziliśmy się, że biskup swoim autorytetem spowoduje zakończenie strajku, ale tak się nie stało. Po wyjeździe z dołu skarżył się biskup na złe warunki bytowania górników na dole. Wspomniał coś o panującym tam nieprzyjemnym zapachu. A jaki miał tam być zapach? Tam był okropny smród. Tam nie było ubikacji dla 1850 górników. Nie było tam wygodnych kanap do spania. Kto miałby poprawić warunki na dole, tego już biskup nie powiedział. Od chwili pobytu pod ziemią grupy księży żaden górnik już na powierzchnię nie wyjechał, choć do 23 grudnia strajk opuściła połowa uczestników. Na dole przebywało jeszcze około 950 górników. Tego dnia zakończony został strajk w kopalni „Ziemowit” i od tej chwili „Piast” był jedyną strajkującą kopalnią. W dniu 24 grudnia zadzwoniono z dołu, że komitet strajkowy chce rozmawiać z proboszczem parafii Bieruń. Rozmowa taka mogła się odbyć tylko z wewnętrznego

telefonu kopalni. Dyrektor posłał po księdza swojego zastępcę i dyrektorskim samochodem przywieziono księdza do gabinetu dyrektora Gelnera. Z rozmowy księdza wynikało, że strajkujący proszą go o odprawienie na dole mszy. Ksiądz odmówił stwierdzając, że do odprawiania mszy jest kościół. Zdenerwowany ksiądz odłożył słuchawkę i powiadomił dyrektora o prośbie górników. Cały dzień 24 grudnia próbowaliśmy skłonić przywódców strajku do zakończenia protestu i żeby wieczór wigilijny spędzili ze swoimi rodzinami, które tłumnie oczekują przed kopalnią. Tego pamiętnego roku zima była śnieżna i bardzo mroźna. Dla marznących ludzi wynoszono w dużych termosach gorącą herbatę, którą przygotowywano w kopalnianej kuchni. Zbliżał się wieczór a strajk trwał nadal. Mieliśmy nadzieję, że górnicy jednak go zakończą. Wszystkie kopalniane autobusy stały gotowe do rozwiezienia górników do ich domów. Osobiście rozmawiałem z jednym z przywódców strajku, informując go, że gotowe do wyjazdu autobusy czekają na górników. Rozmawiający ze mną przywódca powiedział: *„niech pan pułkownik zwolni kierowców do domu, my będziemy strajkować nadal”*. Po takiej kategorycznej odpowiedzi poleciłem dyrektorowi aby zwolnił kierowców. Wszyscy komisarze kopalń wyjechali na święta do domów. Jedynie ja musiałem pozostać w kopalni. Kucharki z kuchni przygotowały dla mnie bogaty zestaw różnych świątecznych wiktuałów, które ledwie mieściły się w mojej obszernej lodówce. Nadmienię tu, że po moim przybyciu do kopalni w ciągu czterech godzin przygotowano dla mnie dość duży pokój na piętrze gdzie mieściła się dyrekcja kopalni. W ciągu tego czasu malarze pokój pomalowali, a odpowiednie służby kwaterunkowe pomieszczenie umeblowały i ustawiły w nim lodówkę i telewizor. Pracownicy łączności zainstalowali telefon z możliwością rozmów na liniach górniczych i wojskowych („cywilne” telefony były w tym czasie zablokowane). Dziwiłem się nawet, czemu tak długo przytrzymuje mnie w swym gabinecie dyrektor kopalni. Potem dyrektor wyjaśnił mi dlaczego zakwaterował mnie na terenie kopalni. Mówił, że zakwaterowanie w hotelu kopalnianym mogło być dla mnie niebezpieczne. Były przypadki, że na drzwiach osób należących do PZPR wieszano pogróżki o ich fizycznej likwidacji.

W czasie strajku ani razu nie pojawił się na terenie kopalni dyrektor Zjednoczenia. Dwa razy był sekretarz Komitetu PZPR z Tychów. W czasie pierwszego pobytu w kopalni zwrócił się do mnie o przedstawienie mu sytuacji na dole. Moja odpowiedź była natychmiastowa: *„Jeśli tow. sekretarz chce wiedzieć, co się na dole dzieje, to proszę samemu zadzwonić do strajkujących i od nich sekretarz otrzyma odpowiedź”*.

Oświadczyłem mu, że ja meldunki o sytuacji w kopalni składałem tylko swoim przełożonym w Katowicach. Po tej ripocie sekretarz zaniemówił, a dyrektor kopalni stanął w osłupieniu. Dyrektor był w pewnym stopniu podległy terenowemu sekretarzowi PZPR. Po każdym pobycie w kopalni sekretarz uciekał zanim zaszło słońce. Więcej z sekretarzem z Tychów nie rozmawiałem. Święta minęły spokojnie. Dopiero 28 grudnia rano zadzwoniono z dołu, że komitet strajkowy chce rozmawiać o warunkach zakończenia strajku. Nasza zgoda była natychmiastowa. O propozycji strajkujących powiadomiłem Komitet Obrony Kraju w Katowicach i poprosiłem o wyznaczenie osób upoważnionych do negocjacji. Po godzinie zadzwonił Minister Górnictwa i Energetyki gen. Piotrowski i poprosił mnie do telefonu. Powiedział, że do negocjacji wyznacza mnie i dyrektora kopalni. Przy stole negocjacyjnym, w Sali konferencyjnej dyrektora, zasiadło z jednej strony sześciu górników, z drugiej zaś dyrektor Gelner i ja. Oprócz nas dwóch za stołem usiadły jakieś nieznane mi osoby, wśród nich pułkownik w polowym mundurze (prawdopodobnie oficer przysłany przez gen Jaruzelskiego), trzy osoby z Urzędu Wojewódzkiego i przedstawiciel Zjednoczenia. Te osoby były tylko statystami. Słowo wstępne wygłosił dyr. Gelner, po czym ja poprosiłem przedstawicieli górników o przedstawienie ich warunków. Jeden z nich przedstawił tzw. postulaty. Było ich chyba 18. Treści wszystkich punktów nie pamiętam, ale kilka z nich wymienię:

1. *Odwołanie stanu wojennego,*
2. *Zwolnienie wszystkich internowanych,*
3. *Zaplata wszystkim strajkującym za czas strajku jak za dniówki robocze,*
4. *Wszyscy strajkujący otrzymają skierowania na leczenie sanatoryjne na koszt kopalni,*
5. *Górnicy odpracowujący w kopalni służbę wojskową nie będą skierowani do wojska,*
6. *Nikt ze strajkujących nie zostanie zwolniony z pracy*
7.
17. *Wszyscy strajkujący zostaną przewiezieni autokarami do swoich domów,*
18. *Wszyscy strajkujący mają bezpiecznie dojechać do swych domów.*

Od swych przełożonych nie otrzymałem jasnych wytycznych w sprawie żądań strajkujących górników. Minister Górnictwa i Energetyki powiedział mi tylko, że mogę się zgodzić na takie same warunki, jakie zostały wynegocjowane w kopalni „Ziemowit”. W kopalni tej strajk zakończył się 23 grudnia, ale 28 grudnia żaden odpowiedzialny urzędnik z tej kopalni nie mógł nam dokładnie wyjaśnić, jakie były to warunki.

W ostatniej chwili dyrektor Gelner dowiedział się, że tam zgodzono się na dwa ostatnie postulaty, jakie przedstawili nam delegaci strajkujących górników z kopalni „Piast”. Na te dwa postulaty zgodziliśmy się i ja i dyrektor kopalni Gelner. Druga strona nie podpisała się pod takim rozwiązaniem i uzależniła zakończenie strajku od woli wszystkich strajkujących. Delegaci zabrali wszystkie taśmy magnetofonowe z nagraniami rozmów i zjechali na dół. Tam, na dole, odtwarzano nagrania na własnych urządzeniach nagłaśniających. Ponieważ nagrań rozmów było dość dużo, strajkujący górnicy przerwali ich odsłuchiwanie i zażądali wyjazdu na powierzchnię. Z dołu poinformowano nas, że wyjazd górników rozpocznie się za trzy godziny, tj. ok. godz. 19.00. Spodziewając się zakończenia strajku, władze wojewódzkie i górnicze zorganizowały na terenie kopalni stanowiska badań lekarskich, na stołówce przygotowano dietetyczną zupę dla wygłodzonych górników, sprowadzono do kopalni kilkanaście karet pogotowia, dostarczono 1000 opasek na oczy, aby je chronić przed oślepieniem światłem odbijanym od śniegu. Na dworcu autobusowym kopalni podstawiono wszystkie autokary do odwożenia górników do domu.

O wyznaczonym czasie rozpoczął się wyjazd górników, który trwał trzy godziny. Po kąpieli w łaźni, górnicy mieli – w myśl założeń organizatorów akcji – przejść badania lekarskie, zjeść dietetyczny posiłek i udać się do autokarów. Okazało się, że całe te „szopki” na nic się zdały, bo górnicy po wyjściu z łaźni udawali się wprost do autokarów. Ja tylko poleciłem, aby każdy załadowany autokar natychmiast opuszczał kopalnię. Wyjazd górników z dołu i ich odjazd z kopalni odbyły się dość sprawnie. Odnosnie punktu postulatów o bezpiecznym dojeździe górników do domów uzgodniłem to z funkcjonariuszami SB. Ci gangsterzy jednak umowy nie dotrzymali. Po rozpoczęciu wyjazdu górników spod ziemi w gabinecie dyrektora zaczęły się pojawiać osoby, które w czasie strajku – za wyjątkiem sekretarza PZPR z Tychów – nigdy w kopalni „Piast” się nie pojawiły. Przybył dyrektor Zjednoczenia z naczelnym inżynierem, przedstawiciel wojewody, jacyś partyjniacy z komitetu wojewódzkiego PZPR, sekretarz PZPR z Tychów i inni. No i zaczęła się libacja „zwycięzców”. Otwarto dobrze zaopatrzone barek dyrektora kopalni i zaczęto wznosić toasty z okazji zakończenia strajku. Ja wypilem jedną lampkę koniaku i przypatrywałem się rozradowanym „zwycięzcom”. W pewnym momencie wszedł do gabinetu dyrektora jakiś facet i poprosił o rozmowę z komisarzem. Był to nadsztygar mgr inż. Zbigniew Bogacz, przewodniczący komitetu strajkowego. Poprosiłem go do gabinetu naczelnego inżyniera kopalni i bez żadnych

świadków przeprowadziliśmy rozmowę, w czasie której sekretarka na moją prośbę podała nam kawę. Pan Bogacz poskarżył się, że nie może wyjść z terenu kopalni bo oczekują na niego funkcjonariusze SB. Przypomniał mi, że w umowie zapewniłem, iż wszyscy strajkujący dojadą bezpiecznie do domów. Przeprosiłem na chwilę pana Bogacza i poszedłem do swego gabinetu, skąd poprosiłem do siebie „gangsterów” z SB. W ostrym tonie przypomniałem im o naszej umowie. Zgodzili się tylko, że zawiozą nadsztygara Bogacza do jego żony i tam go aresztują. Nie mogłem nic więcej zrobić, bo SB to był inny świat.

Zaraz po opuszczeniu przez strajkujących wyrobisk górniczych cały pion techniczny kopalni przystąpił do przygotowania kopalni do normalnego wydobywania węgla. Samych odchodów wywieziono kilkanaście wózków górniczych. Zorganizowano dowóz do kopalni górników, którzy wcześniej opuścili strajk i już po dwóch dniach kopalnia osiągnęła produkcję sprzed strajku. Myślałem, że będę mógł teraz nieco odpocząć. W dniu 30 grudnia zgłosiły się do mnie trzy żony strajkujących z żalem, że ich mężowie nie przybyli po strajku do domu, lecz zostali w autokarach aresztowani przez milicję z Tychów. Dowiedziałem się od tych kobiet, że komendant milicji w Tychach powiedział im, iż aresztowano sześciu przywódców strajku na polecenie komisarza. Natychmiast zadzwoniłem do tego komendanta i nie przebierając w słowach stwierdziłem, że są zwykłymi kłamcami i łotrami. Komendant milicji dość spokojnie odpowiedział, abym się tą sprawą zbytnio nie przejmował, bo milicja i SB wiedzą co mają robić. Cała rozmowa odbyła się w obecności skarżących się kobiet. Chyba uwierzyły, że ja z aresztowaniem ich mężów nie miałem nic wspólnego. Byłem w takich sprawach bezradny. O tym incydencie poskarżyłem się Ministrowi Górnictwa gen. Piotrowskiemu. Później dowiedziałem się od dyrektora Gelnera, że komendant SB został dyscyplinarnie przeniesiony gdzieś na Dolny Śląsk. Aresztowani zostali umieszczeni w areszcie w Katowicach. Tym czasem w kopalni „Piast” rozpoczęto – nakazaną przez „wyższe czynniki” - akcję zwalniania z pracy najbardziej agresywnych i aroganckich uczestników strajku. Zwolniono z pracy około trzystu osób. Odebrano wszystkim strajkującym talony na samochody, które otrzymali jako nagrody z okazji Dnia Górnika „Barbórki”.

W dniu 31 grudnia pozwolono mi pojechać na kilka dni do rodziny w Warszawie. Po Nowym Roku poprosił mnie do swojego gabinetu komendant WAT. O wyznaczonej godzinie zameldowałem się u generała. W jego gabinecie zgromadzona była cała komenda WAT i komendanci wydziałów. Poproszono mnie, abym opowiedział o strajku

w kopalni „Piaś”. Po zakończeniu mojej relacji komendant zapytał mnie, czego bym od niego oczekiwał. Poprosiłem tylko o założenie w moim mieszkaniu telefonu, abym mógł kontaktować się z żoną. Komendant WAT wydał polecenie szefowi łączności WAT, aby mi natychmiast zainstalował telefon. Jeszcze na pół godziny udałem się do swojej katedry, po czym powróciłem do domu. Tu zastałem ekipę łącznościowców z kablami i aparatem telefonicznym. Po chwili miałem już łączność na liniach wojskowych. więcej komendanta o nic nie prosiłem. Jakież wtedy wartościowy był telefon w domu!

Po krótkim pobycie w domu udałem się ponownie do kopalni. Tu zaczął się „najazd” na komisarza żon i matek zwolnionych z pracy górników. Kobiety te myślały, że jestem wszechmogącym człowiekiem. Moje sugestie odnośnie anulowania zwolnień były natychmiast realizowane przez dyrektora kopalni. Zastrzeżenia miał niekiedy naczelny inżynier kopalni mgr inż. Skimina, ale dyrektor ignorował te zastrzeżenia. Do chwili odwołania mnie z kopalni „Piaś”, tj. do 14 stycznia anulowano dwie trzecie zwolnień.

Kopalnia „Jastrzębie”

W nocy 14 stycznia otrzymałem telefon od swoich przełożonych z powiadomieniem, że następnego dnia mam się udać do kopalni „Jastrzębie” w Rybnickim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego. Nogi mi się ugięły gdy otrzymałem tę wiadomość. Tu w kopalni „Piaś” sytuacja się unormowała i wydawało mi się, że na pewno wrócę do domu. Myliłem się. W kopalni „Jastrzębie” sytuacja była dość rozchwiana, nie tylko między władzą i górnikami, ale także wewnątrz kierownictwa kopalni. Młody komisarz w stopniu kapitana nie potrafił konfliktów tych łagodzić i dlatego został z kopalni odwołany. Zastanawiałem się nieraz, dlaczego mnie posyłają na „najgorsze” kopalnie. Przed wyznaczeniem na komisarzy przeglądano teczek personalne każdego oficera. Z moich dokumentów wyczytano, że przed zgłoszeniem się do służby zawodowej w wojsku ukończyłem trzyletnie Gimnazjum Górnicze w Zabrze. Uznano więc, że moja wiedza o górnictwie może być przydatna do pełnienia służby komisarza w kopalni. W dniu 15 stycznia pożegnałem się z dyrekcją kopalni „Piaś” i udałem się do Jastrzębia Zdroju. Tu w kopalni „Jastrzębie” przedstawił mnie dyrektorowi tego zakładu komisarz Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Po tej całej prezentacji zakwaterowano mnie w hotelu i na drugi dzień, tj. 16 stycznia, przystąpiłem do pracy w nowych warunkach. Dyrektor kopalni mgr inż. Krzyszkowski zapoznał mnie z sytuacją w kopalni, po czym oświadczył, że spodziewa się zwolnienia z tego stanowiska. Po

strajku w jego kopalni został usunięty z PZPR i w tej chwili jest dyrektorem bezpartyjnym. Jak się później zorientowałem, jest on lubiany przez górników tej kopalni. Moja pozycja w kopalni po usunięciu dyrektora byłaby dość niekorzystna. Oto przyszedł nowy komisarz i zaraz usunął dyrektora. Tak pomyślałaby załoga. Dyrektor ma u górników posłuch. Kopalnia wydobywa węgiel zgodnie z harmonogramem. Na terenie kopalni jest względny spokój. Więc po co zdejmować dyrektora? Istnieje jedynie konflikt z komitetem PZPR, a szczególnie z sekretarzem tej organizacji. W wyniku moich rozmów z członkami komitetu partyjnego konflikt ten nieco złagodził, ale były to tylko pozory i ja zdawałem sobie z tego sprawę. Pod koniec stycznia odbyła się w Zjednoczeniu narada Wiceministra Górnictwa i Energetyki Gustka z dyrektorami kopalń, z udziałem komisarzy. Po zakończeniu narady poprosiłem Wiceministra o rozmowę, na którą bez wahania się zgodził. Rozmowę odbyliśmy w gabinecie Dyrektora Zjednoczenia, gdzie przedstawiłem Wiceministrowi szczegółową sytuację w kopalni „Jastrzębie” i poprosiłem o pozostawienie jej dyrektora na stanowisku. Wiceminister Gustek oświadczył mi, że nie jest kąpany w gorącej wodzie i na razie pozostawi na dyrektorskim stanowisku Pana Krzyszkowskiego.

Władze partyjne wszelkimi sposobami chciały nadal pozbyć się bezpartyjnego dyrektora. Na jednej z odpraw w Katowicach z Ministrem Górnictwa, mój kolega z WAT pełniący funkcję komisarza w kopalni „Ziemowit” poinformował mnie, że na zebraniu partyjnym w tej kopalni krytykowano mnie za trzymanie bezpartyjnego dyrektora na stanowisku. Sprawę usunięcia z PZPR dyrektora Krzyszkowskiego postanowiłem sam zbadać. Poprosiłem Komendanta Milicji w Jastrzębiu ppłk. Burego oraz szefa SB w Rybniku o pisemną opinię o dyrektorze Krzyszkowskim. Ppłk Bury pozytywną opinię na piśmie mi dostarczył, natomiast Szef SB opinii pisemnej odmówił, a tylko telefonicznie poinformował, że to jest „nasz człowiek”. Otrzymałem też opinie od dwóch członków PZPR tej kopalni. Na kolejnej odprawie wszystkich dyrektorów polskich kopalń i komisarzy z Ministrem Górnictwa w Katowicach poprosiłem ministra o przyjęcie mnie wraz z dyrektorem Krzyszkowskim na rozmowę. Minister zaprosił nas do gabinetu i tu przedstawiłem sprawę dyrektora, a następnie sam dyrektor wytłumaczył powody usunięcia z PZPR i przekazał ministrowi zebrane opinie. Dyrektor Krzyszkowski pełnił funkcję do końca kwietnia 1982 r. Z okazji imienin jednego z dyrektorów kopalń, pojechał złożyć mu życzenia. Wracając z tych imienin nieco podpity uparł się, aby pojechać do swojej kopalni w celu zatwierdzenia dziennego raportu z wydobywania.

Kierowca odradzał mu tę wizytę tłumacząc, że raport może podpisać naczelny inżynier. Dyrektor do kopalni jednak pojechał. Przed budynkiem dyrekcji czekali na niego sekretarz PZPR i facet z SB („opiekun” kopalni). Była to sobota, godziny wieczorne. Po dwóch godzinach ww. osoby wyprowadziły chwiejącego się dyrektora i wsadziły do oczekującego samochodu. Kierowca wrócił jeszcze do gabinetu dyrektora po pozostawioną teczkę. W gabinecie obaj intruzi przeszukiwali biurko i szafkę dyrektora. Na biurku mieli już ułożony stos kaset magnetofonowych, na których były nagrane wszystkie rozmowy dyrektora z komitetem strajkowym w czasie strajku w kopalni. Świadkiem wyprowadzania pijanego dyrektora była strażniczka straży przemysłowej, która pełniła służbę przed wejściem do budynku dyrekcji. O całym incydencie dowiedziałem się dopiero po dziesięciu dniach. Najpierw zgłosił się do mnie komendant straży przemysłowej i przedstawił relację strażniczki. Potem przywołałem kierowcę dyrektora i ten złożył mi dokładną relację z tego incydentu. W gabinecie dyrektora odbyła się pijatyka, a później bijatyka dyrektora z sekretarzem PZPR i „esbekiem”. Zarówno strażniczka, jak i kierowca widzieli zakrwawione ucho dyrektora Krzyszkowskiego. Wezwałem do siebie sekretarza PZPR i poprosiłem go o złożenie relacji z owego sobotniego wieczoru. Opowiedział mi naiwnie, że były to tylko takie towarzyskie boksowania. „Esbek” się do mnie nie zgłosił. Z dyrektorem już na ten temat nie rozmawiałem. Wezwałem do siebie sekretarza miejskiego PZPR i ten, o dziwo, do mnie przyjechał. Na jego spotkanie wyszedł przed budynek dyrektor kopalni i przyprowadził go do mnie. Przedstawiłem mu wyczyn sekretarza kopalni i poprosiłem, aby spowodował usunięcie tego „bubka” z kopalni. Zadzwoiłem też do szefa SB w Rybniku i jego też poprosiłem o zabranie swojego człowieka. Następnie zadzwoniłem do Wiceministra Górnictwa, powiadamiając, że dyrektor Krzyszkowski powinien być zdjęty ze stanowiska. Po tygodniu Wiceminister Gustek przybył do kopalni z nowo mianowanym dyrektorem. „Bokser” z SB został odwołany z kopalni po dwóch tygodniach. Najdłużej przewlekała się sprawa usunięcia sekretarza PZPR. Pewnego dnia zostałem – wraz z sekretarzem – wezwany do komisarycznego sekretarza PZPR resortu górnictwa w Katowicach płk. Gębki. Tam wysłuchałem „wykładu”, że zbyt długo trzymałem na stanowisku bezpartyjnego dyrektora, a ponadto mało się interesuję działalnością partyjną w kopalni, itd. W stanowczy sposób oświadczyłem, że w kopalni staram się utrzymać spokój społeczny oraz planowe wydobywanie węgla. Po mojej wypowiedzi płk Gębka stwierdził: *„postępujecie pułkowniku po inżyniersku”*. Moja odpowiedź była krótka: *„Postępuję tak, bo jestem inżynierem, a jak się wam moja praca*

nie podoba, to proszę mnie zwolnić z służby komisarza, bo ja się nie prosiłem na tę funkcję.” Na tym skończyła się rozmowa z płk. Gębka. Myślałem, że zostaną przez władze partyjne uruchomione wszelkie działania, aby mnie zniszczyć. Nic takiego się nie stało, bo po mojej stronie stał Minister Górnictwa gen. Piotrowski, który później mi powiedział: *„proszę nie wykonywać żadnych poleceń partyjnych”*. Następny incydent z działaczami partyjnymi zdarzył mi się w moim gabinecie w kopalni „Jastrzębie”. Dwaj członkowie Komisji Kontroli Partyjnej z Komitetu Miejskiego w Jastrzębiu oznajmili mi, że przed 13 grudnia 1981 r. w kopalni wykonana była przez „Solidarność” – w płycie węglowej – tablica okolicznościowa, która miała być wywieziona do Gdańska pod pomnik poległych stoczniowców. Po 13 grudnia tablica ta zaginęła. *„Waszym zadaniem pułkowniku jest odnalezienie tablicy”* – oświadczyli. Moje nerwy tego nie wytrzymały. Wstałem zza biurka i w ostrym tonie krzyknąłem - *won z mego pokoju* – wskazując im ręką drzwi. Po raz drugi poprosiłem do siebie Pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR. W moim gabinecie poleciłem mu, aby zaprowadził porządek wśród swoich pracowników. Sekretarz oświadczył, że Komisja Kontroli Partyjnej jemu nie podlega. Po kilku dniach przybył do mnie członek Komisji Kontroli Partyjnej ze szczebla wojewódzkiego i zaczął mnie straszyć, że mną już interesuje się wywiad. Powiedziałem mu żeby poszedł sobie „do diabła”. W połowie lipca zgłosił się do mnie jakiś przedstawiciel Komitetu Miejskiego PZPR w Jastrzębiu i poprosił, abym wskazał jakąś osobę z kopalni, która mogłaby być sekretarzem PZPR. Oczywiście, że odmówiłem jego prośbie. Pod koniec lipca Plenum Komitetu PZPR kopalni „Jastrzębie” wybrało nowego sekretarza. Poprzedni sekretarz „bokser” został przeniesiony do pracy pod ziemią w kopalni „Manifest Lipcowy” jako cieśla. Były to jednak sprawy drugorzędne, którymi musiałem się zajmować.

Niekiedy musiałem interweniować w sprawach znieczulicy administracji na ludzkie niedole. Dla przykładu podam tu sprawę losu młodego górnika Leszka Kreta, który w wypadku na dole złamał kość goleniową. Przyprowadziła go do mnie higienistka z izby rehabilitacji górników po wypadkach. Pokazała mi miejsce złamania kości, gdzie wytworzył się ruchomy staw. W takim stanie – po komisyjnym badaniu lekarskim – ów górnik został skierowany do pracy. Była to rzecz niewiarygodna, że badająca komisja po leczeniu szpitalnym nie zauważyła ruchomej goleni w miejscu jej złamania. Poprosiłem do siebie Zastępcę Dyrektora ds. Pracowniczych, aby on zobaczył jak jego pracownik jest traktowany przez górnictwą służbę zdrowia. Chorego górnika przewieziono natychmiast

do górniczego szpitala w Jastrzębiu. Tu dokonano ponownej operacji i na nowo połączono złamane części kości. Po dwóch tygodniach wysłano rannego górnika na leczenie sanatoryjne. Czy naprawdę tę sprawę musiał załatwiać komisarz? Przecież w kopalni była służba zdrowia, gdzie pracowało kilku lekarzy! Jeszcze jeden przykład mojej interwencji. W kopalni pracował górnik, którego rodzina (żona i dwoje dzieci) mieszkała w rejonie Zielonej Góry. Ten człowiek pobierał w kopalni kartki żywnościowe dla całej swojej rodziny i oddawał je swojej kochance w Jastrzębiu. Żona tego górnika przyjechała do mnie ze skargą, że mąż nie przysyła jej kartek żywnościowych i pieniędzy na utrzymanie rodziny. Tę sprawę przekazałem do załatwienia Zastępcy Dyrektora ds. Pracowniczych. Nasuwa się pytanie: dlaczego z takimi sprawami ludzie przychodzili do mnie? Odpowiedź może być tylko jedna: nie wierzyli oni, że oficjalna władza zechce im pomóc.

Na cotygodniowych odprawach w Katowicach obarczano komisarzy różnymi zadaniami: kontrola przechowywania materiałów technicznych, sprawdzenie ksiąg finansowych zawieszonych w działaniach związków zawodowych, kontrola magazynów z materiałami wybuchowymi, itp. W celu sprawdzenia księgowania wydatków związków zawodowych (branżowych i „Solidarności”) poleciłem dyrektorowi przywołać do jego gabinetu obu związkowych księgowych z całą dokumentacją. W tym czasie środki finansowe obu związków zawodowych były zdeponowane na specjalnym koncie, bez prawa do ich wykorzystania. Do pomocy w kontroli ksiąg poprosiłem Głównego Księgowego kopalni. Księgowość Branżowych Związków Zawodowych była prowadzona prawidłowo, a stan środków zdeponowanych na ww. koncie zgadzał się z saldem księgi. Wiele nieprawidłowości było w księgowości Związku Zawodowego „Solidarność”. Kilka osób pobrało dość spore sumy na zakup różnych rzeczy i do 13 grudnia 1981 r. z tych sum się nie rozliczyło. Pobrane pieniądze na różne imprezy też nie były rozliczone, np. koszty libacji dygnitarzy „Solidarności” w Zakopanem i przejażdżki góralskimi sankami po Zakopanem i okolicy były potwierdzone przez furmanów góralskich tylko świstkami papieru. Zakupiono duże ilości piwa i rozdawano go bezpłatnie wszystkim kibicom na stadionie w Jastrzębiu podczas meczu piłki nożnej, itd. Nakazałem księgowemu „Solidarności” aby osoby, które pobrały pieniądze i się z nich nie rozliczyły, zwróciły je na konto ZZ „Solidarność” w ciągu jednego tygodnia. W wyznaczonym czasie brakujące sumy pieniężne zostały w pełni zwrócone. Takich podobnych nieprawidłowości w księgowości ZZ „Solidarność” było znacznie więcej. Z przeglądu innych dokumentów

wynikało, że Zarząd ZZ „Solidarność” do 13 grudnia współrządził kopalnią. Przewodniczący tego związku urzędował w budynku administracyjnym kopalni na piętrze dyrekcji, w gabinecie Zastępcy Dyrektora ds. Pracowniczych. Ten – na żądanie związkowców – musiał swój gabinet opuścić. Miałem w rękach pismo Przewodniczącego „Solidarności” kopalni „Jastrzębie” do dyrektora Fabryki Autobusów w Sanoku, w którym oferowano fabryce dodatkowy przydział węgla za autobus dla potrzeb ZZ „Solidarność”. Była to oferta złożona bez wiedzy dyrektora kopalni.

W czasie mojego pobytu w kopalni „Jastrzębie” otrzymałem wezwanie do sądu w Katowicach, gdzie sądzono kierownictwo strajku z kopalni „Piast”. Na ławie oskarżonych siedziało sześć osób, a wśród nich mgr. inż. Zbigniew Bogacz, którego poznałem już po strajku w kopalni „Piast”. Po złożeniu relacji z czasów strajku odpowiadałem jeszcze na pytania prokuratora, sędziego i obrońców. Z mojej relacji w zeznaniu i po odpowiedziach na pytania zadowoleni byli jedynie obrońcy. Po tygodniu zadzwonił do mnie Wiceminister Górnictwa Pan Gustek i poprosił, abym porozmawiał z sędzią, który sądzi oskarżonych z kopalni „Piast”, po czym oddał mu słuchawkę. Sędzia (pułkownik) spytał mnie, czy mogę przybyć jeszcze raz na rozprawę w charakterze świadka, bo oskarżeni „wyślizgują” mu się z rąk. Wyraziłem zgodę i po kilku dniach otrzymałem oficjalne wezwanie na kolejną rozprawę w Katowicach. Stojąc za barierką świadka poprosiłem o odczytanie protokołu z mojego poprzedniego zeznania. Po odczytaniu oświadczyłem, że nie mam nic do dodania. Po miesiącu dowiedziałem się, że wszyscy oskarżeni z kopalni „Piast” zostali uniewinnieni. Chcę tu nadmienić, że oskarżeni z kopalni „Ziemowit” w podobnym procesie otrzymali wyroki od dwóch do sześciu lat pozbawienia wolności. Po wielu latach zadzwonił do mnie jeden z oskarżonych z kopalni „Piast” Pan Zawadzki i poprosił mnie o adres domowy, gdyż chce mi przysłać książkę opisującą strajk w kopalni i proces sądowy. Po dwóch tygodniach otrzymałem przesyłkę pocztową z ww. książką. Zacytuję tu fragment przemówienia adwokata Jerzego Kurcyusza wygłoszonego 7 maja 1982 r. w obronie Zbigniewa Bogacza, na temat mojej osoby: „... *I na szczęście, w przytłaczającej przewadze, także z takimi którzy po męsku, po obywatelsku, po górniczemu mówili to co widzieli lub co naprawdę słyszeli, nie licząc się z tym, czy ich zeznania zaskarbią im łaski u władzy, czy też ściągną na nich niezadowolenie możliwych, pozbawienie tak zwanej trzynastej i czternastej pensji, odebranie mieszkania, a nawet wyrzucenie z pracy. Do tej grupy zaliczyć należy między innymi zeznania nie-górnika, komisarza wojskowego*”

kopalni, pułkownika doktora inżyniera Bronisława Zieleckiego. Gdyby on był w kopalni od początku, od 14 grudnia 1981 roku, zapewne by do tego procesu w ogóle nie doszło (...)” Dalej mecenas Jerzy Kurcysz mówi: „... Kiedy po wstępnych, urzędowych formułkach padły pierwsze słowa, że sąd umarza postępowanie z Dekretu o stanie wojennym w stosunku do oskarżonych i uniewinnia ich od zarzutów, które podlegałyby temu dekretowi, zapanował na Sali sądowej jakiś szal entuzjazmu.” Podam tu jeszcze cytaty z ww. książki, wypowiedziany przez oskarżonego nadsztygara mgr. inż. Zbigniewa Bogacza. Cytat ten dotyczy jego rozmowy z Wiceministrem Górnictwa i Energetyki Marianem Gustkiem w czasie strajku w kopalni „Piaś”. Wiceminister rozmowę tę prowadził przez telefon w gabinecie dyrektora kopalni „Piaś”. W czasie tej rozmowy byłem obecny w gabinecie i przysłuchiwałem się dialogowi. Pan Bogacz pisze: „(...) Nie wiedziałem, że przy tej naszej rozmowie obecny był na górze przez cały czas pułkownik Zielecki, nasz komisarz wojskowy. I on tę rozmowę w tym samym duchu, może nie ze wszystkimi szczegółami, przedstawił później w sądzie. Sąd pytał jego tylko, czy była taka rozmowa i jak myślimy rozmawiali, sugerując, że ja robiłem to obrażając władze. I na to Zielecki odpowiedział wspaniale sądowi, że to była rozmowa dwóch równorzędnych partnerów, w której ja przedstawiałem stanowisko dołu a minister stanowisko góry.”. Wiele wypowiedzi Zbigniewa Bogacza w tej książce mija się z prawdą, ale jako całość treść jest ciekawa.

Pod koniec września 1982 r. zakończyłem misję komisarza i powróciłem do Warszawy. Na moje miejsce wyznaczono z Katedry Maszyn Inżynierskich WAT innego oficera. W Katedrze kontynuowałem nadal swoją pracę na stanowisku Kierownika Zakładu Konstrukcji Maszyn. Od nowego roku akademickiego, tj. od 1 października 1982 r. podjąłem z powrotem wykłady z przedmiotu „Organizacja mechanizacji prac inżynierskich”. Nadal prowadziłem prace naukowo-badawcze w zakresie badań koparek hydraulicznych, zlecane przez Zakład Produkcji Koparek im L. Waryńskiego. Pracę w WAT zakończyłem 10 stycznia 1991 r. i przeszedłem na emeryturę. W wojsku przepracowałem 40 lat i cztery miesiące. W tym czasie „dorobiłem się” stopnia pułkownika, stopnia doktora nauk technicznych oraz wielu schorzeń, z powodu których zostałem zaliczony przez komisję lekarską do trzeciej grupy inwalidzkiej.

Życie na emeryturze

W chwili odejścia na „zasłużony” odpoczynek życie mojej rodziny było już ustabilizowane. Wszyscy trzej synowie byli już żonaci i posiadali własne mieszkania. Najstarszy syn Zbyszek mieszka w Swarzędzu. Żona jego Maria, z wykształceniem prawniczym, pracuje w firmie jako radca prawny. Wychowali troje dzieci. Najstarsza córka Asia ukończyła średnią szkołę muzyczną i Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu. Dwaj synowie – bliźniacy – Piotrek i Paweł studiuje, jeden weterynarię w Poznaniu, drugi medycynę w Olsztynie. Średni syn Mieczysław posiada dwóch synów – Krzysia i Michała – z pierwszą żoną Bożeną, która obecnie posiada tytuł profesora nauk medycznych. Wspólnie wybudowali dom w Wołominie. Z drugą żoną Hanią (ekonomistką) wybudowali dom w okolicy Warszawy i tam obecnie zamieszkują. Syn pracuje w Centrali Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa w Warszawie, zaś synowa Hania w banku. Najmłodszy syn Dariusz wraz z żoną Magdą (nauczycielką) zamieszkują w Warszawie. Jak już wspomniałem, syn Dariusz pracuje w NIK na stanowisku wicedyrektora departamentu. Mają trójkę dzieci. Córka Natalia, jako psycholog pracuje w Warszawie, gdzie posiada własne mieszkanie (jest mężatką). Średni syn Tomek ukończył Uniwersytet Warszawski i pracuje w Głównym Urzędzie Statystycznym. Najmłodszy syn Piotrek jest uczniem trzeciej klasy liceum ogólnokształcącego. Synowa Magda i syn Dariusz posiadają własny dom nad pięknym jeziorem na Kaszubach w miejscowości Gowidlino. Tak więc wiekowi już babcia i dziadek mają sześciu przystojnych wnuków i dwie prześliczne wnuczki.

W chwili obecnej, wraz z żoną posiadamy własne trzypokojowe mieszkanie w Warszawie oraz piętrowy dom w miejscowości Lipowa obok Żywca. Od połowy kwietnia do połowy października przebywamy w Lipowej, zimę zaś spędzamy w Warszawie. Lipowa leży prawie u podnóża góry Skrzyczne, od strony wschodniej, a jej widok mogę oglądać z własnego obszernego tarasu. W tysiącmetrowym ogrodzie mogę oglądać drzewa owocowe oraz sosny i modrzewie, słuchać świergotu ptaków oraz upajać się zielonym ogrodowym trawnikiem. Widoki gór i lasów beskidzkich przypominają mi rodzinny Ulucz, gdzie spędziłem dziecięce lata. Wcześniej kupiłem działkę budowlaną nad kaszubskim jeziorem Gowidlino i tam wybudowałem piętrowy, drewniany dom. Po czterech latach jego użytkowania musiałem go sprzedać, gdyż wilgotny mikroklimat spowodował nawrót choroby stawów mojej małżonki. Górski klimat Lipowej sprzyja nam obojgu. Tu odwiedzają nas synowie z żonami oraz wnuki. Stąd odwiedzający

przemierzają górskie szlaki turystyczne Beskidu. Wieczory spędzamy razem przy grillowaniu, a dziadkowie opowiadają wnukom dawne dzieje.

Bibliografia

1. Cieszewski Jacek, *Uparci z „Piasta”, relacje i głosy strajkujących górników na kopalni „Piast” w Starym Bieruniu w dniach 14 – 28 grudnia 1981 roku*, Drukarnia Archidiecezjalna w Katowicach 2001
2. Dobosz Stefan, *Przemiany w Małopolsce Środkowej w dobie rewolucji ludowodemokratycznej*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Rzeszów 1984
3. Praca zbiorowa, *Tysiąc lat dziejów Polski*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967
4. *Relacje mojego ojca Józefa Zieleckiego i mojej matki Pelagii Zieleckiej oraz mojego rodzeństwa*
5. Serczyk Władysław, *Historia Ukrainy*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1999
6. *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego Tom XII*, Warszawa Druk „WIEKU” Nowy Świat Nr 61, 1892
7. Wolsan Stanisław, *Witryłów i okolice w latach 1939 – 1946*, Poligrafia Wyższego Seminarium Duchownego w Rzeszowie, Rzeszów 2006
8. Zielecki Władysław, *Rękopis własnego pamiętnika*